

# ŻYD.

---

OBRAZY WSPÓŁCZESNE

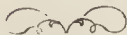
przez

**B. Bolesławitę.**

---

All is true.

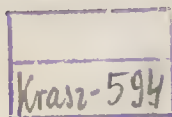
TOM DRUGI.



**POZNAŃ.**

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1866.



II nr inv. - 595



Poznań, czcionkami N. Zornm.

Nazajutrz zbudził podróżnych szmér przed gospodą w której spoczywali i ryk osielka przypominający niemile koncerta wirtuozów genueńskich, które co-dzień do wczesnego wstawania w Hotelu Federa zmuszały, rozpaczliwemi rykami biednych parjów zwierzęcego społeczeństwa. — Potrzeba było korzystać z poranka, nimby słońce dopiekać zaczęło; a dnia zeszłego nie wiele téż zrobili drogi i piesza ta przechadzka do Pizy obiecywała potrwać dość długo.

Ale w tym kraju uroczym, ze swobodą młodzieńczą, z zadumą wiosnianą, możnaby przewędrować lata nie zatęskniwszy za spoczynkiem, nie obliczywszy się z dniami.

Jakób był smutny i milczący. Iwaś zadumany także, długo szli nie mówiąc słowa do siebie.

— No cóż, czyś skończył historią swoją? zapytał wreszcie Iwaś... ja, nie wiem, znam już jej treść prawie całą, jak mi się zdaje, a jednak szcze-

gółów żądny jestem... czuję że wiele mieć będziesz do wypowiedzenia mi jeszcze, jeśli zechcesz... a, nie śmiem się napierać...

— W istocie, odpowiedział Jakób, ściśle biorąc mógłbym ją skończyć w dwóch słowach lub mówić o niej dwa lata a nie wypowiedzieć i połowy tego co dla mnie człowieka nowego, ów świat inny, nieznany przedstawił zadziwiających fenomenów!

Nietylko w naszém społeczeństwie, ale w ogólnym stanie kraju łatwo mi było dostrzedz zarodków fermentacyi zwiastujących pracę przetwarzającą, reformującą, nie uniknionych a nie obrachowanych skutków.

Wszędzie spotykałem ruiny... ogrom bezładnego materiału na przyszłą budowę, nigdzie nic poczętego, nigdzie nawet planu ani idei nowego gmachu. Jedni pragnęli tylko stare mury popodpierać, drudzy je nieco przerobić z góry, obalić jedno piętro, pobieścić po wierzchu; inni zburzyć ze szczętem choć nie wiedząc spełna jeszcze co na ich miejsce postawią.

Tak, gdy wybije owa godzina wieków, niepokój napada ludzkość, rzuca się ona i miota, a bądź co

bądź stanie się prędzej czy później, cc chce mieć wiekuiste prawo Boże...

Z poziomego wszakże stanowiska ludzkiego, rzeczy te smutnie wyglądają — jam widział początki chaosu. Fiziognomia zewnętrzna kraju jeszcze zachowywała rysy dawne, tradycyjne, ludzie jeszcze nosili myśli i mieli mowę prastarą, ale i tu... w głębi, w głębi było zwątpienie.

Nowatorów było pełno, przeczących i bluźniących przeszłości bez liku; ambitni i szarlatani na czele jak zawsze... najwydatniejsi, najhałaśliwiej krzyczący w imie prawdy której koniec sztandaru spuszczali do swojej kieszeni... Przeląknęłam się prawie wchodząc w tę ciżbę rozgorączkowaną i nie ochłonałam ażem się z tą nową dla mnie temperaturą oswoiłam.

Do charakterystyki czasu i społeczności należą i dobrzy, kochani ludzie, których spotkałam po drodze — pełno...

Przeważna ich liczba ogromną odegrywała rolę. Żadnych zasad... ale powolność największa i wyrozumiałość niezrównana dla cudzych grzechów, aby wyjednać swoim pobłażanie, uśmiech w ustach, słodczy w mowie, serdeczność w wyrażeniach niezmierzona, pokrywająca chłód i przewrotność... Wszakże

mieniono ich dobrymi, bardzo dobrymi ludźmi; szczególnie przy kieliszku i w wesołym gronie... Dobroć zawisła na tém by im wszystko uchodziło bezkarne... a oni za to puszczali płazem winy bliźniego.

Tą dobrocią pocziwych i kochanych współbraci, ziomków, towarzyszków, przyjaciół, społeczność powoli rujnowała się moralnie... Napaść na nadużycie było to targnąć się na uświęconą pocziwość, na uzyskaną popularność, na uznaną cnotę...

Daruj mi ten ustęp, rzekł Jakób, ale z pomiedzy wielkich i sławionych ludzi owych lat w Warszawie, większa część, najpopularniejsza należała do tych pocziwców o jakich mówię.

Choćbyś ojca rodzzonego zabił, byleś uściśkał z uszanowaniem jednego z tych dostojnych mężów i nie zbuntował się przeciw jego wielkości — mógłbyś być pewien bezkarności. Ale niech Bóg uchowa byś się miał targnąć na jaką uznaną zasługę! natówczas cały solidarny orszak tych bohaterów rzucał na cię kamieniem...

Tknąłeś świętość społeczną... winienesz być śmierci jak Sokrates... co się targnął na bałwany ateńskie. Spokój rzeczpospolitej wymagał by cię w śmierć pojono cykuta. Za to kto ujął sobie owych wielkich

ludzi, mógł broić w dzień biały... było mu wolno, należał już do tych... pocziwych! kochanych!!

Mój opiekun patrzył na mnie z uwagą i wnioskował zapewne ze znajdowania się wśród nowych żywiołów o naturze mojej... Nie sędzę by mu powściągliwość początkowa nie przypadła do smaku; zdawał się owszém ze mnie zadowolniony jak na początek. Nie wiem czemu lubił mnie badać gdyśmy zostali sam na sam; uwagi moje podobały mu się w ogóle... chociaż czasem się z nich uśmiechał.

Znalazł mnie tylko nadto żydem, że się tak wyrażę... w stosunku do siebie. Gdym w Sobotę oświadczył mu, że wedle obyczaju religijnego pójść chcę do synagogi, z początku się zadziwił, pomyślał, potem zapytał mnie:

— Cóż to? chcesz pozostać wiernym starym tym bredniom i przesądom?

— Daruj mi pan, odpowiedziałem, ale ja żydem byłem, jestem i chcę pozostać...

— No! no! jak wola Twoja, rzekł, ale dziś już nie ma tu żydów, przedewszystkiem człowiekiem być potrzeba. Żydostwo to może cię powstrzymać na drodze, wikłać, trzeba się otrząść z tego lub przygotować na wiele niepotrzebnych trudności.

Zamilkłem, on dodał.

— Zresztą, zupełna w tym względzie wolność, uczynisz, panie Jakóbie, jak zechcesz... rozpatrzywszy się tu lepiej.

— Od téj chwili, zdaje mi się ten *esprit fort* osądził mnie jako dość słabego człowieka, na którego wiele rachować nie było można... dotknął granicy po za którą czuł że nie przejdę... Nie chcąc widać ażebym uległ jakiemu wpływowi obcemu, sam mi w rozmowie wskazał swojego przyjaciela, który, jak się wyraził, podobnym mi był w przekonaniach. Był to bardzo majątny kupiec, człowiek już stary, którego znałem z widzenia... a słyszałem o nim wiele, jako o widomój głowie naszego społeczeństwa, która wszakże była tylko widomą, gdyż inni nią kierowali i rządili, posługując się wielką ambicyą małego człowieka.

Chcąc bliżej poznać pana Louis Mann, poszedłem do niego nazajutrz z uszanowaniem. Wiedział już kto byłem, bo mnie u mojego opiekuna widział parę razy i rozmawiał ze mną, ale nie mógł się tam do niego zbliżyć nie mógł, wydał mi się bowiem dumnym, nieprzystępnym i opryskliwym. Wybrawszy godzinę w której go zastać byłem pewnym, udałem się do jego pomieszkania. Zajmował on dosyć paradnie urządzone pierwsze piętro, w którym się



mieścił z żoną i trzema córkami. Syn już miał dom osobny...

Zadzwoiłem u drzwi, znalazłem przy nich lokaja, który mnie zameldował w sąsiednim salonie, gdzie były panny, kilku mężczyzn, bawiono się, śmiano i rozmawiano wesoło. Mann kazawszy mi wszakże na siebie wczekać dobry kwadrans, wyszedł do pierwszego pokoju i nie znajdując stósowien wprowadzać w swe towarzystwo przyjął tu jako interessenta tylko, dość grzecznie ale protekcyjnalnie i jakby co najrychlej pragnąc się mnie pozbyć. Oczywiście dawał mi do zrozumienia że hołd sobie należny od współwyznawcy przyjmuje, ale zbyt się zbliżać nie ma ochoty. Położenie moje było dosyć ambarasujące; przeze drzwi otwarte widziałem przesuwające się postrojone panny, samą panią także bardzo wspaniale przybraną, wreszcie kilku elegantów, a stałem tu jakby żebrak, nieproszony nawet bym usiadł przed panem Mannem, który jedną nogę wsparłszy na kanapce, ręce pokładawszy w kieszenie, patrzył przebąkując coś do mnie przez okno... dłubiąc od niechcenia w zębach.

Jeśli mi tém przyjęciem chciał dać do zrozumienia że byłem dlań nader małą figurą, nie

dokazał czego pragnął, bom się przy mojem ubóstwie, nicości, małości, uczułem wielkim poczuciem własnej godności i politowanie miałem tylko dla niego. Nie obraziłem się nawet i nie pogniewałem, w duszy spokojnie przypatrując się tej niezręcznej dumie dorobkowicza. Od pierwszego słowa zaczął mi dawać nauki i przestrogi, do których jakoś dziwnie mieszały się przypomnienia to znakomitości izraelskich, to dygnitarzy krajowych, to osób wysokiego dworu z którymi żył w poufałych stosunkach.

Co mnie to obchodzić mogło?

Chciał koniecznie olśnić... dla mnie były to pstrocizny nie blaski. Przy rannym surducie spostrzegłem trzy orderowe wstążeczki...

— Młodzieńcze, rzekł do mnie, bardzo się cieszę, że ten poczciwy mój przyjaciel podał ci rękę, uczyniże mu pociechą swą pracę, a narodowi naszemu chlubę. Pomożemy ci wszyscy, ale się potrzeba tego stać godnym.

Wśród rozmowy, przez ciąg której patrzył nieprzerwanie w okno nie racząc nawet obejrzeć się na mnie, wyszła bardzo ładna panienska, strojna, z przymrużonemi oczkami; jakby tylko obejrzeć mnie chciała, zbliżyła się do ojca, położyła mu

rękę na ramieniu i nie kiwnąwszy mi nawet głową, coś mu poszeptała śmiejąc się do ucha. Był to dla mnie znak ażebym co rychlój wyszedł, czułem się już nad miarę natrętnym i zabierałem do odwrotu, samemu pilno mi było.

Mann wcale nie myślał wstrzymywać; lekko bardzo pożegnał mnie i powrócił do salonu, do którego znać było mu spieszo. Dowiedziałem się później o wielu jego dobrych uczynkach, ale, słusznie czy nie, wszystkie one tłumaczono niezmierną próżnością tego człowieka. Miałby w istocie zasługę, że w najtrudniejszych czasach wszędzie otwarcie stawiał za żydów i za żydami jawnie się ujmował, że się pochodzenia nie wypierał, chlubił niemi nawet, ale za to sam chciał wszędzie reprezentować swój naród i wciskać się gdzie tylko było można w jego imieniu. Często robił to i niepotrzebnie i niezręcznie.

Był on, jakem już powiedział, widomym wozdzem, ale otaczała go niewidoma falanga doradców zręcznych, którzy już znali środki jakimi prowadzić go było potrzeba, i jak mu własne zdanie podsunąć, by je przyjął za swoje. Przeze drzwi, zawsze otwarte próżności, wniknąć było można jedynie do wnętrza ukłoniwszy się nisko na progu;

uznany jako wódz, używany do roboty jako narzędzie błyszczące zadowolniony był z siebie.

Nigdy powierzchowność lepiej nie malowała człowieka; mały, przysadzisty, szerokich ramion, ogromnie otyły, rozrosły, zdawał się zawsze niekontent, zawsze nadąsany lub przygnieciony pracy nawałem, która na głowę jego spadała, zdawał się na ramionach dźwigać świat cały i chcieć dać uczuć wszystkim że tylko taka potęga jak jego, brzemieniowi temu podołać mogła. W prywatném życiu grał rolę znaną w teatrze francuzkim *du bourru bienfaisant*.

W gruncie był to to wcale niezły człowiek, ale bliżej z nim obcując, przekonałem się, że jego orthodoxja izraelska nie była szczerą, używał jęj za narzędzie tylko... w istocie tak dobrze w nic na świecie nie wierzył jak inni towarzysze téj saméj sfery....

Oba z moim opiekunem, chociaż każdy na swój sposób, nienawidzili zarówno szlachtę polską... Ja nie dzielając wcale tego uczucia, widziałem w niém tylko jakąś namiętą zazdrość, której powody były dla mnie ukryte; zdawała mi się poniżającą nas...

Nie okazywali oni tego uczucia jawnie, żyli bardzo dobrze z wielu obywatelami jak najwybi-

tniej noszącymi swe szlachectwo, przyjaźnili się z nimi.... ale, niestety! z obu stron podobno pod tą przyjaźnią zwierzchnią, gorzała rodowa, wiekowa, nieprzejednana, dziecinna nienawiść. Chcieć było poznać wady i śmieszność żydów, trzeba o nie spytać szlachty — i odwrotnie. Nikt słabych stron obu obozów nie znał lepiej nad skrytych antagonyzistów; gdy nie można było uderzyć na co innego, bito z obu stron w niezliczone drobnostki, śmieszne, małe, których naturalnie wszędzie pełno....

Dla ciekawego, jak ja, chciwego postrzegacza, miasto tak ludne i ożywione przedstawiało arenę wielce zajmującą, przedewszystkiem jednak starałem się poznać to co mnie najmocniej obchodziło, współbraci moich, mój naród. Od dzieciństwa wyrabiało się we mnie gorące doń przywiązanie i pragnienie dlań dobra; nie mogłem sobie pochwlebiać bym ja słaby, nieznany, bez wpływu, bez nauki, mógł mu być użytecznym, a jednak głos jakiś wewnętrzny mówił mi, pędził mnie abym się o to starał. Śniłem nieraz by być dla moich polskich współbraci drugim Bar Majmonem, by ich podźwignąć z upadku... chodziłem pieszcząc się z tą myślą, alem jeszcze nie wyobrażał sobie żeby istotnie reforma była tak potrzebną i by sięgnąć miała

w te sfery wyższe, od których spodziewałem się poparcia, a w nich znalazłem straszniejszą nad te przesady z którymi walczyć zamierzałem — obojętność na wszystko i niewiarę.

Nie rzucając méj ulubionéj myśli, (możesz się z niéj śmiać, dodał Jakób) myśli stania się czémś w Izraelu, tu dopiero, na tym gruncie, zrozumiałem jak zadanie było trudném, jak się doń przygotowywać należało.

Pełniąc moje obowiązki, starając się poznawać świat i ludzi, oddałem się znowu ze świeżym umysłem czytaniu biblij i rozmyślaniom nad zakonem.

Czas ten spędzony w stolicy, dając mi poznać ogrom tego na co się ważyłem, był dla mnie pełen nauki i marzeń najśłodszych. Spotykałem codzień prawie ludzi nowych, wyzywałem rozmowy, przekonywałem się że ta reforma, którą wystawiałem sobie jako oczyszczenie talmudu i sformułowanie systematyczne naszej nauki, z odrzuceniem z niéj tego, co wieki ciemnoty i upadku w nią wrzuciły, głównie i najpilniéj była potrzebną, bo pod pozorem przesądów, zabobonów i t. p. odrzucano już nawet biblią, której powaga zachwiana została.

Z ludźmi jak mój opiekun, jak tysiące jemu podobnych i większa część żydowskiej społeczności,

w której już wszelkie uczucie religijne wygasło, nieskończenie było trudniej począć niż z fanatykami przywiązującymi przesadzoną ważność do form, obrzędów i t. p.

Człowieka wierzącego w nadto wiele rzeczy, ale szanującego powagę, tradycje i mającego w duszy jakieś ziarenko wiary, stokroć łatwiej nawrócić przychodzi, niż tego który wyśmiawszy wszystko odrzuca i zimnym rozumem chce zagadkę życia rozplątać.

Zkąd mi, drobnój istocie, przyszły te zamiary olbrzymie, nie wiem; małym jeszcze będąc, pragnąłem się umysłem wzbąć nad innych, nie dla panowania im, ale dla podźwignięcia. Upadek mojego narodu był główną marzeń pobudką, ale gdy się zmieniła scena, rozszerzyło pole, gdym jeszcze mniejszym ujrzał się wpośród tego potęg świata, nie zwątpiłem o sobie, owszém rozszerzył się zakres, wyrosły chęci, cały zebrałem się w duszy mojej, by dopiąć celu.

Nie chciałem się tylko spieszyć ani objawiać zawczasie, póki bym siebie pewnym nie był, a słabiej strony tego świata nie zbadał.

Nie uląkłbym się był niczego, przeraziłem się chłodem i absolutną niewiarą... ateusze stanowili



ogromną większość, nie z żydami miałem do czynienia, ale z ludźmi co wszelki narodowy i religijny starli i stracili charakter.

Niezrażony poznaniem jednego z koryfeuszów naszych, pana Manna, szedłem dalej usiłując się zbliżyć do tych, których opinia, rozsądek, przymioty, stosunki rozleglejsze wskazywały mi jako przodujących. Z małemi różnicami ogłady lub gburowstwa, były to typu jednego warianty nieskończone.

Znużony niemi zszedłem już z prawdziwą pociechą do niższych klass, u których jeśli nie wiara, to jej formy żyły jeszcze... Tu znowu pomiędzy życiem a wiarą była — przepaść. Zepsucie straszliwe, systematyczne, zimne, tradycyjalne, wszechstronne i wpośród tłumu ludzi ledwie gdzie wybrańsza istota.

To wszystko dowodziło mi coraz mocniej, że myśl reformy moja była na dobie, że przychodziłem z nią w czas, że... (daruj) mogłem być narzędziem Bożem, acz niegodnym dla podźwignięcia Izraela.

Iwaś uśmiechnął się poglądając na Jakóba, którego twarz wypogodzona, jasna, poważna, promieniała szczerem, głębokim natchnieniem.



— Jak to? spytał, nie zgubiłeś téj mrzonki na bruku warszawskim?

Nie, odparł Jakób, przyszedłem z nią, chodziłem, wyniosłem i powracam niosąc nazad, myśl ta jest całém życiem mojem.

— Niestety! odparł Iwaś, przyszedłeś bardzo nie w porę! minęły dni proroków i prawodawców, przeszły te wieki, gdy człowiek energiczny pociągał za sobą tłumy.... Prozelityzm wszelki jest niemożebnością w społeczeństwie, w którém indywiduum tak samoistną gra rolę, gdzie każdy czuje się sobą i równo z wami uprawnionym do rozumowania, reformowania, postępowania wedle swojego własnego wewnętrznego głosu.

— Takby było jak mówisz, zawołał Jakób, gdyby w miarę jak się ogólne wykształcenie podnosi, nie winien był ów prorok nowy umysłem téż i cnotą dźwignąć się jeszcze wyżej nad oświecone tłumy. Postrzeżenie twe trafne, ale wszystko się rozstrzyga miarą tego człowieka, który ma wywrzeć wpływ stanowczy....

— Maszże ty nadzieję dorosnąć do téj żądanej wielkości? spytał niedowierzająco Iwaś.

— Ja nie wiem, rzekł Jakób spokojnie, ale samo poczucie posłannictwa jest dla mnie jego do-

wodem, mogę upaść z mojej winy... noszę jednak w piersi tchnienie Boże, które mi, chociażbym upadł miał, iść każe....

— O! biedny szaleńcze! szepnął cicho towarzysz drogi, jakież cię czekają losy?

— Ciężar tego co podźwignąć mogę, znam dobrze, mówił dalej Jakób, o sobie nie myślę wcale, idzie mi o cel wielki, o zadanie tak potężne, iż wartoby być pod niem zgruchotanym.... Ty wcale, dodał z westchnieniem, ty mnie nie rozumiesz!

— Uczyni, bym choć obcy wam, mógł cię zrozumieć, odezwał się Iwaś, bo już nie pojmując cię wielbię.... I ścisnął serdecznie dłoń towarzysza. Mało znam żydów i ich naukę, ale mam współczucie dla waszego narodu... jego losy są w części naszymi.

W jednym z tych podręczników szkolnych z których nam niegdyś początkową historią wykładano sposobem katechizmowym przez pytania i odpowiedzi, moskiewski dowcipny pedagog, postawił uczniowi pytanie: Jakie są narody nie mające ojczyzny? Odpowiedzią na nie urzędową jest: Żydzi, Cyganie i Polacy. Głupstwo to niby złośliwe jakiegoś moskiewskiego diaczka utkwilo w mojej pamięci od czasu jakem je usłyszał.... Jest w istocie po-

między losem naszym a waszym nie jedno podobieństwo, ale i nie jedna różnica. Wasze nieszczęście sięga tych wieków, gdy je dzikością walk różnoplemiennych poniekąd uniewinnić można, nasze dopełniło się i spełnia w epoce, która na swój chorągwi zapisała braterstwo, prawo, pokój, swobodę! W losach naszych ze strony nieprzyjaciół jest więcej cynizmu, dolegliwsza sprzecznością z całym światem XIX. wieku ironia losu!... Ale powracaj do żydów.

— Znasz mnie więc teraz coraz lepiej, mówił powoli Jakób, widzisz przed sobą, jeżeli chcesz, fanatyka, wysłańca... człowieka co wierzy, spodziewa się... i ma wielki, jasny przed sobą cel życia...

Podróż tę moją, nie dla czego innego przedsięwziąłem tylko dla lepszego przygotowania się do spełnienia tego mojego postanowienia. Wracam z niej mocniej niż kiedy przeświadczony o potrzebie tego co dopełnić pragnąłem i pragnę. Widziałem żydów niemal wszystkich krajów; wszędzie znalazłem téż same dwie choroby trawiące naszą społeczność — obojętność i niewiarę która nas czyni kosmopolitami lub fanatyzm i ciemnotę która oddziela, odpycha i odcina od ludzkości.

Pod działaniem tych dwojga rozczynników będziemy musieli zginąć — rozproszony Izrael wsiać knie w ziemię... bo narody bez wiary i tradycji narodami być przestają; — a narody odcięte od macierzyńskiego łona ludzkości, żyjące zupełnie odrębnym żywotem w sobie tylko, wyczerpują się, koszlawieją, kaleczą i giną... Tego coby nas dziś jeszcze istotnie narodem, z posłannictwem odrębnym uczynić mogło — nie mamy, straciliśmy, odzyskać to musimy bądź co bądź... lub śmierć...

— I ty chcesz tego dokonać??

— Chcę przynajmniej wskazać co jest do wykonania... A dla czegożbym i sam do dzieła ręki nie miał przyłożyć, gdybym spotężniał tak abym był zdolnym głos podnieść! odparł Jakób. Człowiek który chce, ma wolę silną, posiada już połowę potęgi potrzebnej do czynu, jeżeli nie całą.

— Nie całą, dodał Iwaś, bo rozum co wskazuje cel jasno, lub instynkt który ku niemu ciągnie gwałtownie, stanowią drugą...

— Masz słuszość, odparł żyd powoli.

— Mówże dalej, proszę, po chwili milczenia odezwał się Iwaś, jestem rozjątrzony i ciekawy, jak sobie poczułeś w Warszawie.

— Nic lub bardzo niewiele mogłem tam uczy-

nić, mówił dalej pierwszy — jako baczny gospodarz opatrzyłem tylko rolę do posiewu, badałem ją... Treść mych postrzeżeń już ci po części wiadoma; ale mi się one objawiły z taką rozmaitością form, że jój nie potrafię objąć całej w kilku słowach. Około tych głównych dwóch typów, mojego krewnego i jego przyjaciela Manna, kręciło się tysiącego mniej więcej różnych, choć w głównych rysach do nich podobnych.

Zaraz po mych odwiedzinach u pana Mann, zapytał mnie ciekawie o niego opiekun, zapewne z wrażenia mego o tym człowieku, którego znał doskonale, chcąc sądzić nie tak o nim jak raczył o mnie. Byłeś u Manna?

— Byłem, odrzekłem krótko i sucho.

Spojrzał badająco na mnie.

— I cóż? jakże go znajdujesz? dodał.

Uśmiechnąłem się. — Znalazłem go, rzekłem, tak zajęтым, że nie bardzom się do niego mógł przybliżyć.

Opiekun znowu popatrzył na mnie bystro i ze zwykłą sobie trafnością odgadł wrażenie.

— Cóż? spytał, czy cię źle przyjął? zimno?

— Ale nie... był zajęty...

— Nie uważaj na to, rzekł żywo — to gbur...

Zresztą gburstwo to może jest trochę umyślne... no! ale w gruncie człek bardzo dobry... pocziwy...

Wstawaliśmy oł stołu, kobiety odeszły do salonu, on mnie pociągnął za sobą do swego pokoju.

— Jakże to było? począł dopytywać ciekawie, mów bo...

Opowiedziałem mu całą moją bytność i rozprawę u Manna szczegółowie, ale nie dając po sobie poznać żadnej urazy, bom jój w istocie nie miał.

— Jestem młody, dodałem, nie mam prawa nic wymagać... wszakże drugi raz tam iść zbytniej ochoty nie czuję.

— Owszem, owszem, marszcząc się rzekł mój opiekun, pójść powinieś, ale zrzucić zbytnią i przesadzoną pokorę... Z ludźmi w ogóle śmiałym być potrzeba unikając impertynencyi, pewnym siebie. Im się ich więcej lekceważy, tém oni cenią wyżej człowieka... to prawidło powszechne. Zniź się tylko, deptać cię będą.

— Tak, odpowiedziałem, być to bardzo może, ale ja nie umiem być inaczéj tylko tak jak mi dyktuje usposobienie; nie jestem nigdy ani śmiałym przez rozum i rachubę, ani pokornym dla jakiegoś celu, tylko takim jakim mnie w danéj chwili czyni

natura moja. Jest to zapewne źle tak mało panować nad sobą, ale ja inaczej nie potrafię.

— Zatém, nigdy sobie Wpan w świecie rady nie dasz, zawołał uśmiechając się mój nauczyciel. Człowiek który chce mieć wpływ na ludzi i przebić się przez nich, musi grać z nimi komedią nieustanną, pokorę udawać gdy w nim wre dumia, śmiałość odegrywać kiedy drży najmocniej. Inaczej ludzie go podepczą, opanują i miotać nim będą, jak sami zechcą.

— Smutne to jest prawidło, rzekłem, wątpię żebym się do niego zastosować potrafił. Różniemy się w zasadzie, ja życie mam za misją poważną, wy — przebaczenie, za rolę w dramacie.

— Tak Waćpan o ludziach zanadto dobrze trzymasz i ztąd cała różnica systemu, zawołał krewny mój. Ale system wasz piękny na oko, zły w skutkach. Otwierać pierś, odsłaniać myśl, jest to dawać się dobrowolnie na łup ludziom, których rozum inaczej jak za nieprzyjaciół uważać nie dopuszcza.

— Ja z uczucia i z przekonania, z zasady, rzekłem, wołałbym w nich widzieć braci.

Stary rozśmiał się szydersko i pogłaskał mnie pod brodę.



— Kochanku mój, dodał, nie idzie o to co ty byś wolał, ale co jest w istocie... Nie wyobrażałem sobie, mówił z politowaniem prawie, ażebyś był tak dziecinny. Wszystkie te sielankowe obrazy ludzkości ładne są w malowaniu, na obiciach i parawanach, ale w życiu praktycznym kto na utopiach opiera rachuby myli się zawsze. Człowiek chwilami jest dobry i bywa poczciwy, ale w gruncie skłonniejszym jest do złego; chybi więc kto liczy na momenta wyjątkowe, a nie na stan normalny.

— Ale ludzkość się udoskonala! zawołałem.

— Gdzie? jak? zapytał marszcząc się mój mentor — i to brednia! Udoskonala się warsztat, narzędzie, jadło, odzież, handel... ale nie człowiek... udoskonali się to co mu życie ułatwia, ale zachodzi pytanie jeszcze czy te ułatwienia psują go czy naprawiają? Tego nikt nie rozstrzygnął...

Ludzi, dodał po chwili marszcząc brew, ludzi używać potrzeba jako narzędzi ale się w nich nie rozmiłowywać. To zaślepia, a idąc drogą trzeba widzieć jasno... Nieużytecznych precz z drogi... bez litości... Zdalnych wypotrzebowywać umiejętnie... to moja teoria... czułość nie prowadzi do niczego... jest chorobą.

Jakkolwiek teoria mojego krewniaka była stra-



szną, nie przeraziła mnie na ten raz, byłem już do niej dobrze przygotowany. Rozmowę tę przywodzę tylko w treści, abym ci lepiej dał poznać człowieka...

Był to dzień dla mnie stanowczy i pamiętny, zbliżył on nas i oddalił od siebie; po chwili bowiem, stanął przedemną i wpatrując się we mnie rzekł ciszej.

— Ponieważ ci dobrze życzę, nie przez chorobliwą czułość — poprawił się, ale chcąc z ciebie pożytecznego dla mnie uczynić człowieka — winienem ci jeszcze radę jedną... W towarzystwach... do zbytku widocznie i jakby dla popisu jakiegoś chwalisz się, przypominasz nieustannie, że jesteś żydem... Naprzód to śmieszność, powtóre u nas to nie w obyczaju i szkodzić ci może...

— Jużciż zapierać się tego byłoby gorszą śmiesznością, rzekłem — a tego nie uczynię nigdy, bom przywiązany do mojego narodu i wiary... Stokroć nawet przez prostą rachubę, lepiej jest wyznać samemu szczerze pochodzenie swoje niż się z niémtaić napróżno... aby nam je potem drudzy w oczy rzucali.

— Ale po cóż to tak często przypominać? spytał.

— Jam tém istotnie dumny, rzekłem.

— Dumny! podchwycił ruszając ramionami —

no! tego nie rozumiem. Żydowstwo to wasze miało swój czas, dopóki było prześladowaném; było ono zbroją naszą i puklerzem, a dziś do czego to się zdało?

— Ależ wiara nasza... począłem...

— Co! wiara! Co wiara!! przerwał mi machając ręką pogardliwie — co to jest? Wszystkie one są jednakie — to mleczko dla niemowląt! Wierzysz więc, dodał z uśmiechem, że osłem i wołem razem zaprzężonemi orać się nie godzi, ani krwi mieszać z mlekiem... i jedwabiu z wełną?? i że kto w szkole nie odpowie, Amen, ten pójdzie do piekła?

— Szanuję, zawołałem, nawet te przepisy mojej wiary, chociaż dziś mi je trudno sobie wytłumaczyć. W prawie Mojżeszowem że na polu ziarn mieszać nie dozwolono, tłumaczę sobie wszakże, prostym, zdrowym przepisem gospodarkim; że orać słabszém wraz z mocniejszém stworzeniem nie dopuszczano, widzę w tém opiekę nad zwierzęciem, a w mieszaniu krwi z mlekiem przepis dietetyczny potrzebny zdrowiu może, w odzieży *lex sumptuaria* broniącą zbytków i t. p. W ogóle cały ten zakaz mieszanin wszelakich kryje myśl Izraelowi potrzebną aby różnorodnych pierwiastków zabronić połączenia i wpoić tę prawdę ludowi, który sam też

z innemi mieszać się nie był powinien. Wszystko to szanuję, choćbym nie rozumiał, a szkolne *Amen*, znajduję obowiązkiem, boć kto odpowiadać nie chciał, wyłączał się z narodu, z ogółu, lekceważył prawo...

Opiekun mój stał, chwilę słuchał, zdziwił się nieco moim zapałem, potem dodał ruszając ramionami.

— Trzeba się pozbyć przesądów...

— Nie przeczę, rzekłem, ale od przesądów odzielić należy tradycje poszanowania godne i — wiarę...

— Ale co tam ta wiara!

Ruszył śmiejąc się ramionami...

— Rzecz której się nie określa... odparłem, kto nie czuje jej potrzeby, nie zrozumie nigdy definicyi.

— Znać na tobie pierwszych twych nauczycieli i młodość przy fanatyku belferze spędzoną — odezwał się, umysł jeszcze nie wytrzeźwiony.

— Nie pragnę się wcale otrząsnąć z tego co mnie czyni wybranego narodu członkiem, odpowiedziałem, zostawcie mnie z tém...

— Dajmy temu pokój, przerwał opiekun, samo to przejdzie powoli; życzę tylko i proszę nie odzy-

waj się zbytnio z tém, nie przechwalał nadto. Toleruje dzisiejsza społeczność wszystko, ale fanatyzm okrywa śmiesznością, bo zdradza słabość umysłu lub chorobę...

Milczałem, chodził po pokoju wielkimi krokami.

— Zapewne, mruczał z cicha, nigdy z nas żaden nie zapomni kim jest, kim byli jego ojcowie... ale z tém żydowstwem które nam szkodzi między ludźmi nie trzeba się popisywać.

Takim jak widzisz był opiekun mój, życie jego ściśle się stosowało do prawd które wyznawał; rządził się w niém rozumem, rachubą, często namiętnością choć tę umiał w potrzebie okiełznać — nigdy uczuciem, bo tego nie miał lub się najżywiej od niego obraniał. Czy temu on był winien, natura, czy wychowanie, nie wiem. — W gruncie każdy jego krok był bardzo rozważną rachubą, rachubą na wpływ, opinią, rozgłos, siłę, przewagę, na reputacyą cnoty i prawości, dobroczynności, bezinteresowności, rozumu i t. p. Kochał dziecię ale po swojemu, rozporządzał niém wedle swój myśli, bo tę miał za najlepszą; kształcił nie jakby ono chciało, ale jak jemu było dogodniej i miléj. — W gruncie strasniejszego despoty nie znałem nad niego, mimo

form przyzwoitych. Miał też ten instynkt zachowawczy despotyzmu który nie porywa się na to, czemu podołać nie może i o coby się rozbił, a ustępując słabość swą dał poznać.

Z teorii jego wypadało że powinien był zawiezywać stosunki jak najrozleglejsze; jemu też winien je byłem, gdyż sam nie miałem wielkiej ochoty zbliżać się do ludzi, których zawsze brać było potrzeba, jak on się wyrażał, przebojem. Często wiódł mnie z sobą do domów i osób, o których wiedziałem że mu były nienawistne; nie cierpiąc ich wchodził przecież z uśmiechem, grał rolę życzliwego przyjaciela, przymówek nie rozumiał, nie słyszał co go obrażać mogło i nie zrażał się ani chłodem ani okazywaną mu niechęcią widoczną. Siłę i energią miał tak wyrobioną, że to co mnie oburzało najgwałtowniej, na nim pozornie najmniejszego nie czyniło wrażenia — ściągwszy wargi, uśmiechał się tylko... Ale gdy mógł potem zrzucić maskę naówczas im dłużej i głębiej tajona tem straszliwsza buchała zeń nienawiść.

Nigdy też nie darował urazy, nie przebaczył uchybienia, nie dał się prześlagać jeśli był dotknięty, mścił się nienasycony zemstą... Rozum tyl-

ko, który w nim panował nad wszystkiem, hamował objawy namiętności niebezpieczne...

Rok pierwszy pobytu w stolicy już mi dał poznać ten świat, jak wielce misterną machinę złożony z przeróżnaitych kółek tysiaca, tę grę ludzi, interesów, namiętności, słabostek, zachceń, ambicyi i spekulacyi, z której zręcznie się wywikłać było potrzeba ażeby nie być zgniecionym.

Przekonywałem się codzień że nie byłem stworzony do tego żywota sztucznego, w którém, wedle przestrogi mego krewnego, komedya grać nieustannie było potrzeba. Obrałem inną drogę, postanowiłem iść przebojem, ale otwarcie.

Ludzie, którzy zawsze z siebie sądzą o drugich, znaleźli i to komedyi rodzajem, rodzajem rachuby (przypisywali mi rozum i wyrachowanie przemądre) — a nie wydało im się to tak bardzo złém.

Nie mogę skarżyć się aby mnie, z moją prostotą, się nie wiodło, ale w tym świecie blagi, ja z moją prawdomównością, otwartością, odwagą przekonania, uchodziłem, jakem się później dowiedział, tylko za zręczniejszego blagiera, za Barnuma w nowym rodzaju, przybierającego niezwykły charakter, aby tém większe uczynić wrażenie.

Inaczéj być nie mogło, dodał Jakób — przeko-

nany głęboko, odzywając się szczerze, walcząc za zasady moje — zyskałem tylko sławę wielkich nadziei komedyanta; bo otaczający mnie wszyscy byli komedyantami; nie mieściło się im w głowie aby kto miał przekonania i zasady i w imie ich szedł drogą prostą. Oburzało mnie to, ale dawało miarę ludzi i czasu, w którym nic nie jest... a wszystko stoi na owém: *mundus vult decipi, ergo dicipiatur*.

Jedyną pociechą tych ciężkich dni próby i zwątpienia była Tilda. Aż nadto już wypowiadałem się wam z tego jakim ją kochał i czém była ta miłość nasza, cichy kwiat ukryty w liściach zielonych. Z nią przynajmniej nie posądzany szczerem być mogłem, uczucie trafniejsze nad wszelkie rozumowania dawało jój wiarę we mnie i słowa moje. Mówiliśmy o wszystkiém co zwykłych rozmów między młodym mężczyzną a kobietą nie bywa przedmiotem, ale téż Tilda była daleko wyżej, poważniej wykształconą niż zwykle bywają młode panienki jój wieku i stanu. — Nie wiem jakim cudem nauka, rozmyślanie, badanie, serca w niej nie tknęły i nie wyziębły.

Wielu jednak rzeczy dotknąć nie mogłem mówiąc z nią, boby w ich ocenieniu domyśliła się łatwo zdania mojego o ojcu swoim, dla którego



i ja, bądź co bądź, miałem poszanowanie, a jęj miłość dla niego nadwerężyć nie chciałem. Czułem wszakże z przypadkowych wzmianek, iż kochając go, wielce bolała nad nim.

Życia jego domyślała się więcej niż je znała; umiał bowiem urządzać je tak aby z dogodzeniem namiętnościom wszelkim pogodzić jak najściślejsze *decorum* i przyzwoitość.

Po roku milczenia, nie wiem, przypadkiem czy umyślnie, opiekun znowu wprowadził rozmowę na rzeczy wiary; chciał widocznie zbadać jakie wrażenie na mnie uczynił pobyt w stolicy dłuższy; spodziewał się znaleźć zobojętniałym... a zdumiał się postrzegłszy rozexaltowanym. Zdziwiło go to mocno, ale potraćiwszy o tę strunę, wydającą dźwięk dlań fałszywy, — przerwał zaraz badanie rozpoczęte.

W kilka dni potém wskazał mi domy do których życzył sobie bym uczęszczał, obrachowawszy iż towarzystwo to oddziałać na mnie może.

Jednym z nich był, szczególnie w istocie dom pewien rodziny bardzo możnej Izraelitów, z pokolenia Levi, której było członków wielu żyjących w zgodzie zupełnej, chociaż jeden z nich pozostał Izraelitą, drugi był przeszedł do protestantyzmu, inny przyjął katolicyzm. Krewny mój stawiał mi



ich za przykład i wzór obojętności w rzeczach wiary, która jemu się wydawała przymiotem, dla mnie potwornością szkaradną, upodlającą, niedarowaną.

Z zetknięcia się z tymi panami przekonałem się że w istocie nie mieli religii absolutnie żadnej, racjonalizm suchy i nie bardzo nawet logiczny, a nadewszystko nie głęboko zapuszczający się w kwestye donioślejsze, zastępował im wszystko. Dotykałem często w rozmowie z nimi tradycyi naszych, znalazłem albo nieświadomość ich zadziwiającą lub obojętne zaparcie i tłumaczenie skeptyczne; musiałem stawać w ich obronie, a wówczas gdy się gorąco walczyć zabierał, nikt nawet nie raczył wystąpić ze mną w szranki, tak drażliwém wydawało się samo wywołanie izraelskich zasad.

Ten smutek jaki panował w duszy Tildy znajdowałem niemal w całej społeczności kobiecój. Dzielila się ona tylko na dwa wielkie obozy, kobiet lekkich, niemyślących, bez zasad żadnych i tych, które mając szlachetne instynkta a nie mogąc ich przeżywić w sobie dla braku zasobów, nie umiejąc ich usprawiedliwić, żyły walcząc, cierpiąc, przeczuwając i tęskniąc... nieszczęśliwe... Brakło im zawsze tego, co człowiek czerpie z przeszłości rodu i narodu swojego, od czego gdy się dobrowolnie

oddzieli, błąka się smutny i cierpiący. Żadna z tych pań nie śmiała otwarcie uznać się żydówką, wszystkie chciały do nowego należeć świata, a w tym świecie nie wiedziały gdzie sobie szukać schronienia.

Nie dziwiłem się im, dodał Jakób, gdy sercem stęsknioném, opustoszoném zwracały się potajemnie ku wierze waszój; nie miały własnej, a potrzeba duszy wymagała jój.

Wśród takiej rozmowy, która Iwasiowi dawała wiele do myślenia, przeszedł podróżnym naszym dzień cały; nie spieszyli wcale i choć najęli sobie parę osiołków, drugiego dnia jeszcze zaledwie byli o kilka godzin drogi od Genui.

W jedném z tych malowniczych miasteczek, a raczej wiosek włoskich, które nad morzem stoją na skałach uwieńczone w cyprysy, palmy, i pomarańczowe drzewa, owite bluszczami, opasane laurem i mirtami, ocienione sady oliwnemi, obwieszane winną latoroślą, przypadł im nocleg dnia drugiego.

Mrok padał, gdy szukając gospody wsunęli się w ciasną uliczkę mieściny pospinaną u góry jakby kłamrami, sklepieniami dawnymi, podtrzymującemi wysokie mury domostw. Z dala już widać było Al-bergo, stał przed niém właśnie powóz wyprężony.

— Ha! ha! zawołał Iwaś spostrzegłszy go, gdyby wszystkie włoskie *vettury* i *legna* nie były do siebie podobne jak dwie krople wody, przysięgłbym że oto powóz którym twoi znajomi państwo Segel... czy jak tam się oni zowią... wyjechali z Superby... ale to...

Jakób zatrzymał się w téj chwili, bo poznał także w bramie Alberga stojącego pana Henryka męża pięknej Tildy, ale... z kobietą... której twarz zwrócona była do wnętrza domu... Postać wszakże wcale do Tildy nie była podobną; różniła się od niej kształtami daleko wspaniałej rozwiniętemi...

— Czekaj-no, to bardzo być może żeśmy na rich trafili, odparł Jakób, bo oto... przysięgłbym że widzę przed sobą... pana Henryka. Ale to imaginacja...

— Chyba nie, zawołał Iwaś, bo niezawodnie on... on...

Jakóbowi aż serce zabiło.

— Nie, to być nie może, dodał szybko, rachując nawet na najpowolniejszą jazdę, na łamanie się *vettury*, jużby nas dawno wyprzedzić powinni... Ale w tém zawołał żywo:

— Ale tak! to oni! to Henryk! Cóż się stało?

Chyba zachorowała może? Mieli się zbliżyć, gdy jakaś myśl tajemna go powstrzymała.

— Musimy, rzekł do Iwasia, szukać gospody gdzieindziej, nie wypada mi się narzucać... onaby mnie mogła posądzić że za nią gonię jako jakiś pospolity, natrętny kochanek... tego ja nie chcę. Idź i przekonaj się, jeźliś łaskaw, czy to oni...

Iwaś pospieszył, Jakób usiadł tymczasem na krześle pod jakimś *Cafe di gran Colombo*, u którego drzwi wypadkiem się byli zatrzymali. Upłynął dobry kwadrans nim wysłaniec, który aż do wnętrza Albergo dotarł, powrócił, ale z twarzą zakłopotaną.

— Cóż tam? zapytał Jakób.

— No, coś czego ja nie rozumiem, odezwał się Iwaś ruszając ramionami. Widziałem sam jak wyjeżdżali z Genui... tymczasem jest to wprawdzie on, ale kobieta z nim wcale inna.

— To ci się śni! śmiejąc się Jakób, nie przyjrzyłeś się jój naówczas, nie poznałeś teraz.

— Ale ba, zawołał młody człowiek — tamtę ja dopóki życia będę pamiętał, jój wejrzenie nie zapomina się nigdy, .. a ta, ha, to jest jakaś młodziuchna, tłusta, wesola Włoszka, trzpiotowata..,

jak niebo do ziemi, a raczej jak ziemia do nieba do tamtej niepodobna.

— A no! więc i mężczyzna znów, chyba nie on... ale inny ktoś...

— Mężczyzna to niezawodnie on, rzekł Iwaś.

— I jest ich tylko dwoje? spytał niedowierzająco Jakób.

— A dwoje, i zdają się rozmiłowani w sobie tymczasem jak para gołębi. Panna czy pani zajada brzoskwinie i rzuca mu w twarz pestkami, śmieje się i śpiewa aż ją tu słyhać.

Jakób potrząsnął głową.

— Idę, rzekł wstając, bo jestem pewny, że to ci się coś przywidzieć musiało... jakaś omyłka... inni ludzie...

Poszli oba, ale o kilka kroków Jakób wpatrzywszy się w twarz mężczyzny zatrzymał się znowu, poznał Henryka, nie było najmniejszej wątpliwości że to był on... tylko w istocie, nie wiadomo z kim... z kimś wyglądającym bardzo na baletnicę teatru Carlo Felice.

Już się miał Jakób cofnąć po tym rekonesansie, gdy Henryk Segel zobaczywszy go, sam pierwszy wesoło pozdrowił i zbliżył się ku niemu.

— A! to ty! zawołał śmiejąc się, łapiesz mnie

na gorącym uczynku.... Wystaw sobie Tilda chora... została w Genui odprowadziwszy mnie do Nervi... przepędzi tam jeszcze spokojnie parę tygodni... ja potrzebowałem się trochę przejechać i właśnie, w drodze, trafem spotkaliśmy się z dawną moją dobrą znajomą Signorą Gigante... która... uśmiechnął się dwuznacznie, narzuciła mi się gwałtem na towarzyszkę.... Pojmujesz, dodał, jestem taki znudzony, zmęczony tą jednostajnością życia, żem przyjął jój projekt i wycieczkę z ochotą... *affaire de rire un peu*. — Gigante jest wyśmienita, głupia i wesoła jak dziecko; nie wyobrażasz sobie do jakiego stopnia zabawna.... To mnie przynajmniej cokolwiek rozerwie.

Mówił to jak się rzecz w świecie najnaturalniejszą opowiada; Jakób stał osłupiały uszom swym prawie nie wierząc, nie wiedział co mu odpowiedzieć, był oburzony i wściekły.

— Tilda, dodał mąż, Tilda, *vous savez*, jest najdoskonalszą między niewiastami, ale ideały nawet w końcu trują gdy się ich używa do zbytku. Zawsze o poważnych rzeczach poważnie rozprawiać niepodobna, człowiek pracy, jak ja, potrzebuje się rozerwać, wytchnąć... Gigante jest nieocenionym pajazzo w spódniczce.... No, chodź, wszakże po-

dzielicie z nami wieczerzę... *affaire de rire*, mówię ci, uśmiejesz się.

Jakób był gniewny, rzucił nań okiem płomienistém z razu, ale wnet dziwne jakieś uczucie szatańsko ścisnęło mu serce, rozśmiał się dziko.

— Najchętniej, rzekł z ironią, na to jest życie ażeby się bawić?

Gigante już się sama niecierpliwiąc, zbliżała ku nim, widocznie intrygowali ją ci dwaj młodzi podróżni, którym przyglądała się z ciekawością, szczególnież Jakóbowi. Iwaś był dla niej za mizerny, za ubogi, za mało obiecujący. Szła ku nim ze śpiewką na ustach, którą wśród ulicy wesołym nuciła głosem:

Oh quanto tempo sola sono stata,  
Sola soletta come vedovella!  
Che cor fu il tuo vedermi abandonata  
E lasciar senza sole la tua stella!

Wyrazy téj ludowój piosenki były szydersko zastosowane do Henryka!

„Jakżeś na długo opuścił mnie samą,  
Samą, samiutką jak wdowę!  
Miałżeś to serce tak biedną porzucić,  
Swoją gwiazdeczkę bez słońca!“

Segel śmiał się słuchając téj apostrofy, której

towarzyszyły ruchy wyraziste, pociągające go na powrót. Nie skończywszy tego czułego śpiewu, z innego tonu, wesoło poczęła panna Gigante odmienną wcale drugą, której treść dziwacznie się z melodyą sprzeczała, wyrazy były bolesne, śpiew szalenie radośny i pijany:

La tortora che ha perso la compagna,  
Fa una vita molto dolorosa,  
Va in fumaticello, e vi si bagna,  
E beve di quell' acqua torbidosà;  
Cogli altri uccelli non ci s'accompagna;  
Negli alberi fioriti non si posa;  
Si bagna l'ale e si percuote il petto,  
Ha perso la compagna: oh che tormento!

Żywa pantomima przedstawująca biedną turkaweczkę towarzyszyła temu śpiewowi:

Turkawka która straci towarzysza.  
Żyje bolesnym żywotem...  
Leci do rzeczki, i kąpie się w wodzie  
I pije wodę zmaconą...  
Z innemi ptaki nie poleci razem,  
Kąpie swe skrzydła i piersi rozdziera,  
Straciła towarzysza! o męczarnie!

Towarzyszem turkawki straconym był widocznie pan Henryk, który się śmiał do rozpuku. Signora odegrawszy ten popisowy prolog, zbliżyła się. Henryk zamruczawszy coś, obu panów jój przedstawił.



— A! *Signori Polachi!* ja bardzo kocham Polaków, szczebiotała żywo kręcąc się Włoszka. *E vi-va la povera Polonia!* Cha! cha! Czyż to prawda że u was tak zimno, tak zimno że czasem wyrazy marzną w powietrzu i dopiero na wiosnę tają?

Bolonia... Polonia... ale to nie jedno przecie? *un paëse di martiri...*

Potém przerwała:

— Byliście w Genui? chodziliście do teatru... ja przecie tańcuję i śpiewam w Carlo Felice... nie w *diurno*... często występuję w chórach i zwracam oczy... dawno mam przyobiecana rolę *di primo mezzo soprano*. Widzieliście mnie może w roli Wróżki? Nie, to szkoda!

— Signora Gigante, przerwał Henryk, powoli, powoli, wszystko im wypowiesz od razu, a cóż zostanie na potém?

— O! tyle umiem piosnek, odparła, jak nikt! z całych Włoch... mam ich pełne kieszenie, zresztą gdyby mi słów zabrakło, będę na nich patrzeć aż poszaleją... tobie na złość zazdrośniku!

— Alem ja wcale nie zazdrośny! rzekł Henryk.

— Jak to nie? powinienes nim być, kiedy się kochamy, to należy do twojej roli...

— Ale tylko do Lukki, wedle umowy! rzekł śmiejąc się Henryk.

— Nic nie szkodzi, nim dojdziemy do Lukki, ja cię do szaleństwa doprowadzę! zawołała śmiejąc się. — A wy, panowie artyści wędrujący pieszo, dokąd? czy wolno spytać?

— My, idziemy do Pizy! rzekł Iwaś.

— A! do Pizy! *Pisa morta!* nudna! cmentarz... Arno jakby pomyi było pełne... błotniste... fe! fe! przerwała Włoszka. — Panowie powinniście pójść za moim wozem zwyciężkim do Lukki, tam każdemu z was dam — po fidze i pożegnam.

Zaczęła się śmiać do rozpuku i znowu śpiewać:

Cupido, che siei giudice d'amore,  
Giudica questo fatto, e manifesta:  
E dimmi chi lo soffire piu dolore,  
L'uomo che va, sa donna che resta!

(Kupido, któryś jest miłości sędzią,

Sądź ten czyn proszę, wyrokuj,

I powiedz kto z nas cierpi więcej:

Mężczyzna który rzuca, czy kobieta opuszczona.)

Skończyła znowu śpiew śmiechem, ujęła Henryka pod rękę i pogłaskała pod brodę deklamując przesadnie:

Fior di bambace!

Senti la chitarra cosa dice:

Non piu guerra, bien mio, famo la pace.

(Kwiecie bawełny! Słuchaj co mówi gitara: dosyć wojny, mój drogi, zawrzyjmy pokój z sobą.

Piosenki były dobrze podobierane. Henryk dał jej dłoń na znak zgody. — Jakób szedł, słuchał, napawał się jakąś goryczą, która się na chmurném przebijała czole. Postał tak chwilę, potem nic nie mówiąc, skłoniwszy się zaledwie, wysunął się i opuścił wesołe towarzystwo.

Wythumaczył się bólem głowy zostawując chudego Iwasia na pastwę pannie Gigante. Serce mu krwią zachodziło! Mąż téj biednej kobiety która tam sama jedna pozostała, włóczył się goniąc najpospolitsze rozrywki, jeźli się to nawet rozrywkami godziło nazywać... a ona! Mógł sobie już wyobrazić to pożycie, którego wymowną próbkę dał ten wypadek.

Jako człowiek rozkochany i stęskniony cierpiał także Jakób i doznawał przykrego uczucia, myśląc sobie że mógł być pozostać w Genui, widzieć ją może, mówić... Była samą.

Ale wprędce wzdrygnął się na myśl zdrady i ta-

kiego potajemnego korzystania z nieobecności męża — uwłaczającego im obojgu.

— Co się stało, rzekł w duchu pojąc się goryczą — stało się dobrze, opatrzenie, choć boleśnie; nie powinienem zatruwać jój spokoju, starać się zbliżyć do niej, rozdzierać serce jój i sobie. Rozdzielił nas los, mnie wołają obowiązki wielkie, ją boleść która jój cześć przynosi; nie mamy prawa kraść chwil tego raju który nie do nas należy. Dola pędzi dalej a dalej żelazną różgą... idźmy!

Późno w noc powrócił do mieszkania wspólnego Iwaś dobrze podpojony i rozmarzony przez niegodziwą Gigante, która ścierpieć nie mogąc że się jój wydał obojętnym, oczyma go na węgiel paliła, śmiejąc się, wdzięcząc, zarzucając niedorzeczными pytaniami. Signore Enrico, który na tę flibustierską wyprawę przybrał imię don Fernanda i mienił się być hiszpanem, był uszczęśliwiony swą zdobyczą, jój wesołością i głupotą... Wieczór spędzili nader huczno, ochoczo i trzpiocząc się po młodemu.

Zmieszał się Iwaś wszedłszy ze śpiewką na ustach której go nauczyła Signora Gigante, zastając Jakóba nad biblią... Była to zwykła pociecha biednego człowieka, który w strapieniu uciekał się do ulubionych swoich ksiąg, proroków, psalmów i Hioba.

Późno w noc, dogorywająca lampka zmusiła go czytanie porzucić.

Wstał i przechadzał się smętny po pokoju, Iwaś nie spał, zawstydzony i przybity jego smutkiem...

— Byłeś kiedy w Dreźnie? spytał go z nienacka stając przed jego łóżkiem Jakób.

— Byłem, odparł młody człowiek nie rozumiejąc o co idzie.

— Widziałeś tam poemat izraelskiej przeszłości, mówił Jakób... ponury, tęskny, bolesny, który ja wolę nad dzisiejszą rozpustę bezmyślną z bogatych bachurów takich jak ten Henryk... Widziałeś cmentarz żydowski Ruisdaela??

— Widziałem... rzekł cicho młody człowiek, przestraszył mnie ale go nie zrozumiał, jest to zagadkowy obraz, przerażający bólem jaki z niego tryska...

— Całymi godzinami można się wpatrywać w tę kartę, w ten poemat niewysłowionych smutków, mówił Jakób, niezgłębionej boleści tajemnej... przerażającej jak historia atrydów, napiętnowanej fatalizmem wiekowym dziejów nieubłaganych... ale ja wolę te łzy co płyną u cmentarza wielkiego malarza, niż śmiech co się rozlega z ust bezmyślnego

Henryka, przedstawującego całe pokolenie ogłupiałe zbytkiem, okamieniałe od złota...

Cóż to za cudowny utwór ten kawał szarego płótna, na którym zrazu widać tylko pokłębione chmury i kilka czarnych drzew, które burza odarła.

Przypatrz się jednak... niebo ciemne, trochę kamieni, pnie drzew i gęszcze tajemnicze, głębokie... przez jakieś porwane trzęsawiska sączy się zgniły strumień, oto cały materiał obrazu stworzonego z tych kilku rzeczy pospolitych... z siłą wyrazu niewypowiedzianą. Ów niedoszły lekarz a artysta zachwycający, Ruisdael, malarz posępnych skał, ruin, wody, ani w swym klasztorze, ani w zamku, ani w lasach i jeziorach mnogich, równie może pięknych, ale daleko mniej wymownych, nie wypowiedział tak całego swojego genjuszu jak tutaj... tu on jest mistrzem podnoszącym się do epopei... Nigdy krajobraz jeszcze nie był tak straszny, tak zarazem jasno mówiący, tak majestatycznie wielki i piękny... żaden jasny Claude Lorrain uśmiechający się grą południowych promieni słonecznych, żaden Salvator Rosa ze zbójcejką jaskinią i rozczochranymi drzewy, martwemi gruzami i ziemnemi bryły nie potrafił tak wiele wyśpiewać... To tęskna karta czarna dziejów narodu odepchniętego, prze-

śladowanego, które mu na cmentarném nawet wygnaniu wśród zgnielizny i ruin, nie ma na ziemi spokoju... Tu ludzi nie ma, ale jest burza, ulewa i potok który niszczy i rozrywa... nawet kości śpiące w grobowcach.

Fatalizm i tu ich ściga...

Chcąc dolę Izraelitów odmalować nie mógł malarz nic innego wybrać nad cmentarz cmentarza... spoczynek i tu jeszcze niepewny — pod ruiną świątyni zburzonej... na której gruzach dwoje ludzi modli się gdzieś w głębi, czekając by burza odeszła i zaświeciło słońce.

Ale w końcu XVII. wieku gdy obraz ten malował, tęcza jeszcze była daleko, słońce za chmurami, promyk jego zaledwie się przedzierał i padał na grób, nad którym dzikie z litości kwitły krzewy.

Co tu za smutek, jakie przerażenie panuje w całym obrazie... wypowiedzieć niepodobna... To miejsce ostatniego spoczynku wygnańców zdaje się przesładować niegościnna ziemia... woda podmywa groby, drzewa je poją wilgocią cieniów, burza rozwała i miota gałęzmi, a mimo to... dwoje ludzi się tu modli i kwiat biały rozkwita nadzieją wiosny...

Tak — na pozór sam smutek wieje od téj karty zapisanej wszystkimi rozpaczami wygnania i śmierci



na obcej ziemi; straszną się zdaje bez nadziei i przyszłości, ale na tle niebios oprócz dalekiej tęczy, oprócz niedostrzeżonego prawie kąta niebios jasnego... jest coś co zwiastuje pokój i wypoczynek. Na jednym, jedynym, białym, potrzaskanym już grobowcu świeci promyczka słonecznego odbłask, po nad nim tulący go krzew dziki weselném kwieciem się rozwija. I dwoje ludzi się modli, mężczyzna i niewiasta, skrytych głęboko, zaledwie dostrzeżonych.

Wiosna, modlitwa, promień słońca... ledwie są dostrzeżone oku tego, co pilniej spoziera w te czarne, chmurne obsłony, samą zdające się rozpaczą i żałobą okrywać....

Cmentarz był całą historią Izraelitów w Europie od wieków aż po dzień dzisiejszy, gdy się nią stała giełda... gdyśmy wniesli się do pałaców po zrujnowanych panach i sami zapragnęli być nimi.

Niestety! umieliśmy płakać na grobach, nie nie umiemy śmiać się w tych złocistych pustkach i trzeba będzie może znowu tysięcy lat próby nowój, abyśmy odzyskali tę godność jaką nas okrywało męczeństwo....

Jakób westchnął....

---

Nazajutrz rano wstał Iwaś sposobiąc się do dalszej podróży, ale towarzysza swego już nie znalazł w mieszkaniu, gospodyni oznajmiła mu, że o pierwszym brzasku wyszedł z książką nad brzeg morza.

Ranek był prześliczny, po gładkiej wodzie powierzchni snuły się łodzie rybackie z opadłymi żaglami białymi, słońce pasy złotymi odbijało się w lazurach tych cudnych fali stworzonych by kołysały do snów i marzeń szczęśliwych.

Nieopodal od gospody, gdzie była kupka drzew, Jakób zasiadł na kamieniach u brzegu, spoczywał i wczytany w księgę, zdawał się cały w tym widoku i w swych dumach...

Iwaś miał z razu na sumieniu przerwać mu myśli poważne, które go od świata odrywały, ale słońce zaczynało dopiekać, trzeba było z dnia korzystać; po chwili więc wahania zbliżył się powoli do towarzysza i powitał go. Jakób podniósł głowę, na twarzy jego znać było ślady przeboleń

godzin i walki wewnętrznej, ale już uspokojonej rozmyślaniem.

— Słuchaj, rzekł do Iwasia, po co my się tak bardzo spieszyć mamy? czyż nie moglibyśmy tu, nad spokojnym morza brzegiem przesiedzieć choćby jeden dzień, by zebrać ducha i wypocząć?

— Jak chcesz, odparł Iwaś, dzień jeden w długiej podróży nie waży wiele, pojmuję bardzo że po doznanym bólu, chciałbyś wytechnąć i zaczerpnąć siły od téj matki, którą jak Anteusz stopą, duchem musi dotknąć człowiek, gdy osłabnie. Ale wyznam ci, dodał z cicha, że mnie coraz większa opanowuje tęsknica. Ty może nie znasz uczucia tego, ono mnie, mimo postrachu, gna i pędzi ku chmurnemu niebu nad którem zawisł ucisk, gdzie panuje płacz i tęsknica, a przecież droższy on mi jest nad wszystko. Nie mam tam nikogo, nie mam zagona własnego na téj ziemi, przecież tęsknię do niej i ściska mi się serce na jój wspomnienie, i codzień mi tam pilniej powrócić.

— Nie sądz by to uczucie było mi obcém, rzekł Jakób, i ja kocham tę smętnych losów ziemię, i ja się tam urodziłem, wychowałem, marzyłem, i ja jój przedewszystkiém winienem samego siebie. To niewysłowione uczucie miłości ojczyzny, które jest

zbiorem wszystkich uczuć szlachetnych, rozgrzewa też serce moje.

— Dla czegoż nie wszystkich twych braci zarówno! westchnął Iwaś.

— Ciężkie to do rozwiązania pytanie, odparł Jakób, ale najprędzej na nie odpowie przeszłość.

Nieśmy nie mieli, nie też kochać nie mogliśmy: lepsze serca z potrzeby uczucia kochały boleść swoją, gorsze zrażały się od całego świata.

Przypomnij czém był żyd w średnich wiekach, prawie aż do naszych czasów, czém on jeszcze nawet do téj chwili! Znaczono nas na odzieży jak zapowietrzonych, odbierano nam prawa najdroższe człowiekowi, byliśmy banitami wśród kraju, każdy się znęcać mógł nad nami bezkarnie, naostatek obrzucano nas potwarzami najdziksze, nie było zgrozy, którejbyśmy się nie dopuszczali. Pod takim uciskiem mogłaż się wyrobić miłość dla kraju i jego instytucji? dla ludzkości w ogóle, z której nas wyłączano?

— Jakkolwiek, rzekł Iwaś wcale nie jestem chwalcą przeszłości i daleko skłonniejszym do potępiania jój niż do uniewinniania, spytam cię się wszakże — gdzie było inaczej? w jakim kraju było lepiej? Na dowód że w Polsce nie musiało być go-

rzój, dosyć jest tego że w niej wszakże było żydów więcej niż gdzieindziej, że się tu osiedlali przychodząc zewsząd, a od nas nie wychodzili nigdzie. — Wyjątkowo były prześladowania, ogólnie prawo oślaniało; fanatyzm religijny dopuszczał się często ucisku, ale gdzież podobnych przykładów nie znajdziecie?

— Zgadzam się na to wszystko — rzekł Jakób, wieleście wy, ale dużo i my sami winniśmy; dziś jest lżej nie dla tego żeby nam sprawiedliwość oddać chciano — skutek to wieku, obyczajów łagodniejszych, naostatek téj zimnej obojętności — która, według mnie jest chorobą wieku. Nie prześladowają żydów, bo w istocie oni żydami być przestają, a wam téż chrześcijaństwo z serc wystygło. Fanatyzm przy ciemnocie był straszliwy, ale kto wie czy dla ludzkości zgubniejszą nie będzie niewiara.

Dla tego myślę i płaczę myśląc jakby od niej, choćby mój naród, który pierwszy poznał prawdziwego Boga, wybawić — jakby weń tchnąć odżywionego, religijnego ducha. Patrz, dodał, otośmy wczoraj mieli mały przykład żywota człowieka, który nie czuje nad sobą żadnego prawa obowiązującego i otrząsał się z wszelkiego wstydu i uczucia. Człowiek ten porzuciwszy gdzieś chorą żonę, uciekł się roz-

rywać z najpospolitszą w świecie kobietą pogardy godną. To jeszcze nic może, słabość głupia, powiesz mi, ale czyś postrzegł w nim najmniejszy wstyd gdyśmy go niespodzianie zaskoczyli; jemu się to zdawało naturalném, zupełnie usprawiedliwioném, zwyczajném, prostém, prawie konieczném. Mała to próba obyczajów wieku, jam już miał przed oczyma tysiące innego rodzaju w obejściu się z ludźmi, z rodziną. Ten człowiek co nie poszanował towarzyski swojego życia, poszanujesz ciebie, mnie, w innych stosunkach? Jeśliś mu potrzebnym chwilowo posadzi cię u stołu, przyjmie, ugości; gdy się staniesz obojętnym, nie pozna, odepchnie... Z możnym i znaczącym będzie uniżonym i pokornym, z małym i słabym, hardym i bezlitośnym. Tysiące usługnych teoryi znajdzie się na usprawiedliwienie braku serca i powiedzą ci odpychając ubogich że ich ubóstwo pochodzi z niedołęstwa, z próżnowania, z nieopatrzności nieuleczonej, że zasiłek dany nędzy demoralizuje, że współczucie jest szafunkiem sił niepotrzebnych i dowodem słabości.

Świat dzisiejszy nasz i wasz, mówił Jakób, nie szanuje już nic, widok jego zakrwawia serce; po-

trzeba proroka coby Izajaszową wymową wywiódł go z drogi omylnéj, z gościńców błędu...

To mówiąc otworzył biblią i czytał: „Słuchajcie wyspy, a pilnujcie narodowie z daleka. — Pan z żywota powołał mnie, z żywota matki mojej wspominał na imie moje... I położył usta moje jako miecz ostry, pod cieniem ręki swéj zakrył mię... i położył mię jako strzałę wyborną... w sajdaku swym skrył mię. I rzekł mi: Sługa mój, jesteś ty Izraelu... bo się w tobie chlubić będę...

„A jam rzekł: Próznom pracowałem, bez przyczyny i po próznicy strawiłem siłę moją, przetoż sąd mój z panem, a sprawa moja z Bogiem moim...

„A teraz mówi pan, który mnie utworzył z żywota sługą sobie, abych nawrócił Jakóba ku niemu, a Izrael nie zbierze się... i jestem wsławion przed oczyma pańskimi....“

Ileż razy, szeptał po cichu — odczytywałem to miejsce, stosując je milcząco do siebie, zuchwały! dziś od tych chwil pierwszych daleko... dla mnie upłynęła już ćwierć najdłuższego życia człowieczego, ja stoję w miejscu wkuty, nie uczyniwszy kroku, nie posunąłem się wcale... nie wiem już nawet dokąd iść... choć wiem że potrzeba abym szedł...

Gdyby powstał inny prorok, dodał, powłóklbym

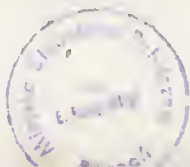


się w ślady jego jako służebnik... ale śmiechy rozlegają się po pustkowiu, biesiaduje Izrael z niewiernymi, z córkami Moabitów, pieści się i ucztuje z poganymi i zmieszał się z pokalanami... a Bóg mu nawet, wzgardziwszy nim, nie chce zesłać męża coby nań zawołał... bo już może lud ten niegodzien jest wejrzenia Bożego, głosu Bożego i męża od Boga zesłanego.

I wyście nad nas nie lepsi, zawołał unosząc się Jakób i powstając z ziemi — i wy jak my w straszliwym jesteście upadku; oszaleni, pijani, rozpasani na szyderstwo. Gdzież Bóg wasz? gdzie jakiegokolwiek Bóg i jakiegokolwiek świętość w świecie dzisiejszym? gdzie wasza gwiazda przewodna? — Ciemności ogarnęły ziemię... zapalono lampy, przyniesiono dzbany, legli rozpustnicy na łóżach i ucztują Baltazary!... nie warci by palec Boży napisał im przestrozę na ścianie...

Sąż to ludzie te istoty obleczone ludzkim ciałem, mówiące językiem człowieczym, a bez ducha, bez serca i bez Boga?...

Wiesz, przeszedłem świat stary ten... płynąłem na wschód, zwiedziłem grody Palestyny i narody pomiędzy którymi rozsypany jest Izrael, badałem mahometanów i siadałem pod namiotem arabów;



wszędzie już wionął ten duch śmierci, zwątpienia, duch niewiary.

Tłumy jeszcze wloką się do Mekki ale to szczątki ubiegłych wieków, niedobitki przeszłości. — Starzy jeszcze czytają biblią, ale to węgle ostatnie co iskrzą się pod kupą popiołów. Pomiedzy chrześcianami więcej znalazłem frymarczących wiarą niż wierzących, religia stała się stronnictwem, laską na której opiera się kulawa polityka zardzewiałych ludzi; rachubą, spekulacją, towarzystwem na akcye, ale nie jest już dla nich świętością... Jój obrońcy są żołnierzem najemnym, bronią oni wiary po condottiersku, ale sami jój nie mają... Veuillot się może nie spowiadać, a z pewnością się nie modli... ale za to jak plwa w twarz swoim antagonistom przeciwnego towarzystwa, akcyonariuszom wolnego myślenia!! — Dla innych ludzi starego autoramentu, religia to mundur należący do ich stanu który przywdziewają aby wiedziano że do niebieskiej krwi należą. Gdzież jest ten coby wierzył dla siebie, po cichu a głęboko??

W gruzy się rozsypuje tyle tysięcy lat trwający porządek społeczny... coś nowego ma go wynagrodzić — ale dziś burzą się tylko stare gmachy, wywracają kolumny, łamią ołtarze i oczyszczają to pole.

po którym za wozem zniszczenia, przyjdzie nowy Messyas, wybawca.

Nie dziwuję się gdy czytam w waszych księgach przepowiednie końca świata, dla mnie on się widomie kończy, bo z rodu ludzkiego co podlatywał ku aniołom... zmienia się człowiek w zwierzę cywilizowane...

— Nielitościwym jesteś, odezwał się Iwaś powoli — ja także wierzę w nowy rzeczy porządek, ale nie sądzę żeby miał być kataklyzmem okupionym, a gdyby tak nawet było — nie trwałby on długo i nie obaliłby wszystkiego.

Jakób zadumany patrzył na morze.

— Mówmy o czém inném, rzekł, Bóg jeden wie przyszłość, my nędzni tylko bole terażniejszości znosić jesteśmy przeznaczeni.

— Azatém mówmyż o terażniejszości, przerwał uśmiechając się Iwaś, więc idziemy dalej, czy zostajemy tu?

— Zostańmy, rzekł Jakób prosząc, jestem dziś leniwy i potrzebuję się pokrzepić czytaniem, rozmową, myśleniem w pokoju... Będę słuchać morza, ono mi może co powie.

— Chory jesteś, odpowiedział towarzysz — żal mi ciebie, a po ludzku, choroba twoja wzrosła, je-

śli nie narodziła się z bardzo prostéj przyczyny.  
— Uderz się w piersi, może ci żal że nie zosta-  
łeś w Genui... gdzie tęskni twoja jedyna.

Jakób się smutnie uśmiechnął.

— Jakże ty mnie straszliwie po ludzku sądzisz,  
rzekł łagodnie — myślisz że gdy jest samą, opu-  
szczoną, jabym śmiał zbliżyć się do niej, aby ją  
narazić choćby na wewnętrzznego wstydu rumieniec?  
Mój ból nie z tego pochodzi, ale z przekonania  
jak nikczemnym i niegodnym jój jest ten z któ-  
rym ją połączono... myślę co ona z nim cierpieć  
musi?... jakie jój życie z tém zwierzęciem?

— Na to nie poradziemy, choćbyśmy najdlu-  
żej się tém gryźli, zawołał Jan, tam gdzie lekar-  
stwa nie ma pocóż się chorobie przypatrywać?

— Masz słuszość, odwróćmy oczy — milczmy.

To mówiąc zebrali książki rozrzucone na ziemi  
i powoli szli razem ku gospodzie. Jakób po dro-  
dze czytał w nich smutny i roztargniony.

Dzień przeszedł na obojętniejszych rozmowach;  
w miasteczku już śladu pana Henryka nie znaleźli,  
on i jego towarzyszka wybrali się z rana, chłodem,  
w dalszą drogę, na Spezię. — Może dla tego Ja-  
kób pospieszać nie chciał i został.

Nad wieczór wyszli znowu i usiedli nad morza

brzegiem; wszczęła się mowa o kraju, o życiu dalszém Jakóba, a Jan znowu skłonił go do opowiadania o sobie.

— Koniec końcem, rzekł, ja jeszcze życia twojego nie znam całego, jakieś mi przyrzekł... dajesz z niego tylko powydzierane karty.

— Bo wiele w téj księdze niezapisanych, a wiele czytania nie warto. Gdybym ci chciał ten żywot ogołocony z wielkich wypadków, w którém największego znaczenia były moralne wpływy i postrzeżenia, określić cały, nie stałoby nam czasu, tobie szczególniej cierpliwości. Często w niém jedno wejrzenie, ruch, słowo, wiele dla mnie stanowiły, a jakże ci ich tajemnicze znaczenie wytłumaczyć?

Pracowałem w kantorze pół dnia, część byłem niemal zmuszony poświęcić towarzystwu, stosunkom z ludźmi choćby dla poznania świata; wieczory szczęśliwemi rozmawialiśmy z Tildą, część nocy czytywałem biblią i talmud; bom sobie postanowił, wśród tego zubożnienia ogólnego nie dać zawładnąć nad sobą niewiarze i odrętwiałości. Od pierwszych dni pobytu mego w Warszawie zwrócił na siebie oczy moje i pociągnął serce ku sobie człowiek jeden, którego potem spotykałem prawie

codzienne. Był to brat mojego opiekuna, mój też krewny daleki. Zwał się on Symon Borah.

Bracia dwaj nie lubili się z sobą. — Symon na-przód nie był wcale człowiekiem praktycznym, stracił znaczną część majątku, handel jego szedł źle i biednie. Opiekun mój już dla tego samego że z obowiązku familijnego, pomagać mu i ratować go musiał, miał wstręt do niego; potem dwie też ich natury były z sobą sprzeczne, nieprzyjazne sobie. Symon tak dobrze jak brat jego nie miał żadnej wiary, ale był uczuciowym, fantastą, miał serce, przywiewywał się łatwo, był płochy, dziecinny czasem a jedynym przymiotem rehabilitującym go w oczach ludzi był dosyć ostry dowcip którym drugich i siebie kaleczył nielitościwie, nie oszczędzając naturalnie i brata.

Symon dwa razy był żonaty, postradał obie żony; kobieciarz był wielki, zepsuty, sceptyk; miał wszakże w sobie coś wielce sympatycznego, jak zwykle tego rodzaju egości. — W towarzystwie milszego, zabawniejszego nadeń człowieka trudno było znaleźć, obawiano się go i kochano. Takim jakim był Symon przedstawił się jako ciekawy owoc wieku i społeczeństwa... nie miał wiary a chwycił chciwie co nią tchnęło, urągał się wszystkiemu choć

gotów był pokochać wszystko... uniewinnił każdego w duchu, a z wszystkich sztychł nielitościwie. Ze łąką na oku a uśmiechem na ustach, stary, szpakowaciejący dzieciak, dawał sobą miotać tym co go nie byli warci, a miewał fantazje burzliwe jak słoń na uwięzi, w których nic go pohamować nie mogło.

Symon pełen był sprzeczności, a jednak ściśle logicznym w sobie. — Rzekłbyś wybujałe drzewo, którem wiatr miota na wszystkie strony, a strząsać go nie może. — Niekiedy Symon bywał wielbicielem chrześcijańskiej nauki, czasem zapalonym żydem, (na przekór zawsze tym z którymi obcował.) — Człowiek pierwszych wrażeń które przyjmował namiętnie, gwałtownie; nazajutrz po burzy straszliwej, pytał ziewając o to co go poruszyło z obojętnością niepojętą.

Miał jednak to do siebie że nigdy nie kłamał, nie udawał, a gdy prawdy powiedzieć nie mógł, milczał, gdy nie potrafił zamilczeć rzucał myśl swą obwiniętą w sarkazm zręczny, tak że wielu tylko jej szata zewnętrzna była przystępną. Owoc się bronił łupiną.

Trudno bym ci charakter ten w pełni przedstawić i dać o nim zdołał wyobrażenie. Wystaw so-



bie pocziwego dziwaka zjedzonego do kości niewiarą, która go boli. Opiekun mój wielki wszelkich przyzwoitości (jedyne prawa jakie uznawał) wielbiciel, chociaż byle ona powierzchownie była zachowana, o nic się więcej nie troszczył; nie mógł się nigdy pogodzić z tym człowiekiem, któremu wszelka niewola ducha ciążyła. Ile razy Symon do niego przyszedł, a przychodził często, widać było niepokój na twarzy gospodarza, zwłaszcza jeżeli osób było więcej; obawiał się i nie bez przyczyny tego straszliwego języka. Symon téż, choć się nie popisывał z dowcipem, w pochwach go nie trzymał, dobywał z ochotą jeśli mu się zręczność nastroczyła. Mały, chudy, żółty, żywy, niepiękny, miał fizyognomią zajmującą i wiele charakteru w twarzy.

Od pierwszych dni poznania, mimo mojej młodości i usposobienia religijnego z którym się nie kryłem wcale, przylgnął on jakoś do mnie. Dowiedziałem się że po cichu badał potem postępowanie moje i musiałem dobrą jego powziętą o mnie opinią usprawiedliwić, gdyż coraz czulszym był dla mnie. Nie wiem jak bystre jego oko dojrzało nawet mojego do Tildy przywiązania, jakkolwiek cichego i osłoniętego — wprzód prawie niżelim się sam do niego przed sobą przyznał. Raz, gdyśmy

prypadkiem byli sami, wpatrzywszy się we mnie i poklepawszy po ramieniu, rzekł z cicha.

— Słuchaj Jakóbie, jabym ci coś powiedział...

Zwykle zwano go, nie wiedzieć dla czego, może przez antithezę, ojcem Symonem.

— Cóż ojcie Symonie? spytałem.

— Ale ba, tyś się gotów gniewać?

— Nie, odparłem....

— Tobie z oczów patrzy że się ty kochasz... czy w Angielce guwernantce, nie wiem, są ludzie co utrzymują że przywiedle kwiatki najwięcej mają woni — ale że w tym domu, to pewna...

Krew mi uderzyła do głowy, oburzyłem się.

— A widzisz że się gniewasz, rzekł, cicho — cicho, to między nami, tylko cię przestrzegam słowy N. Pana — *Point des reveries!* Tatko jest człowiek praktyczny a ręce ma długie.

— Ale cóż wy znowu marzycie, ojcie Symonie.

— No, no, nie kłam, kochasz się, serce.

— Gdyby nawet tak i było — choć nie jest, rzekłem, miłość moja byłaby...

— No, no, cicho, przerwał mi, ja to wiem, wszyscyśmy to mówili... Co najlepszego masz do uczynienia to się ztąd wynosić. Nie igraj z o-

gniem... Ten Ananas nie dla nas! dodał kiwając głową.

— Nigdy nawet nie marzył o tém, rzekłem.

— Tak się to mówi, odpowiedział, nawet przed sobą samym... ale, przestrzegam cię — dałbyś temu pokój.

Zamilkł i nie wspomniał o tém więcej, potem wyjechał za granicę do wód, a powróciwszy zastał Tildę narzeczoną. Gdyśmy się po jego powrocie pierwszy raz spotkali, patrzył mi w oczy chciwie, badawczo, z politowaniem, wyczytał w nich rezygnacyą i cierpienie dobrze ukryte, ścisnął mi rękę; ale już nie rzekł ni słowa.

W parę dni potem spotkaliśmy się na ulicy.

— Jest to prawo święte, rzekł mi na ucho, że najśłodsze wiśnie wróble jedzą. I poszedł spiesźnie dalej.

Kochał bardzo Tildę, przeczuwał jój losy, ale z bratem wiedział dobrze że nawet mówić nie było można; miał wolę żelazną, a uczucia nie wchodziły nigdy w jego rachunki.

Pracowałem ciągle gorliwie, nie dając znać po sobie ile wewnątrz cierpiałem. Tymczasem najnie spodziewańsza czekała mnie zmiana losu, mająca upragnioną obdarzyć swobodą.

Będąc na łasce opiekuna musiałem oddać się praktyce życia po jego myśli i słuchać jego rozkazów; nauka ciągnęła mnie ale się jój poświęcić wyłączeniéj, swobodnie nie miałem prawa. Była mowa o wyprawieniu mnie za granicę dla dokończenia fachowego wychowania i zajęcia biurowego u jednego z korespondentów naszego domu, jam wzdychał żeby móżdż podróżować swobodnie, uczyć się i badać, ale pomyśleć o tém nawet nie śmiałem.

Uważałem to i uważam za skazówkę z góry, że mnie Pan Bóg cudem uwolnił z więzów i pozwolił bym się oddać temu, ku czemu powołanym się czułem. Jednego dnia, w kilka dni po ślubie Tildy, gdym pracował nad sobą aby tęsknicy i niepokoju mego nie dać poznać, w niezwykłej godzinie odebrałem od opiekuna bilecik, wzywający mnie natychmiast do niego.

Sądziłem, że niespodziewany wypadł interes, gdy wszedłszy znalazłem go chodzącego z dosyć kwaśną miną po pokoju. Popatrzył mi w oczy.

— Czy już wiesz? zapytał.

— Ja? o niczém, zdaje mi się, nowém nie jestem uwiadomiony.

— No, to ci pierwszy powinszuję... choć może dla ciebie nie ma czego. Daleki wasz krewny Mo-

ses Hermann z Berlina, jak ci wiadomo, bezdzietny... umarł i zapisał ci cały majątek.... Zaprawdę jednak niepewny jestem czy ci tego winszować, czy nad tém ubolewać. Ja tracę w tobie człowieka, którego chciałem wykształcić wedle méj myśli.

Stałem jak osłupiały.

— Co myślisz? zapytał mnie.

— Ja — jeszcze sam nie wiem, rzekłem, to pewna, że oddawna pragnąłem podróżować, wyjadę więc nie zwlekając, jeżeli pan zechcesz mnie uwolnić.

— Jesteś najzupełniej wolny, rzekł mi kwaśno. Bardzo rad jestem, że wypadkiem dałem ci wychowanie właściwe majątkowi który otrzymujesz tak niespodziewanie. Moses nie wiem czy cię tu raz widział... nie rozumiem tego.... Ruszył ramionami.

Potrzebując ochłonać, przyjść nieco do siebie, zebrać myśli, wyszedłem wprędce. Po mieście już wieść o tém była gruchnęła; ludzie co wczoraj mnie nie znali lub lekceważyli, przychodzili do mnie z oświadczeniami i uściskami upokarzającymi.

Mann wyczułował mnie publicznie w oba policzki prorokując mi wielką przyszłość, chciał na-

wet prosić na śniadanie, czego dotąd przykładu nie było; inni starali się mi dowieść, przekonać, że mnie od niepamiętnych czasów kochali tajemnie zawsze. Stałem się na raz bohaterem, gościem pożądanym i z niczego — człowiekiem. Wszystko to sprawił ów nagły spadek po Mosesie, którego ja w istocie prawie nie znałem.

Kilka miesięcy temu, stary przyjeżdżał do Warszawy; był to bliski krewny mój matki, aleśmy go po raz pierwszy w życiu widzieli.

Opiekun mój, wiedząc iż był bezdzietnym a bogatym, przyjmował go nadzwyczaj uprzejmie. Choć Moses miał lat blisko siedmdziesięciu, że był wdowcem, zdawało się iż miał jakąś myśl tajemną wydania za niego córki, ale to mu się zupełnie nie powiodło. Przez czas jego pobytu w Warszawie niemal codziennie go widywałem, i o ile poznać mogłem, bo był milczący i skryty w sobie, zdawał mi się człowiekiem jeszcze przeszłego wieku, więcej żydem niż dziś są wszyscy. — Wychowany i zamieszkały w Niemczech, przedstawiał typ u nas całkiem nieznany człowieka wykształconego, który się przecież rodzimego nie wyrzekł charakteru. Był wszakże Niemcem potroszę z pewnych względów; wiadomo jak poważną rolę w literaturze, ruchu

umysłowym, polityce nawet niemieckiej odgrywają żydzi Niemcy. Należał on do téj grupy ludzi myślących, pracowitych, poważnych, w których praca nie zabiła ducha; lubił poezją, sam je pisywał, ale nie w rodzaju Heinego, którego wszakże talent wynosił. Kilka razy wpadliśmy w rozmowie na przedmioty zbliżone nas obchodzące, na los żydów, ich stan dzisiejszy, wygaśnięcie religijnego ducha. Opiekun przy nim wyśmiewał mnie jako zagorzałego talmudystę (choć nim nie byłem i nie jestem), mówiliśmy więc o tym przedmiocie dosyć z Mosesem i byłem, jak zwykle, aż do zbytku może otwartym, wypowiadałem mu się z przekonań i programu mojego. Chwila jedna, w której się poczułem szyderstwem rozbudzony, wyrwała mi z ust całe moje marzenia, nadzieje, pragnienia...

Moses mnie wysłuchał z uwagą, nie rzekł słowa potem, nie widzieliśmy się nawet więcej, gdyż niespodziewanie wyjechał.

Można więc sobie wystawić zdumienie moje, gdy dowiedział się że ten, prawie nieznany krewny, nazначzył mnie spadkobiercą swoim. Testament z zapisem tym nie łączył żadnych warunków, był prosty i krótki.

Wszyscy jednak jak ja zrozumieć go nie mogli



— pojąłem go ofiarą uczynioną idei, którą podzielał. — Opiekun mój, podobno spodziewający się sam tego znacznego spadku, z goryczą odzywał się o starcu, nazywał go niewdzięcznym i nitki na nim pocziwój nie zostawił.

Spotkałem się tegoż dnia i z ojcem Symonem.

— Cóż za szkoda, rzekł — żeby był pocziwy Moses miał rozum umrzeć na kilka miesięcy wprzód! Rozumiesz? ale dziś, łyżka po obiedzie. Nigdy się na świecie nic w porze nie robi! A może to i lepiej! Winszuję ci, ale zarazem przestrzegam, nie upij się pieniędzmi.

W istocie, czułem sam że mnie to, mimo woli mój, poilo, ale zarazem przypatrując się z nowego stanowiska ludziom, obrzydliwość do nich miałem, tak mi się podłemi wydali, znajdując mnie teraz innym zupełnie, niż dla nich byłem ubogi. — Zaproszeniom wystarczyć teraz nie mogłem, czułościom się opędzić, broniłem się od nich wewnętrzną pogardą.

Jak tylko opiekun mój oznajmił mi żeś wolny, w samym interesie tego spadku, postanowiłem wyruszyć natychmiast i musiałem.

I otoż jak wyjechałem z kraju.

Od tego czasu, oprócz Europy, zwiedziłem Egipt,

Palestynę, Turcyą, Syryą... włóczyłem się przypatrząc moim współwyznawcom, a teraz, jak widzisz, powracam do kraju, nie wiedząc jeszcze co pocznę z sobą, ale z mocném postanowieniem, być moim i krajowi pożytecznym...

Iwaś westchnął.

— Szczęśliwy jesteś, rzekł, swobodny, bogaty, nieskrępowany niczém, ileż to w istocie dobrego przy stosunkach twych, charakterze i mocy ducha uczynić możesz!

— Słuchaj, odezwał się Jakób biorąc go za rękę — razem się będziemy o to starali, by być użytecznymi, pójdziemy oba zaprządz się do pracy; znajdziesz mnie do niej gotowym zawsze.

Iwasiowi oczy błysnęły na chwilę, ale wprędce się powstrzymał od wybuchu uczucia, błądy półuśmiech przeleciał mu po ustach.

— Dziękuję ci, rzekł, zobaczymy, na to potrzeba naprzód żebyśmy oba do kraju powrócili, gdzie wielkie zdają się gotować rzeczy... Chciałbym już co żywiej pospieszyć...

— I ja, odpowiedział Jakób, ale nie podzielam twych przeczuc, więcej jest pewnie rzeczy którym zapobiegać potrzeba, niż tych które robić należy. Pomówiemy o tém inną razą...

Rozmowa przerwana została.

Nazajutrz ruszyli w dalszą drogę; ale nim się dostali do Pizy, obu niepokój wewnętrzny zmusił przyspieszyć podróż. Już ze Spezyi pojechali dyliżansem, a dostawszy się do kolei, nie zatrzymując się więcej, przebyli resztę Włoch i dobili się tak do granicy kraju, do której nikt, nawet obcy, bez obawy zbliżyć się nie może. Jest to dziś jedyne państwo w Europie (jeśli europejskiem nazwać się je godzi), w którym nikt bezpiecznym nie jest, gdzie każdemu fantazya urzędnika, podejrzenie, niechęć lub doniesienie fałszywe grożą gorzej niż śmiercią, męczarnią, wywłaszczeniem, grabieżą... Nie wiem czy nie lepiej dostać się w ręce włoskich bandytów, niż moskiewskiego urzędu.

Kraj w którym nie ma praw innych nad prawo silniejszego, gdzie rządzi tłuszcza zaledwie okrzęsanych, nieoświeconych ludzi, chciwych łupu a lekceważących człowieka, godność jego, wiek, zasługę, cierpienie, wygląda wjeżdżającemu jak krata więzienna... po za nią inaczej się oddycha, żyje inaczej, nieszczęśliwy co tam wpadł, jest na łasce oprawców... Z téj strony granicy był jeszcze człowiekiem, tam jest już poddanym i niewolnikiem nie jednego autokraty, ale tysiąca rozjuszonych i gło-

dnych despotów, z których każdy w swém miejscu przedstawia cara i jego nieograniczoną siłę... Na rogatkach moskiewskich stoi ów napis Danta: Lasciate ogni speranza voi ch'entrate.

---

Było to w małej mieścinie pod Warszawą; w szerokim a pustym jej rynku, którego jeden bok stanowił schludny nowy kościół i długi mur otaczającego cmentarza. — Naprzeciw niego rzędem wyciągały się domy drewniane i murowane, starsze i nowe, po większej części gospody zamieszkanie przez Izraelitów. Wpółśród nich porządniejszy, o piętrze dom murowany, znany w miasteczku pod imieniem kamienicy *per excellentiam*, na którego dole był sklep korzenny i norymberski — białął świeżo wyrestaurowany. Na facyacie jego w pamięć tego odtowienia, dwa lewki kształtów przypominających stare assyryjskie rzeźby, trzymające wazon z kwiatami, na którym był rok 1860, dawały się domyślać że dom musiał do możnego Izraelity należeć. Cały jego dół zajmował ów sklep i bióro handlowe, około którego kręciło się kilku zwawych żydków. Było to w piątek nad wieczór, azatém w całym domu odbywały się uroczyste przygotowania do

obchodzenia świętego dnia, dnia królowej, dnia Sabbathu.

Zapasy żywności wszelkiej już były wcześniej zniesione do kuchni, która przedstawiała obraz przygotowań i niezmiernego ruchu i krzątania. Kilka kobiet zwijały się około ryb, gęsi pieczonj, łoszy, ciast i różnych pokarmów, przyrządzano potrawy, piec gorzał wielkim ogniem. — W izbach mieszkalnych oczyszczano, zamiatano, osadzano świece w lichtarzach, a stary Jankiel Mewes zamyślony ubiera się, wróciwszy z łaźni, w świąteczne szaty, chociaż słońce jeszcze było dosyć od zachodu daleko.

Ściśle przestrzegając prawa mało co jadł przez dzień cały, aby ucztę wieczorną pożywać istotnie spragniony; myśl jego przebiegała czynności całego tygodnia i szukała w nich winy, aby je w głębi duszy zmazać pokutą,

Jankiel Mewes był prawym, starych obyczajów izraelitą; chociaż rozsądkiem i otarciem się o ludzi, mógłbył zająć inne stanowisko w świecie, nie zrzucił wszakże dla wdarcia się w cywilizowane towarzystwo ani sukni, ani wiary.

Szmer gadatliwych kobiet dochodził starego z kuchni, gdzie jak on, podżyła, rumiana i dosyć otyła jejmość pani Rachel Mewes właśnie trzy białe przy-

gotowywała chleby, zachowując, wedle prawa, osobno oddzieloną częśćkę ofiarną Challah. Sama starszka obmywszy ręce wyjęła kawałek ten ciasta i zmówiła modlitwę przepisaną przy tym obrzędzie:

„Bądź pochwalony Jehowah, Boże nasz, królu „świata, bo przez cię jesteśmy poświęceni przykazaniami Twojemi... i Tyś nam rozkazał Challah „odzielać.“

Ponieważ jedna była rodzina i jedno pieczywo, jedno też tylko Challah odzieliła stara Rachel i rzuciła je w ogień, poczem trzy białe bułki wielkie wstawiono w piec już gotowy.

W innym piecu stały już przygotowane nadziewane szczupaki, które są nietylko ulubioną, ale wedle tradycyjnego wykładu nakazaną potrawą Sabbathu (Mojżesz 4. 11. 22.); rodzaj pasztetu, pieczone i obfite jadła, bo na ten dzień wesela niczego się nie skąpi.

Sam gospodarz wyszedł rzucić okiem na świeżo pomyty sprzęt, poczyszczone noże i błyszczące misy cynowe; godzina się bowiem zbliżała gdzie miał rozpocząć modlitwy przygotowujące do święta: rozdział prawa Mojżeszowego, po hebrejsku i chaldejsku, jeden rozdział proroka przypadający na ten dzień roku i psalm dziewięćdziesiąty trzeci.



O jakże smutnie brzmi w uszach uciśnionego narodu ta pieśń psalmisty obiecująca mu pomstę Bożą a zalecająca cierpliwość.

„Bóg pomsty pan, Bóg pomsty wolno poczyną.“

Odmawiając psalm Jankiel pomyślał nad losami swojego narodu, oczekującego wiecznie i dokończył go głosem przejętym i drżącym:

„Zasadzą się na duszę sprawiedliwego, a krew niewinną potępią.

„I stał mi się pan ucieczką, a Bóg mój nadzieją obrony mojej.

„I odda im nieprawość ich, a we złości ich wytraci je, wytraci je pan Bóg nasz.“\*)

Odmówił potem Jankiel kilka jeszcze modlitw, które prawo na ten dzień nakazuje, a że czas mu

---

\*) Radziłoby należało rządowi moskiewskiemu, ażeby przepuścić przez cenzurę nietylko psalmy, stary testament, ale w ogólności całe pismo święte, ewangelią i niektóre podejrzane słowa Chrystusa, pełne alluzji do uciskających i uciskanych, obietnic pomsty i innych nieprzyzwoitych wyrażań. W ogóle ewangelia tchnie duchem buntowniczym, pomimo owego — Oddajcie Cezarowi! — Nawet w tém słówku co za gorzka ironia — każe oddawać tylko pieniądze, a nie sumienie i cześć... Żli ludzie gotowi Bóg wie jak rozumieć i wykłócać. — Dla Rossyi dosyćby było katechizmu o czci cesarza, pan Bóg jest tam pod władzą N. Pana. P. A.

jeszcze zostawał, otworzył talmud, i padł los na następującą powieść z księgi Berachot:

„Pogański Cezar zazakał Izraelitom pod karą śmierci, zajmować się nauką ksiąg świętych; ale nieustraszony Rabbi Akiba zebrał gorliwszych i odważniejszych około siebie i dalej jako wprzód nauczał otwarcie.

„Niejaki Papus, także Izraelita, mąż który za wielce mądrego był miany, zbliżył się doń cały drżący i rzecze:

„Nierozsądny, jakże się nie lękasz gniewu pogan? porzuć naukę prawa a ratuj się.

„O! odparł z niechęcią uczony, ty żeś to jest którego sławiono z rozumu? Rozum więc twój niczem inném nie jest tylko głupotą. Posłuchaj bajki mojej, a osądź potém własną radę.

„Raz lis zobaczył na brzegu strumienia ryby, które się w wodzie tam i sam miały. — Co za niebezpieczeństwo was przeraża? zapytał je. — Chcą nas tu i tam wyłapać, rzekły ryby, rozpięte w wodzie sieci nas przestraszają. — Biedne, zawołał lis, czemuż nie ratujecie się tu na ląd, byłybyście zupełnie bezpieczne. Rzućcie te wody szkodliwe, chodźcie na ziemię, będziemy żyli w zgodzie, jak niegdyś ojcowie nasi. — Jestżeś ty ów lis, zawołały

ryby, którego przebiegłość sławili wszyscy? Piękna przebiegłość! Tu w wodzie, żywiole życia naszego, żyjemy w ciągłym strachu i obawie, a żądasz od nas dla uspokojenia abyśmy na ląd wyszły, który jest dla nas śmiercią?

„Pomyśl Papusie, dodał Akiba — prawo święte jest żywiołem naszym, ty chcesz byśmy je porzucili dla szukania życia w innym?“

Zamyślił się nad tą przypowieścią Jankiel i przebiegłszy myślą wieki prześladowania, zapłakał składając Bogu dzięki, że mimo wygnania, rozproszenia, ucisku, nędzy, ocalił przecie naród w sposób cudowny i zachował go aż po dziś bezpiecznie. — Cóż to sprawiło, jeśli nie zachowanie prawa?

Po skończonej modlitwie obyczaj chciał, aby gospodarz zajrzał jeszcze do przygotowań uczyty, a choć był pewien, że Rachel wszystko starannie obmyśliła, zachowując dawny obrząd wszedł do kuchni i dotknął półmisków w myśli pokarmy błogosławiać.

Potém wrócił znowu do swój izby i odczytał pieśń Salomonową.

Słońce już zachodziło, światła zapalano, uroczysta godzina przyjścia królowej się zbliżała.

Wszystko też było w gotowości, stół nakryty,

izby poumiatane, Rachel włożyła suknię jedwabną, muszki i perły dziedziczne, córki jej postroiły się choć skromniej ale starannie, sługi nawet przywdziały odzież odświętną.

Zastukano w okiennice, czas był do domu modlitwy; Jankiel też już schodził ze wschodów, a za nim słudzy, stara Rachel z ogromną księgą pod pachą, jej córki, młodsza rodzina, wszyscy kto żył, bo gospodarz ściśle przestrzegał dopełniania obowiązków religijnych, nawet u swój czeladzi.

W téj chwili dziedziniec przed synagogą, wnijście pełne były cisnących się z całego miasteczka bogatych i ubogich Izraelitów... Śpiewak rozpoczął właśnie modlitwę Aszre.

Nabożeństwo trwało czas dosyć długi, Jankiel pozostał jeszcze chwilę zamyślony, gdyż widocznie boleść miał ciężką na sercu, a powróciwszy do domu, mimo dnia wesela, czoło zachował chmurne i pofałdowane jakąś troską; wzrok jego często, mimowolnie padał na młodszą córkę Liję, która ze spuszczonei oczyma, drżąca stała w dali, czekając na matki rozkazy. Było to śliczne dziewczę, młodziuchne, z wyrazem niewinności i głębokiego uczucia na twarzy; w oczach jej, które rzadko śmielój podniosła, błyskało życie młodości — ale znać było

że się już i łzy przez nie przelały. Teraz z trwogą jakąś spoglądała na ojca.

Rachel ze starszą swą córką odmówiwszy modlitwę zapalała świeczniki i lampy, a podniosłszy ręce zawołała:

— Bądź pochwalon Jehowa, Boże nasz, królu świata, któryś nas przykazaniami swemi ubłogosławił i nakazał nam zapalać światła świąteczne.

Nastąpiły inne modlitwy ciche, głośniejsze, dom cały gorzał światłami i brzmiał śpiewy, kobiety także czytały z ksiąg.

Ale Jankiel wyszedł raz jeszcze do synagogi, niezbyt od domu oddalonej, a Rachel z córkami i sługami kończyła przygotowania do wieczerzy. Zasłany był biały obrus, zastawione talerze i misy... wszystko się stroiło na przyjęcie królowej Sabbathu. Dwa z upieczonych chlebów sama gospodyni położyła na stół i pokryła je białym ręcznikiem. Było to przypomnienie Manny zesłanej na puszczy, pokrytej rosą jak chleb osłonięty był płótnem białym.

Na stole stały już i dwa z woskowemi świecami lichtarze srebrne, starzej formy; gdyż do światła w tym dniu szczególna przywiązuje się waga.

Stary pozostał znów dosyć długo w domu modlitwy, a gdy obrzęd poświęcenia wina dla obcych

i przybyłych spełniono, skończywszy wieczorne modły, ukazał się nareszcie w progu domostwa swego, wymawiając słowa:

— Pełen chwały Pan, niech wam da wszystkim dobry dzień świąteczny i rok dobry...

Obie córki starego zbliżały się naówczas po błogosławieństwo. Jankiel wyciągnął ręce składając je na głowie starszej córki, a gdy kolej przyszła na Liję zadrżał, zatrzymał się nieco, lecz po chwili namysłu złożył dłonie na pochyloném czole dziecka; Lija czuła że ręka jego drżała mocno i głos drżał gdy wymawiał powtórnie:

— Niech Bóg uczyni cię podobną Sarze i Racheli i Lii.

Córki poszły potem do matki, która je błogosławiła i całowała, a łzę otarła nieznacznie końcem haftowanego fartuszka.

Stary zwrócił się potem do stołu.

— Pokój niech będzie z wami, rzekł, posłannicy aniołowie... anioły Najwyższego, który jest królem królów, Świętym, — niech będzie stokroć pochwalonym. — Niech przyjdzie wasze będzie w pokoju, anioły pokoju, anioły Najwyższego... pobłogosławcie nam w pokoju, anioły pokoju...

Powtórzywszy to wezwanie po trzykroć. dodał:

— On rozkaże aniołom swoim, aby cię strzegli na drogach wszelkich. Jehowah... będzie strzegł wyjścia twego i wnijscia twego, od teraz na wieki.

I jeszcze długą odczytawszy modlitwę starzec, skończył kantykiem Salomona i ułamkiem z księgi Sohar.

Nastąpiło wedle starodawnego zwyczaju poświęcenie wina (kaddusz). — Jankiel powstał i odśpiewał wiersz z księgi Mojżeszowej głosem poważnym i znów czytał modlitwę, którą wszyscy za nim powtarzali po cichu. — Bądź pochwalonym Jehowah, Boże nasz, królu świata, iżeś nas przykazaniami swojemi ubłogosławił i upodobałeś w nas sobie, i dozwolił byśmy to święto na pamiątkę dni stworzenia święcili, przez miłość i łaskę swą...

Albowiem dzień ten jest pierwszym (przedniejszym) pomiędzy zebraniami świątecznymi i pamiątką wynijsia z niewoli egipskiej. Tyś wybrał nas i uświęcił nas nad inne narody, Twój Sabbat zostawiłeś nam na ziemi na pamięć miłości i łaski... Bądź pochwalonym Jehowah, który dzień ten święcić każesz...

To wyrzekłszy poniósł Jankiel do ust wino ofiarne i oddał je aby szło w koło, siedzącym przy stole. Znowu tedy obmywszy ręce, zdjął sam nakrycie



z Birchas (chleba szabatowego) i położył je na niem i błogosławił modląc się, a przytomni odpowiadali: Amen. Krajał potem po kawałku dla wszystkich przytomnych, a uczta się rozpoczęła wesoło i swobodnie. Ale mimo przykazu Mojżeszowego, który w święto te wesołym być poleca, Jankiel próżno silił się na uśmiech, oko jego chmurne szukało i zwracało się ku Lii, która kręcąc się zdala posługiwała przy stole.

Uczta odprawiana wedle starego obyczaju, miała w sobie coś wielce uroczystego, religijnego, była na pół ofiarą, na pół modlitwą; niepodobną była do trzpiotowatych bankietów dzisiejszych, tu ucztowano z Bogiem... przywoływano anioły, żywiono się chlebem i wspomnieniami razem... A gdy potrawy wszystkie z kolei spożyto, zakończyła się nareście znowu uroczystą modlitwą, gdyż Jankiel nie opuścił nic, co wedle podań, dzień ten poczynający się Sabbatu uświęcić mogło. — Już się byli wszyscy porozchodzili w cichości i stół sprzątnięto zostawując na nim tylko część chlebów i wina, gdy stary zamknąwszy księgę, wyrzekł jeszcze ostatnie błogosławieństwo wieczorne:

„Panie świata, spojrzysz, oto przebaczam wszystkim tym, którzy mnie do gniewu pobudzili i nie-

chęci, którzy cześć moją, ciało moje, mienie moje pochwycić pragnęli, czy z musu czy z dobrej woli, czy z błędu czy z ochoty, słowy lub czynami; niech się im stanie teraz i we wszystkich duszy mój przejsiach tak aby nikt za mnie karany nie był. O Jehowah, Panie mój, Boże ojców moich, pomóż mi, abym więcej przeciwko Tobie nie grzeszył. A z tego czém Cię obraziłem, rozwiąż mnie przez wielkie miłosierdzie Twoje, ale nie karą i męczarnią. Niechaj Ci słowa ust moich i uczucie serca mojego przyjemnemi będą, Jehowah, podpora moja, Zbawco mój. Panie przebacz tym, którzy czynili nieprawość...

I rozplakał się stary mówiąc te słowa. Rachel usłyszawszy w głosie jego łzy, stojąc we drzwiach izby, załamała ręce po cichu; czuła bowiem że je wywołało nie przypomnienie doli narodu, ale zwrot jakiś myśli ku własnemu położeniu.

Ale nie śmiała wniknąć tam gdzie się modlił ani rzec słowa, gdyż stary wciąż jeszcze coś szeptał, aż nareszcie wstał, podszedł, dotknął ręką przybitego do ściany Mesusse i pobłogosławiwszy raz jeszcze domowi, powoli, z głową na piersi zwieszoną posunął się do alkierza w którym nań żona niespokojna oczekiwała.

— Panie mój, rzekła staruszka do niego gdy

usiadł mając się rozdziwiać z szat — niespokojną jestem czyś nie chory? Nie jesteś jak zwykle spokojnym i wesołym, choć dzień Bóg dał świąteczny, dzień radości...

— Jeślim ja nie jest jakimbyś być powinien, rzekł Jankiel, to się staram być — nie frasuj się o mnie zbytecznie... to minie.

— Ale ja wiem co cię trapi...

— Więc nie mów mi dziś o tém, odrzekł zniżając głos Jankiel — nie mów mi nie; byłoby to dzień świąteczny osmucić dobrowolnie. Módlmy się, myślmy o Bogu...

Rachel więc zamilkła.

Tak się skończył wieczór Sabbathu w tym domu starego obyczaju izraelskiego; ale mało już gdzie przestrzegano równie ściśle obrzędów podaniem uświęconych.

Tuż naprzeeiw domu starego Jankiela, był drewniany, dosyć porządny Dawida Seebacha, ku któremu przez okno ciemne skierowały się z sypialni oczy pięknej Liji, nim się spać układała. Długo ona stała, z niepokojem i tęsknotą patrząc w oświetlone szyby przeciwległego domostwa, wzdychała i ze spuszczoną głową zadumana, zdawała się zamyslać o boleści, która jój widocznie dojmowała.

Dawid Seebach, ojciec i syn właściciele i mieszkańcy sąsiedniego domu, byli jakby bankierami małej miejsciny. W istocie Dawid ojciec od bardzo dawna zajmował się wypożyczaniem pieniędzy, tém co dawniej lichwą zwano, dopóki ekonomia polityczna nie wytłumaczyła, że korzystanie z cudzego nieszczęścia jest zupełnie prawném i prawem, wysokość procentu polubowną umową, a więc godziwą zawsze. Jankiel stary, który się zajmował handlem, oddawna miał jakiś wstręt do tego człowieka, nadskakującego mu aż do uprzykrzenia. Dom to był ni żydowski ani chrześcijański, a choć niby dla oka trzymano się w nim praw i zwyczajów dawnych, w istocie nie przywiązywano już do nich żadnej wagi, czyniono to tylko dla oka, z obojętnością, z szyderstwem.... Dawid sam z żydami obcując, udawał żyda, ale z obcymi Kuthārami, z Goimami prześmiewał żydów i chwalił się że dawno pozbył się przesądów; jadał wszędzie gdzie mu wypadło, często w drodze bywał czasu świąt; słowem nie mając w sobie nic czémby brak wiary zastąpił, rzucił ją lekceważąc dla tego, że mu była niewygodną.

Syn Dawida, Dawid także młodszym zwany, wychowywał się w Warszawie, potem za granicą

i całkiem już z siebie starł ślady pochodzenia. Był to młody człowiek na pozór wychowany starannie, w istocie ostatecznie zepsuty, do robienia grosza tak zajadły jak ojciec, i nie przebierający w środkach. Kochał też jedynaka i pysznił się nim niezmiernie pan Seebach, prorokując mu wielkie losy.

Tegoż dnia gdy Sabbath uroczyście obchodzono w domu Jankiela, u pana Dawida zaświecono wprawdzie świeczniki, nakryto stół wieczorny, ale ofiara chleba i wina nie została spełnioną, ojciec żadnych modlitw nie czytał i nikogo nie błogosławił. Owdawna owdowiały, oprócz syna i sług nie miał nikogo w domu, siedli więc do stołu we dwóch, a rozmowa wcale nie była budującą. Dawid zawsze żartobliwy, gdyż nawet w najkrytyczniejszych życia chwilach posługiwał się żartami, jako bronią dosyć łatwą do wywijania, z synem także lubił dowcipować. To go uwalniało od ściślejszego rozbioru spraw i rzeczy. Syn był nie z usposobienia, ale przez ową mądrość z jaką się chciał świata pokazać, daleko poważniejszy; miał postać i usposobienie wzgardliwe. Chytrym był na inny sposób niż ojciec.

Dawid jakkolwiek całkiem obojętny dla wiary i usiłujący ją nawet przedrzwiewać, szczególnie przy

synu, który żadnych nie zachował przesądów, krył w sobie jednak coś niewytłumaczonego. Gdy nadeszły wielkie dni świąteczne, gdy prawo dopominało się od niego spełnienia jakichś form, czuł w duszy jakby zgryzotę jakąś z ich zaniedbania; był niespokojny czasem ukradkiem, cicho, w ciemności szeptał modlitwę, z której szydził przed ludźmi. Zdawało mu się, że to odwróci od niego jakieś nieszczęście... Nie słuchał już starego Jehowy ale jakoś się go jeszcze obawiał, nie chcąc przed światem strachu okazać po sobie. Tego dnia mimo przytomności syna, którego szyderstw się lękał, Dawid bardzo zręcznie umył ręce kilka razy, a modlitewki jakie mógł zapamiętać wyszeptał chodząc po kątach; zrobił coś nakształt święcenia wina i podał szklanekę synowi. Ale wszystko to odbyło się w sposób kradziony, ukradkowy i wcale nie uroczysty.

Syn zdawał się tego nie widzieć. Był to młody człowiek dosyć przystojny, na którego twarzy głównie jedno malowało się uczucie: duma i zadowolenie z siebie. Ojciec je podsyczał pochwałami, miłością dziwną, bałwochwalczą, a syn mu się wcale uszanowaniem za nią nie wywdzięczał; był obojętny, niemal pogardliwy, przynajmniej lekceważący

ojca, któremu przy każdej sposobności jego niewykształcenie i nieświadomość rzeczy wyrzucał. Ojciec zdumiewając się mądrościom syna, tłumaczył się, uniewinniał przed nim pokornie.

Dawid junior siedział u stołu w wyszywanym szlafroku, z cygarem w ustach mimo szabasu, w okularach złotych na nosie. Okulary te, które często podnosił, bo mu w istocie zawadzały do patrzenia, teraz miał wykręcone na czoło.

Na stół podano rybę, resztkę obyczaju dawnego, pieczyście jakieś i herbatę. Dawid starszy ukroił chleba nawet coś podszeptując nad nim, ale się powstydził i modlitwy resztę połknął, syn bowiem coś zaczął nucić pod nosem z intencją szyderską.

Długo siedzieli milczący, ojciec w oczy patrzył dziecku, syn nogi założywszy na krzesło, podśpiewywał ciągle.

— No, no, o czémżeś się to tak zadumał? zawołał nareszcie ojciec, czy nie o świętości Szabbatu?...

— O! o! co ja wiem o Szabbacie królowej, le-dwie pamiętam żeśmy ją dawniej obchodzili inaczej... Dziś to już śmiesznie takie ceremonie wyprawiać jak ten stary głupi Jankiel... ale on się z siebie śmiać nie da!



— No co? a tobie się chce śmiać z niego? zapytał ojciec.

— Czemu nie! stare durne żydzisko? Ktoby to powiedział, ktoby temu uwierzył, że ten stary widocznie z jakąś niechęcią, jakby ze wzgardą patrzy na nas... prosty żyd....

— No! no! a co nam to szkodzi? zawołał Dawid starszy, czy to my od tego schudniemy? czy zubożjemy?

— No, zapewne nie, niebym sobie z tego nie robił, gdyby tak ładnej córki nie miał.

Dawid starszy splasnął w ręce.

— Co to jest? co to jest? zawołał chmurno, nie zapominaj że... choć z żoną nie żyjesz, żeś żonaty.... Na co tobie ta bieda! Ty jeszcze o tém głupstwie myślisz.... Mało to takich i piękniejszych kobiet na świecie? Czy to ty sobie dawszy rozwód tamtój, nie wybierzesz z między nich... a waj! no! no! gdybyś chciał potem wziąć choćby córkę obywatelską, czy to nie bywało podobnych przykładów?... Jak tylko tamtój dasz rozwód, musisz się ożenić porządnie, na co mnie te proste żydy? ja tego nie chcę.... Czy to my zawsze ty mi żydami być mamy? Ty wiesz, że gdybym ja

chciał, kupiłbym dziś dla ciebie taki majątek, jakiego tu żaden nie ma szlachcic naokoło.

— Oh! rzekł syn, a na co nam majątek. Na co nam ten kłopot? żeby te pieniądze co przynoszą teraz dwadzieścia i trzydzieści dawały nam cztery?

— Po co! po co! przerwał stary, to jest prawda, ale i nieprawda, pieniądz daje w obrocie dwadzieścia i trzydzieści, ale ty przecie wiesz jak? im więcej on ma dać tém większy o niego strach... źle kiedy już procent, duży! Kto się dorobił jak my, ten całego kapitału nigdy nie ryzykuje... a co z nim robić? co? Dać bankierom naszym? zapłacą cztery i jeszcze w nocy spać nie będę żeby z nich który nie zbankrutował. Kupić papiery? czy to one jutro nie mogą spaść? a nuż jaka wojna?

Ziemia, Dawidzie, to jeszcze najlepsza hipoteka, choć ona daje cztery i dla tego ona więcej nie da, bo ją każdy łapie....

— Albo to ziemi zabrać nie mogą?

— Kto? spytał ojciec przestraszony.

Młodszy pokręcił głową.

— Albo to my we Francyi albo w Anglii gdzie własność jest święta? czy to u nas nie może się

tak trafić, że rząd zechce kupić chłopca a sprzedać pana? czy to on będzie ceremonie robił?

— To jest bardzo rozumne i bardzo głębokie polityczne słówko, to co ty teraz powiedziałaś, odrzekł ojciec kiwając głową, to jest złote słowo! Ty jesteś wielki polityk! Ale gdyby ziemi zostało pół tylko, ona pójdzie w górę, ona musi pójść w górę, bo idzie ciągle, wszędzie... Jeszcze się kapitału nie straci... a na papierach! a waj! jedna godzina....

Ale ja miałem o czém inném mówić, dodał stary po chwili, o twojem przyszlém ożenieniu; tamto pierwsze z tą paskudną żydóweczką, to jest nic! na to plunąć! ty jój dasz rozwód! Na co tobie znowu ta Lija w oko wpadła? hę? już ja to widzę! na co tobie te żydówki? Tfu! ona bardzo jest ładna... no to co? to co że ładna? Pojedź do Warszawy, zobaczysz co to tam są za kobiety, a wszystko można wziąć... bez wielkiego kłopotu... A tu! a waj! Co to ty masz życie tracić dla takiej mizernój dziewczyny, co jak będziesz wielkim panem, ona tobie w salonie się ani zagadać nie potrafi! Tobie trzeba wielkiej edukacji, ty rozumny, ciebie los czeka, twoja żona musi być z wielkiego domu i wychowana choć na królewski

dwór.... No! a Lija! co to jest! co to jest! pomyszcza!

— A ja myślę, kiedy się będę miał drugi raz żenić, rzekł ziewając Dawid, ja sobie myślę, żonę dla siebie brać nie do salonu, i wolałbym prostą, niezeepsutą dziewczynę, niż najśliczniejszą taką warszawiankę, do której się jedenastu umizgało nim się dwunasty ożenił...

— At! at! to gadanie jest! odparł Dawid z miną nieukontentowaną — to gadanie na wiatr!... toby było nawet rozumne gdyby nie było bardzo głupie... Tak może gadać prosty, pospolity żyd który wedle biblii chce mieć sobie dzieci... a nam czego innego trzeba. Żona to jest także kapitał! Ty jesteś tak wychowany i bogaty, ja tobie mówię, że ty musisz być wielkim człowiekiem. Ja znam takich co twojej pięty nie warci a karetami jeżdżą i orderzy noszą. — No, a jak zostaniesz wielkim człowiekiem co ty wówczas będziesz robił z taką Liją która się tylko kugła piec i łokszyn siekać nauczyła? he? no? a gdzie ty ją poprowadzisz? na bal do resursy czy na teatr? A ona jeszcze może zechce muszki włożyć, a zagada do niej jaki wielki pan, to ona sobie fartuszek oczy zakryje... Tobie trzeba co innego! jaka ona będzie to będzie

aby była wychowana po niemiecku lub po francuzku, a nie po żydowsku...

Wstał nareście z krzesła stary i rzekł aforystycznie.

— Co to gadać! to jest żydówka! a my już powinni przestać być żydami, mamy już tego dość.

Dawid młodszy nie przecząc temu ziewał... i wyciągał się.

Siadł i stary po chwili, zamyślił się.

— Ty wiesz, rzekł, do czego możesz dojść z twoją głową a z moimi pieniędzmi? — Ty możesz być ministrem... at!! at! I machnął ręką a machnięciem tém zgasił świecę; z razu porwał się ją zapalić, ale sobie przypomniał szabbas i jakiś go strach zabobonny ogarnął... a tu znowu się wstydził przed synem pokazać swoją obawę... Sięgnąwszy już ręką, cofnął ją.

— I tak dosyć jasno! szepnął po cichu... Po ustach syna przebiegł niepostrzeżony prawie uśmiešek, wstał powoli z krzesła i zebrał się na cywilne męztwo zapalenia świecy, po czém usiadł skonfundowawszy tak ojca i palił cygaro spokojnie.

Dawid starszy choć bardzo lubił tytoń i téj nie miał pociechy, w szabbas się bowiem od niego wstrzy-

mywał, ale nie przyznając do zachowania prawa miał że głowa go boli, lub coś podobnego.

— Więc... więc ani tobie myśleć o téj Lij, dodał stary patrząc jeszcze z pewnym strachem na zapaloną świecę... Co ona może mieć? Ja tobie policzę na palcach... Starego Jankiela handel cały, żeby go już jak najwyżej szacować i dom i fabrykę i sklepy, to, co to może być? nu... sto... sto dwadzieścia tysięcy rubli... A co to jest?? plunąć na to takiemu człowiekowi jak ty!

— No! a kiedy my mamy dosyć!

— Jakto może być dosyć? podchwycił stary zdziwiony bardzo. Co to jest dosyć? czy kiedy może być dosyć? Jakto ty taki rozumny człowiek możesz *takiego* głupstwa powiedzieć? kiedy pieniędzy ma być dosyć? Pieniądzem robi się wszystko, a bez niego największy rozum, głupi. Ja tobie już drugą żonę sam wyszukam... Lija! to jest w sam raz żona dla Mortchela lub dla Judki? daj ty temu pokój!

— A gdybym ja ją bardzo kochał? spytał śmiejąc się młodszy.

— Co to jest? zawołał ojciec, jak to ty, tak rozumny człowiek, możesz być tak strasznie głupi? Bo to jest nierozum oddać kobiecie życie za jej

piękne oczy... Człowiek taki jak ty musi wiedzieć, że to kochanie to jest ogień słomiany, im się *jemu* jaśniej pali, tém *jego* prędzej zgaśnie.

Syn się począł śmiać niezmiernie, a ojciec zdumiony i szczęśliwy tém rodzajem uznania, choć w formie nie bardzo miłej, napuszył się aż i widocznie był uradowany.

Na tém jednak przerwała się rozmowa, i byliby zapewne poszli spać oba radzi z siebie, gdyby w téj chwili nie zapukano do drzwi.

Było w tém coś tak niezwykłego przy Sobocie i późnej godzinie, że Dawid starszy zerwał się z krzesła prawie przestraszony, a zdumiał niezmiernie ujrawszy po chwili wchodzącego dorodnego, pięknego, wzniosłej postaci i szlachetnej twarzy mężczyznę, którego z razu poznać nie mógł.

Wstał przypatrując mu się zakłopotany, a syn jego ledwie się nieco podniósł z kanapy ujrawszy gościa; dopiero gdy go lepiej obejrzał i poznał w nim przyzwoitego człowieka... po ubraniu i z postawy — dźwignął się i mycki a okularów poprawił.

— Przebaczysz mi, szanowny panie Dawidzie Seebach, natręctwo moje, a do tego w takiej porze i w dniu tak uroczystym.



— A! po głosie dopiero pana Jakóba poznaję, zawołał ojciec — ale zkądże o téj godzinie?

— Przebaczcie mi, wytłumaczę się, rzekł żywo Jakób, gdyż on był tym spóźnionym gościem — prawo nasze zabrania wszelkiego interesu i sprawy w dzień modlitwie i Bogu poświęcony, ale powiedziano jest w tém prawie, że ratować i w Szabbat się godzi, choćby ginące zwierzę, cóż dopiero człowieka!

— Szanowny panie Jakóbie — podchwycił Dawid starszy — przecież my już nie należemy do tych zabobonników co w Szabbat boją się ognia dotknąć i u koszuli guzik oberwać... nó! nó! at! at! ale proszę siadać! Co to jest? czém mogę służyć?

A! przepraszam! dodał, to mój syn Dawid... a to pan Jakób... nasz daleki krewny, o którym pewnie wiele słyszałeś...

Dawid młodszy z wielu słyszał tylko jedno, że po bankierze berlińskim Jakób odziedziczył znaczny majątek, ale to było dostatecznem aby go przyjął bardzo grzecznie. Zaproszono powtórę siadać. Jakób choć widocznie się czegoś niecierpliwiąc, usiadł.

— Możecie i nie jedli jeszcze? spytał gospodarz domu.

— Przybywszy trochę późno do waszego mia-  
żyd. T. II.

steczka, odpowiedział gość, najprzód odprawiłem nasze nabożeństwo, byłem w synagodze, modliłem się, potem z gospodarzem moim zasiadłem do stołu, nie jestem głodny.

— A! a! to wy chodziecie do szkoły! zawołał Dawid starszy zdumiony — no! widzisz Dawid, zwrócił się do syna, jak to jest pięknie! Człowiek tak mocno wychowany jak pan Jakób, tak tego rozumny... a zawsze swoje prawa trzyma!!!

Jakób tak wymownie pochwalony spuścił głowę, syn się uśmiechnął ruszając ramionami, nic nie odpowiedział.

— Jestem żydem, rzekł po krótkim przestanku Jakób — i pozostanę nim. Wiele zapewne w niewoli i ucisku potworzyliśmy sobie obrzędów i prawideł, których nie było w prawie Mojżeszowém, ale to są wspomnienia święte dla nas i miłe.

Dawid starszy widocznie był z téj mowy bardzo rad, syn się wciąż półgębkiem uśmiechał.

— Zostawmy to sumieniu każdego! rzekł wreszcie młodszy.

Jakób zamilkł.

— No, no, ale cóż to za taki interes, zawołał starszy, żeście aż wspomnieli o niebezpieczeństwie... co to jest?

— Udaję się do was, mówił Jakób, dla tego żeście chociaż dalecy ale zawsze krewni, ufam więc że mi pomocy swojej nie odmówicie... Rzecz jest taka. Podróżując po Włoszech, gdyż świeżo powracam z podróży, spotkałem młodego Polaka, który, chociaż wygnaniec, dobrowolny emigrant, zatęsknił tak za krajem, że koniecznie chciał do niego powracać. Chłopak był znękanym, ubogim, słabym, serce i sumienie kazały go ratować. Uciekł on z Polski przed kilku laty z powodu, że był w jakąś polityczną sprawę wmiészany...

— Ach! waj! przerwał stary kręcąc głową i machając ręką — polityczną! polityczną! to jest zła rzecz! to jest już bardzo zła rzecz!

Młody patrzył w sufit i milczał.

— Dostał on sobie paszport jakiś, mówił dalej Jakób, i uparł się, mimo niebezpieczeństwa, z nim do kraju powracać... Dowiozłem go prawie do granicy, byłbym go i dalej prowadził, gdyby on sam, przez szlachetną obawę, aby przypadkiem schwytany, mnie nie skompromitował — nie porzucił mnie cichaczem i nie pojechał przodem. Poczciwy chłopak, przebył granicę szczęśliwie jakoś, ja po nim w parę dni także przejechałem ją. — Ale cóż? oto właśnie gdym przejeżdżał komorę, nadeszły

o nim widać jakieś doniesienia, rysopis, nazwisko w paszporcie wymienione... rozkazy ścigania go i chwywania.

Dawid stary krzywił się okropnie.

— Szczęśliwym przypadkiem, mówił Jakób, dowiedziałem się o tém, pospieszyłem więc w pogoń za nim, ażeby go ostrzedz póki pora... domyśliłem się jaką pojedzie drogą. Udało mi się go napędzić, zwrócić z gościńca, na którymby był niezawodnie ścigany i poszukiwany... i tu z sobą przywieść.

Gospodarz aż się z skrzesła porwał, ale pomiarkowawszy się siadł znów spokojnie.

— Idzie mi więc o to, mówił spokojnie pełen zaufania gość, żeby go tu gdzie ukryć i przechować, póki mu się albo amnestya nie wyrobi, albo nie obmyśli jakiś środek... ubezpieczenia go... Inaczej biednego chłopca gdzieś na Sybir wypchną... i zginie jak tylu innych.

Kończył opowiadanie swe Jakób, a dwaj Dawidowie milczeniem głębokiém okazywali że zupełnie radzi nie byli téj wiadomości i wezwaniu; stary coś złowrogo odchrząkiwał, młodszy podśpiewywał tylko.

— To jest bardzo delikatna, bardzo niebezpieczna sprawa, odezwał się starszy — taka bardzo

delikatna! co to gadać! panie Jakóbie, ja z panem krewnym naszym muszę być szczerym.

— Bardzo proszę.

— To jest ze wszystkiém zły interes, odparł Dawid — i to nie jest żydowska sprawa... Nam się w to wdawać nie potrzeba, na co nam *tego?* to nie nasza rzecz! Nas rząd nie prześladowe, albo przynajmniej nie tak jabbymógł, on ma nas za swoich, nam z tém dobrze, po co my mamy sobie psuć u niego broniąc tych co nas przez tyle wieków cisnęli... A i dziś choć rękę podają, to pewnie nie ze szczerego serca... Żydzi w politykę wdawać się nie powinni... obywatelami nie jesteśmy... co to do nas należy! a wa! dodał Dawid.

— Kochany panie Dawidzie, odparł Jakób powoli i chłodno — otoż co do tego różnimy się w zdaniach zupełnie... Jeżeli obywatelami być mamy i chcemy, wszystkie obywatelskie ciężary wspólnie z innymi ponosić powinniśmy... Tém się tylko dorobić możemy uznania, równouprawnienia i zgody. Rozumiem to bardzo dobrze, że rząd nas, jak wieśniaków, zechce i będzie próbował użyć przeciwko szlachcie i intelligencji; ale czy godzi się nam, zrodzonym na téj ziemi, wykarmionym jój chlebem, trzymać z tymi co ją uciskają i są w niej najez-

dnikami? Przypomnijcie sobie czém dla żydów była niewola?

— Czekaście, przerwał Dawid — wszystko to bardzo jest piękne, ale żydzi, jak wy sami mówicie, muszą trzymać swoje prawo, a prawo nakazuje nam, żebyśmy siebie i narodu swojego bronili... Naszym interesem nie jest iść z nimi.

— Jakże, zkąd wy to wiecie? spytał Jakób, możecież wyprorokować przyszłość? Wierzcie mi, nigdy taka wielka niesprawiedliwość jaka się stała narodowi temu, nie może trwać niepomszczona wieki. Bóg dopuścił karę na naród ten, za grzechy jego, ale miara téj kary się wypełnia, czara już lez ich i czara krwi ich po brzegi pełna... Przyjdzie sprawiedliwości dzień, bądźmy w tym dniu sądu strasznego lepiej z tymi, co mieć będą za sobą miłosierdzie Boże, niż z tymi, na których paść musi pomsta Boga...

— O! o! zawołał Dawid, pozwólcieź się i mnie zapytać, zkąd wy to wiecie? duchem proroczym? czy policzyliście grzechy tego narodu pogańskiego? a co myśmy cierpieli od nich! i ile jest winy niezmażanej na tych niewiernych!!

— Dawidzie, przerwał Jakób, nie zapominajcież iż grzechu wicków, wspólnego wszystkim lu-

dom, na nich jednych kłaść się nie godzi... Jak tu, tak było wszędzie, a w wielu krajach było gorzej daleko.

— Ale co to długo o tém gadać, odezwał się porywając z kanapy młodszy — co to gadać? proszę pana. My się w żadne polityki mieszać nie chcemy... to ich sprawa... Co nas to obchodzi który z nich panować tu będzie? Proszę pana, ja nawet nie wiem co lepiej dla nas. Ja z Moskałem wiem co począć, ja jego kupuję ile razy chcę; on mnie wyłaje, wypchnie, zbezczęści, on zwierz, on gbur, ale pieniądz weźmie po cichu, i ja zrobię co mnie potrzeba... a z tymi patryotami polskimi, to co??

Jakób posmutniał widocznie, czoło mu się namarszczyło, postać wyszlachetniała gniewem wewnętrznym, ale gniewem uczciwym, obrażoném uczuciem zacném.

— Ponieważ to jest wasze przekonanie niezłomne, rzekł, ja nalegać nie będę, smucę się tylko że ludzie jak wy, więcej wykształceni nad innych, tak fałszywój trzymacie się polityki, ciągnąc zawsze za siłą a nie za sprawiedliwością.

— Sprawiedliwość!! a wa! szydersko ozwał się stary Dawid — a byłaż ona kiedy dla nas? a odaliż nam ją ci... panowie kraju tego!



— Przypuszczam że nie, gorąco przerwał Jakób — jestże to słuszny powód ażebyśmy my mazali się ich występkiem. — Nie należysz narodowi wybranemu mieć więcej cnoty nad inne i być drugim przykładem?

Dawid młodszy głową pokręcił i zaśpiewał.

— No! no! przerwał skończywszy ritornełą swą — proszę pana, co to mówić o cnocie i sprawiedliwości pod te czasy, kto to o tém już mówi? Na świecie terażniejszym jest jedna rzecz, interes. Któryż dziś naród czego innego słucha, za czém inném idzie? To są wielkie słowa... ale w to nikt dziś nie wierzy.

Stary ojciec usłyszawszy tę tak mądrą syna mowę, począł aż głową kiwać z podziwienia i uwielbienia dla wielkiego jego rozumu... ręką wskazując nań Jakóbowi, jakby chciał mu powiedzieć:

— Słyszysz? a ha! a cóż ty na to?

Ale Jakób niezmiészany wcale, zinném wejrzeniem zmierzył od stóp do głów młodego Dawida i rzekł powoli:

— Na nieszczęście, trafnie pan bardzo oceniasz to co dziś panuje i jest... ale to co jest, nie zawsze tém co być powinno... Prawo nasze ma tysiące lat i nie zestarzało się; zajrzyjcież do tych ksiąg a znaj-

dziecie tam prawdy, które nie przestały być prawdami i będą niemi do końca świata. — Ludzie się psują, wiara wygasa, ale Bóg wejrzy i zmieni to... Myśmy powinni być wierni staremu prawu a nie nowemu zepsuciu. Żal mi was szczerze, jeśliście nic więcej nad to nie wynieśli z europejskiego wychowania... Szczerze was mi żal.

To mówiąc wstał, a stary Dawid widząc go tak niezmięszanym, pewnym siebie, syna zaś jakoś przykro się uśmiechającego i nieumiejącego się odezwać — bo nie wiedział co odpowiedzieć — zmieszzał się sam i pogniewał na Jakóba... Burzył mu on jego bożyszcze...

Pomimo to spokój z jakim przybyły przemawiał, urok prawdy i wiary który wiał od niego, dziwne na nim uczyniły wrażenie — zląkł się i zachwiał; sam nie wiedział co począć, tak jak przed chwilą z ową zgasłą święcą szabbasową.

— Panie Jakóbie, odezwał się pierwszy Dawid młody, równie pewien siebie znowu, odzyskawszy nieco przytomności po strzale który go nie zabił — ale stając się zręczniejszym w miarę jak poznawał lepiej przeciwnika... Nie gniewajcie się, proszę, każdy ma swoje zdanie; pogadajmy jeszcze, może się co da zrobić, jeżeli można bez-

piecznie i bez ryzyki... To ważna rzecz, trzeba się namysleć...

— Dziękuję wam, odparł przybyły, dziękuję bardzo, to rzecz dawno skończona! Jużby mi przykro było żebrać dla tego biedaka opieki, kiedy mu ją tak niechętnie dać macie. Sądziłem że innego jesteście przekonania.

Rzecz jest jawna że kraj przysposabia się lub jest pchany gwałtem do jakiejś nowój walki. Że ta walka może być zgubną i daremną — to nie ulega wątpliwości, dla nas chłodniej, rozważniej patrzących na te sprawy. Ale zdawna chcieliśmy się wkuścić w obywatelstwo tego kraju... otoż pora... musimy je zyskać krwią i ofiarą... Inaczej się ono nie zdobywa...

Tak mnie się zdaje, a wielu z naszych współwyznawców podziela moje przekonanie...

— Mówicie że wielu? jak wielu? podchwycił gorąco Dawid — no jak? no co? no kto? Cóż gadają za granicą? A cóż sobie myśli cesarz Napoleon? a jak rachuje Palmerston? no, mówcie, co gadają Rotschildy?

— Wiem to tylko, zimno odpowiedział Jakób — że u *nas*... u nas, rozsądniejsi, poważniejsi ludzie są tego zdania.

— A bogatsi? zapytał Dawid.

— Najbogatsi! zawołał uśmiechając się mimowoli Jakób.

— No! toby się może potrzeba namyśleć, rzekł ojciec, trzebaby się naradzić, to jest sprawa ważna.

— Ale to z czém ja do was szedłem, rzekł Jakób, rzecz skończona, ani radzić się ani namyślać nie potrzebujecie. Przepraszam tylko żem przyszedł tak późno i spoczynek wam przerwał...

To mówiąc skłonił się i chciał już odchodzić, gdy stary Dawid go powstrzymał.

— Ale poczekajcież, poczekajcież, usiądźcie, wypijcie kieliszek wina... Dawid, podaj Bordo... na trzy ruble... napijecie się... to jest wino es, es, es. Nie żałujcie mu gęby! My tu na wsi siedziemy! my nie wiemy nic, a czemu nam nie dali znać zkąd wiatr wieje? Co my tu sami możemy się domyśleć! a żadnego rozkazu nie było...

— To już do mnie nie należy, odparł Jakób zatrzymując się niechętnie — pojedźcie, dowiedzcie się, i róbcie co się wam podoba....

— A! h! te Polacy, zawołał Dawid, oni pewnie już znowu jakie głupstwo robić myślą...

— Nic nie wiem... rzekł Jakób spiesząc aby ich pożegnać — zdaje się że tego głupstwa chcą

i starają się je przyspieszyć Moskale sami, aby u siebie coś podobnego nie dopuścić... Mogą oni do wybuchu jakiegoś podbudzić... bo i u nich stan kraju od czasu emancypacyi groźny, chłopci podrażnieni, knowania rewolucyi coraz gorętsze. — Aby niebezpieczeństwo odwrócić, rzuca może ogień na Polskę... a gdy międzynarodową nienawiść rozjątrzą, będzie miała czém lat kilka żyć Moskwa... i nie pomyśleć o przewrocie u siebie.

— A! a! krzyknął Dawid biorąc się za głowę — co to jest za mądrość! co to za polityka! I jak to z takim narodem nie trzymać, oni muszą zwyciężyć...

— Nie zaprzeczam temu, odezwał się Jakób poważnie, ale i my także żydzi byliśmy zwyciężeni nie jeden raz, a przecież nie trzymaliśmy za zwycięzcami, ale z Bogiem naszym...

To mówiąc Jakób się skłonił i znowu chciał odejść, ale Dawidowi starszemu zrobiło się jakoś niby wstyd i niby żal.

— No, no, rzekł — a o cóż to chodzi?

— Rzecz mała, miasteczko wasze na ustroniu, trzebaby tego młodego człowieka tu przechować czas jakiś.

— Widzicie, przerwał młodszy, w miasteczku

małem, pustem jak nasze, to najtrudniej, mieszkańcy znają się wszyscy, każda nowa postać uderza, zwraca oczy...

— W tém macie słuszość, odezwał się Jakób... ależ ja o to już was nie proszę... Przepraszam, przepraszam...

I cofał się ku drzwiom, Dawid jeszcze coś mruzczał, ale gość stanowczo już wychodził, nie dając po sobie poznać gniewu. Wstrzymać go już nie było można.

Ojciec i syn spojrzeli po sobie, gdy się drzwi za nim zamknęły.

— To był wielki interes, rzekł starszy, no — i to jest niedobrze, że się to jakoś nie dało ułatwić. Jakób ten ma bardzo wielkie stosunki, co on na nas gadać będzie!! on nas ogłosi za takich... owakich...

Syn ręką machnął.

— At! można było i zrobić to... ale się stało.

Rozeszli się oba pochmurni, Jakób wrócił do gospody i nie dając nic znać po sobie, legł nie spać ale myśleć. Iwaś znużony zasypiał już od dawna. Nazajutrz był dzień szabbasowy i Jakób poświęcił go modlitwom, zakławszy przyjaciela aby się z domu na krok nie ruszał. Musieli czekać

wieczora nimby się nowe jakieś kroki przedsięwziąć dały. Gdy w synagodze ukończono modlitwy a święto odeszło, jak u nas pospolicie mówiono. — Jakób który słyszał o starym Jankielu, choć go osobiście nie znał — poszedł wprost do niego.

Stary czytał jeszcze w księdze, gdy się gość zjawił, nie przerwał też dla niego ostatniej modlitwy, aż ją ukończył. Jakób z uszanowaniem czekał, podali sobie potem ręce i przybyły począł rozmowę od tego, że się powołał na osoby wspólnie im znane, które z Jankielem były w stosunkach, powiedział mu że o nim wiele słyszał, że z tego powodu mając interes w miasteczku, z ufnością przychodzi do niego.

Z pierwszych słów starzec poznał młodego człowieka i jego usposobienia, położył mu rękę na ramieniu i mile przypatrywać się zaczął.

— A to ty jesteś, rzekł, ty, o którym ja też wiele słyszałem... jako o mężu wielkiej nadziei dla narodu naszego... ty, coś mimo nauki nie utracił wiary, i prawo trzymasz ściśle i starszych szanujesz... i innym młodzieży naszej podobnym nie jesteś... Niech cię Bóg Izraela i Jakóba błogosławi, bo mało dziś mamy tobie podobnych... Mądrych jest wielu, ale pobożnych braknie; w pogardzie jest prawo i obyczaj narodu naszego... plują na



groby ojców co je w sercu chowali... na to cośmy przez wieki szanować przywykli.

Jakób milczał, stary był ożywiony i wesoły, widocznie rad że spotkał człowieka po sercu swojém.

— Nie pochlebiam ja sobie, bym takim był jakim mnie sądzicie, odezwał się gość — jakim po-  
błazający ludzie mnie czynią — ale się staram o to bym narodowi mojemu wstydu nie uczynił.

Jankiel kazał podać wina i przekąskę, z serdeczną gościnnością zwracając się ku przybyłemu.

— Zkądże nam tu przybywacie? zapytał.

— O! z daleka! z daleka! objechałem niemal wszystkie ziemie, wśród których naród nasz jest rozproszony i widziałem wszystką nędzę jaką znosi a gdybym miał łzy, wypłakałbym je wszystkie nad niedolą jego.

— Byłeś i w ziemi ojców?

— Byłem, wzdychając mówił Jakób, i tam nie lepiej, u siebie jesteśmy jak obcy.

— Gdzież ta dawna wielkość nasza! począł stary składając ręce — gdzie Izraela potęga i sława, i... dodał słowa proroka. (Jerem. 11.)

„Stał się pan jako nieprzyjaciół, rzucił Izraela, „rzucił wszystkie mury; rozwalił zamki jego i na-  
„mnożył u córki Judzkiej uniżonego i uniżoną...

„I rozwalił jako ogród namiot swój, skaził przybytek swój, przywiódł w zapamiętanie pan na Syon „uroczyste święto i Szabbat, i na pośmiech i na rozgniewanie zapalczywości swój króla i kapłana...”

Zadumał się starzec i głowę opuścił na piersi, a łzy toczyły mu się z oczów, ale otarł je żywo.

— Miły mój gościu, rzekł — wybacz, przyszło to wspomnienie mimowoli, zawsze ten sam upadek i taż sama żałość aż do końca... kiedyż zmiłuje się Bóg?

Jakób z cicha odpowiedział mu słowami Talmudu. (Pesachim. 119. a.)

— „Ręce niebieskiego miłosierdzia zawsze rozciągnięte są pod skrzydłami Serafów, na przyjęcie „grzesznika pokutującego.”

Słowy temi ze starój księgi tak uradował Jankiela i zadziwił razem, że podniósłszy się zaczął go znowu błogosławić. Przywykł już był do młodych ludzi, którzy z prawem i księgami dawnymi do czynienia nie mieli, i przejęty był młodzieńcem, szczęśliwy że go oglądał.

— No, mów, zawołał, jeżeli ci w czém użytecznym być mogę... uczynię... boby mi się rozradowało serce, gdybym ci dowieść mógł, jak cię szacuję...

— Tak jest jakoście rzekli, że przychodzę z prośbą do was — ale nieśmiało głos podnoszę, bom z podobném żądaniem udał się wczoraj do krewnego naszego, do Dawida... i zostałem odepchnięty.

Na imie Dawida czoło starego się namarszczyło, ale wprędce wypogodził lice.

— Mówcie no, mówcie, a nie zważajcie na nic, odezwał się.

Jakób począł tedy powtórnie opowiadać historią swoją i przyjaciela, ale już nie śmiejąc żądać pomocy, prosząc tylko o radę starego, który wysłuchawszy, długo się zamyślił.

— Okoliczności są ciężkie, odezwał się po chwili — ale zgadzam się z tobą, że my z narodem tym nieszczęśliwym trzymać, a nie z gniotącymi go powinniśmy. Lepiej jest dla duszy być między uciśnionymi, niż wśród uciskających. Pomiędzy ptakami, nie ma więcej prześladowanego od silniejszych nad gołębia i synogarlicę, a pan ma je za najmilsze sobie ofiary; (Baba kama. 93. a.) dodał, przywołując talmud. Biedny to naród! powtórzył, biedny, a my zapomnieć nie możemy żeśmy od lat pół tysiąca na jednej z nim ziemi rośli, razem żyli i umierali... i jedno cierpieli. Choć nie mają wiary, przecież Bóg i niewiernym źle czynić zakazuje:

„Bądź pokojem z braćmi, z sąsiadami, z każdym człowiekiem, nawet z poganami.“ (Berachot. 17. a.)

— A! piękne to są słowa, zawołał Jakób — bogdajby wszyscy tak na nie pamiętali jako wy... a byłoby na ziemi inaczej!

— Nieszczęśliwy naród, mówił stary, patrzeliśmy jako szedł na zatracenie, i oczy nasze większe jeszcze zgrozy oglądać będą.

I jakby proroczym natchniony duchem mówił:

— Nie chcą nosić kajdan, a ilekroć kruszy je zapragną siłą, ścisną się żelaza ich, bo Bóg skruchy od nich żąda i pokory. Dla czego uwierzyli w ziemską siłę a nie w miłosierdzie Boże, a dumy swojej zwyciężyć nie umieją? Biedny naród! ratować ich nie w mocy naszej... chyba ginąć z nimi razem, albowiem co Bóg rzekł i naznaczył to spełnić się musi.

A po chwili dodał spokojnie.

— Gdzież macie tego biednego człowieka i co zamýślacie z nim czynić?

— Tu jest ze mną, rzekł Jakób, ale co z nim zrobię sam nie wiem, ledwie go powstrzymać mogę aby nie popadł w ręce prześladowców.... Chciałbym go gdzie przytulić, ukryć, dopóki co nie obmyślę....

— Ale gdzie? spytał jakby sam siebie starzec, ale gdzie? A jest on ostrożny i cichy? a będzie posłuszny?

— Spodziewam się przekonać go o potrzebie, rzekł Jakób.

— Gdybyście byli o tém Dawidowi nie mówili wprzód, byłbym go mógł może przyjąć do mojego domu, teraz, lękam się, ludzie są źli i nieopatrzni... Na strychu jest izdebka pusta, mógłby tam bezpiecznie pozostać czas jakiś, ale nuż jego i mnie wydadzą! Ja się pieniędzmi obronię, on zginie...

— Nie macieź gdzie na wsi jakiego przytułku? dworu pewnego? znajomych?

— Czekajcie, rzekł stary, czekajcie, coś się znajdzie! Są ludzie poczciwi i lasy gęste.... Jutro rano zajedzie bryka moja i stary Jankiel sam z nim ruszy, ale nauczcieź go, niech będzie roztropny i ostrożny.

Jakób aż uściskał starego.

— Nie dziękujcie mi, odezwał się Jankiel wzruszony, czynię to z serca dla was i dla tych biednych ludzi, którym ich ziemia i swoboda tak miła

jak nasza Judea i one czasy gdyśmy w niej królowali....

Ale na Boga, dodał po chwili, jeżeli macie cokolwiek u nich wpływu i mocy nad nimi, powstrzymajcie ich.... Śmieją się zawczasu nieprzyjaciele myśląc, jeźliby się porwali, o zniszczeniu i okrucieństwach na które się przeciw nim wyleją. Czyż tak płosi są że pod swój dom ogień podkładać będą, aby się zeń pozbyć nieprzyjaciela, gdy we własném jego mieszkaniu wszczęty pożar prędkiejby go wywabił?

— Rozumne są słowa twoje, rzekł Jakób, ale czyż zawsze rozum ludźmi kieruje? czy cierpienie i nieszczęście nie są najgorszymi doradcami?

— Więc stanie się jako zrządzi Bóg, który wie co czyni, dodał Jankiel. „Chwalmy Pana w doli i niedoli!“ (Talmud, Berachot 54. a.)

Zatrzymując Jakóba i badając go stary do późnej nocy przesiedział z nim na ławie w swojej izbie, a rozmowy ich były smutne, poważne, przecuciami wielkich wypadków przejęte.

Nareszcie potrzeba była wstać i żegnać się, Jakób spokojniejszy odszedł do domu i pospieszył Iwasia pocieszyć nadzieją bezpiecznego ukrycia.

— Uczyniłem, rzekł, co mogłem, teraz od ostrożności waszej zależy, byście się w ręce Moskali nie dostali. Oznajmię wam sam, gdy bezpiecznie wyjść z kryjówki waszej będziecie mogli.

---



Po kilkoletnim pobycie za granicą powracający Jakób, zastał w kraju uderzające zmiany. Wszystko wrzało i kipiało jakąś oszalałą nadzieją, w której zapędach nie było miary. Najdziwaczniejsze wieści przyjmowano bez rozbioru, rozchodziły się po zakątkach i rozradowywały serca, oczy zwracały się znowu po tylu doświadczonych zawodach, na zachód ku téj Francyi, której serce z piersi wydarto aby niém żyć nie mogła, a uczyniono z niéj automat posłuszny woli jednego człowieka co uzdę na nią zarzucić umiał.

Dziwy téż prawiono o Moskwie; tam miały się także gotować wielkie wypadki, jakiś wybuch straszliwy; prądy gwałtowne parły ją ku rewolucyi, która płynęła już w krwi i myśli całego pokolenia. Inni, dobroduszni, przepowiadali dobrowolne przez nią zrzeczenie się Polski!!

Umysłne przycichnienie Rossyi, która się wszystkim tym uczuciom rozżarzać dawała swobodnie,

wybuchowi nie stawiając tamy, aby się nim ocalić od katastrofy przewidywanéj u siebie, łudziło lekomyślniejszych; uważano za bezsilność, co było tylko chytrą rachubą, nikt tak obliczonych nie przypuszczał następstw. Nieprzyjaciół udawał śpiącego, wzięto go za osłabłego... u steru stojący ludzie rachowali na wszystko, na namiętności, na słabości, na podłości ludzkie, na uniesienia i cnoty.

Jeszcze nie zaczęto zohydzać Polski aby od niej Moskalów ślepych odstręczyć i ideom jéj nie dać się szerzyć — czekano, milczano, sposobiono się. Tymczasem wzburzenie rosło w miarę jak go nie hamowano a może podburzano tajemnie; rosło z tém przekonanie, że Polska ma siłę do przeciwstawienia osłabłej Moskwie, przyczajonemu jéj barbarzyństwu.

Moskwa lenieje, mówiono, zmienia skórę, nie ma siły.

Pozornie dla utrzymania w tym błędzie, czyniono niby jakieś ustępstwa, wiodące do katastrofy żądanej i przewidywanéj, któraby dozwoliła odwrócić na kraj skazany wszystkie okropności których się u siebie lękano w domu. Przyznać potrzeba, że metoda była niezmiernie zręczną i przebiegłą.

Od Mikołaja już fermentowały na pognojach barbarzyństwa żywioły rewolucyjne podsycane zakazanymi pismami Herzena, Bakunina, Ogarewa, Gołowina, Dołgorukiego. Moskwa z ciężkością mogła się obronić ich wpływom: przyszły wypadki w Polsce na szczęście jej, poczuło ich ważność, przedsięwzięto zrećźnie zużytkować aby grożącą burzę na nieszczęśliwy kraj odwrócić.

Całe postępowanie rządu moskiewskiego aż po dzień dzisiejszy cechuje ta myśl główna, umiejętnie pokryta w początkach, później coraz jaśniej występująca na jaw.

Rząd miał się podstawić sam na miejsce Herzena, poślubiając rewolucyą i kierując nią.

Lecz w chwili gdy Polska kipiała jeszcze nadziejami, dyszała niemi gorączkowo, nie było człowieka co by tych sieci dopatrzył, co by tę przyszłość wyprorokował, wskazał i głosem potężnym wstrzymał na pochyłości naród nieopatrzny ale szlachetny i pełen młodzieńczego zapału i odwagi. Kierunek sprawy dostał się na ręce najgorętszego wieku, w którym grała latami nagromadzona namiętność, émiły mu wzrok złudzenia, a sercem miotłała żądza ofiary, śmierci i odkupienia.

Biło to w oczy Jakóbowi, jak dalece społecz-

ność, którą porzucił prawie spokojnie przegryzając swe więzy trzydziestoletnie, dziś była zmienioną, rozżarzoną, rozgorączkowaną, silną a codzień samoistniejszą. Mówiono, poruszano się, wyrażano, myślano inaczej; stan istniejący uważano za tymczasowy; przyszłość jakaś niepewna ale jaśniejsza roiała się i zdawała zapewnioną przeczuciami wszystkich... siłą jaką w sobie czuł ogół.

Prawda że ta siła nie obrachowywała naówczas wcale z jakim rozpasanym dzikiem miała stanąć do walki. Znano Rosyą, ale Rosyą szanującą pewne prawa i zobowiązania, lub przynajmniej ich pozory, usiłującą uchodzić za kraj cywilizowany, europejski; nie znano Rosyi cynicznie wścieklej, nieprzyjaciółki praw, wiary, traktatów i szydzącej ze wszystkiego, Rosyi Murawiewów i Katkowów. Znano też Europę nie taką jaką ją kilkadziesiątletni pokój gnuśny wyrobił, Europę dawną co przyklaskiwała Grecyi, sympatyzowała z Włochami, szanowała Węgrów, dźwigała Belgów, czuła się do posłannictwa swobody i postępu; a nie tę zgniłą i strupieszalą która patrzeć miała ziewając, z krwią zimną na męczeństwo Polski świętokradzkie.

Jakóba co chwile większe ogarniało zdumienie, nie dowierzał oczom ni uszom, ludzie mu się zdali

poprzemienianemi do niepoznania, mowa ich inną, myśl zuchwalszą.

Wysiadłszy w Hotelu, pobiegł zaraz nazajutrz rano do opiekuna swego, ale go w domu nie zastał; dowiedział się tylko że był teraz podwójnie zajęty, gdyż liczne projekta nowych przedsięwzięstw całkiem go pochłaniały. — Wracając ulicą ze spuszczoną głową, najniespodziewaniej zetknął się uderzywszy prawie o niego, z panem Henrykiem Segel. — Zostawił go był we Włoszech z projektami długich podróży, zdziwił się spotkawszy na trotuarze krakowskiego przedmieścia. — Od chwili przypadkowego zjechania się z nim na drodze z Genui do Spezyi, w towarzystwie Signory Gigante, Jakób powziął był nieprzezwyćziony wstręt do tego człowieka. Nie lubił go nigdy, ale mógł wprzody szanować, straciwszy to uczucie, widział w nim chłodnego oprawcę istoty, która mu była najdroższą na ziemi, brzydził się nim teraz.

Posłyszawszy nagle głos jego, zaczerwienił się cały i cofnął prawie ze wstrętem.

— A! zawołał śmiejąc się Henryk, prawda że niespodzianka! dziwi cię że mnie i tu znowu spotykasz! a może więcej cię to zdumiewa, niż gdyśmy się ujrzeli na Aqua Sola? Ale cóż chcesz! to są

czasy niespodzianek. Tilda jakoś nie smakowała w tych Włoszech, uparła się powrócić do kraju, mnie też to było bardzo na rękę, bo mi dano znać że tu jestem dla interesów potrzebny. Otoż, widzimy się znowu, kochany panie Jakóbie... bardzom rad, rad serdecznie... Idę do domu właśnie... bądź co bądź zabieram cię z sobą, naprzód żebym ci mój nowy dom pokazał jak go sobie urządziłem... Wiesz mam teraz dom w Alejach, zobaczysz! cacko, confort! smak! elegancya! choć Tilda go krytykuje... powtóre, pomożesz mi téż Tildę rozerwać trochę, jest znudzona, smutna, a mnie tém nudzi i smuci... kobieta, której doprawdy nie rozumiem — na honor! Ale któż to kiedy zrozumiał kobietę! Ma wszystko czego tylko dusza zapragnąć może, a wiecznie stęskniona i kwaśna... coś w niej chorobliwego. — Otoż idziemy, nie prawdaż?

— Ale ja... w istocie... ja czasu nie mam... tylko co wysiadłem, tysiące interesów.

— Dajże temu pokój!! przerwał Henryk, interesa jeszcze nie wiedzą że przyjechałeś... Tilda się rozerwie... przecież dawni i dobrzy jesteście znajomi i masz u niej łaskę... co rzadko! Chódź! proszę.

Jakób byłby się pewnie opierał, ale pokusa była

za silną... ją zobaczyć!! Obowiązek kazał unikać, serce zmuszało szukać — na ten raz uległ słabości — Henryk był tém natarczywszy że postrzegł wahanie się; porwał go pod rękę i powiodł gwałtem z sobą, wesół, roztargniony, do niepoznania gadatliwy.

— Nie rozpatrzyłeś się jeszcze w Warszawie? rzekł — ja ogromne znalazłem zmiany.

— Ja je czuję, odpowiedział Jakób, ale sobie jeszcze wytłumaczyć nie umiem.

— Zmiany są ogromne, prąd w umysłach taki, że mu się oprzeć nie będzie podobna — rewolucya śmierdzi w powietrzu...

— Niech nas Bóg od niój uchowa!

— Zdaje się nieuchronna, lub ja się już na niczem nie znam... proch czuć... Dla nas, dodał cicho pan Henryk sciskając go za rękę — to nie złego. Naturalnie ofiary będą, trzeba się umieć wysliznąć, aby nas koła téj wielkiej maszyny druzgoczącej wszystko nie pochwyciły — ale ostatecznie to dla nas wygrana — ktokolwiek z nich wygra...

— Jakto? spytał Jakób, nie rozumiem.

— Zyskamy najzupełniejsze uobywatelenie od jednej czy od drugiej strony, to niechybna. — Po-



wtóre my się zawsze najmniej zrujnujemy, bo choćbyśmy miliony rzucili w tę otchłań, kapitały nasze mniej są dostępne niżeli mienie szlacheckie; — ocalejem więc zawsze majątkowo — a to już wielka rzecz, to nam da siłę. Naostatek — nie ma wątpliwości że Moskale ostatecznie wygrają, że żywiołów nienawistny nam szlachecki zostanie zgnębiony... myśmy naówczas arystokracją, inteligencją — wszystkim — kraj ten nasz.

Jakób wzdrygnął się.

— Rachuba może być proroczą, rzekł, ale jest okrutną... Z także zimną krwią patrzycie na te klęski, które w nią wchodzą?

— Ale mogeż ja co na nie poradzić? w mojejże sile odwrócić? spytał Henryk — a nie jestemże obowiązany korzystać z położenia? Wierzaj mi — przyszłość Polski cała dziś już jest w rękach żydów. — Wczoraj pogardzeni, jutro panami będziemy... Patrz na tę szlachtę, co to jest? — plemie bezsilne, w którym zostały fantazye szlacheckie, buta stariej szlachty, zachcianki, zepsucia, wesołość, wady... a żadnej stariej cnoty. Jest to ród fatalnie naznaczony na zgubę — któż go zastąpi? Społeczność bez jakiejś... niby szlachty ostać się nie może...

— Pozwolisz mi być szczerym, odparł Jakób smutnie, ja jestem téż żydem duszą i sercem całym, ale powiem ci, jeśli tak ma być, nieszczęśliwyż to kraj!

— Dla czego? spytał Henryk.

— Myśmy nie dorosli do ciężaru téj roli jaka na nas spadnie, odpowiedział Jakób — nie zespoliliśmy się z tym krajem tak, abyśmy losami jego rozporządzać potrafili, społeczność nasza, panie Henryku, jeśli mam wypowiedzieć wszystko, przejedzoną jest także i zgniłą.

— Tak, ale jeszcze silniejszą od polsko-szlacheckiej.

— Ja tego nie widzę, chorujemy inaczej, aleśmy téż chorzy.

— Myśmy silniejsi, dodał Henryk, bo umiemy wyrobić i zachować tę siłę, której oni ani zebrać ani użyć nie potrafili nigdy, a którą w wieku materializmu jedynie coś zrobić można — siłę pieniędzy! siłę kapitału, woli cichój, pracy wytrwałój i jedności wewnętrznej!

Jakób się zamyślił.

— Trochę sobie pochlebiasz, rzekł, a może nieco masz słuszności — Bóg jeden wie co będzie. Przed żydami jest, lub być może, w istocie zadanie

wielkie. Jedyne to kraj w Europie w którym oni tak przeważną rolę odegrać będą mogli (choć w Niemczech mają też ważną) ale czy ją gołnie pojmą i spełnią?

Henryk się rozśmiał.

— Ty jesteś żydowskim pietystą, zawołał — ty mięszasz do wszystkiego ideę Boga, wiary, ducha... a dziś to stare łachmany które w kącie poszły.

— Nad czem ubolewać należy, odezwał się Jakób — zrobiliśmy je łachmanami — ale w nich jest złoto.

— Gruzja to dawniej epoki, która już nie powróci, przerwał Henryk, nie mówmy o tym... A! otoż dom mój! widzisz? to dom mój! Najprzód ci go pokazać muszę, kosztuje przeszło pół miliona, potem pójdziemy do Tildy.

Spojrzał na zegarek.

— Do katedra! zawołał, za pół godziny muszę być na giełdzie, ale starczy mi czasu na pobieżne pokazanie ci domu, a potem zostawię cię z Tildą... i musisz na mnie poczekać. — Powrócę jak będę mógł najprędzej.

Dom, po którym natychmiast zaczął oprowadzać pan Henryk Segel gościa swego, był w istocie przepyszny, obszerny, urządzone ze zbyteczną aż może

wspaniałością, ale wspaniałością tą powszednią, bogatą, kosztowną, a bez smaku i charakteru, z którą równie dziś po pałacach jak po hotelach spotkać się można. Żwierciadła w bogatych ramach złotych, meble aksamitem kryte, opony kosztowne, posadzki wytworne, brzozy drogie, kryształ, chińskie porcelany, mnóstwo fraszek na wagę złota kupionych, kolory bijące w oczy... zbytek jedném słowem powszedni i złego smaku, oto co znaleźli w tym domu niedawno zbogaconego człowieka, który nie miał żadnego artystycznego uczucia, i złotem szafując sądził że za nie kupi razem z towarem ten smak którego mu brakło.

Nie rzadko przy pokazywaniu wyrывało mu się słowo — Wiesz! to kosztuje sto dukatów... to zapłaciłem tysiąc rubli!

Dom był pyszny choć króla, zwłaszcza zdetrozowanego, przyjmować, kapał od złota — ale od niego wiało pustką, smutkiem... Pokoje były jakby niezamieszkane, do ścian ich życie nie przyłgnęło, zdawało się że w nim ani się swobodnie obrócić, ani przemówić szczerze nie podobna.

Segel oprowadziwszy obojętnego dosyć gościa aż po kuchni, która była przepysznie urządzoną, do której sama woda szła, sama z niej odpływała,

która miała sadzawkę na ryby, mnóstwo wygodek i wymysłów; pobiegł go żonie oznajmić.

Jakób padł na sofę znużony i smutny temi oglądzinami; na ścianach domu już było wypisane męczeństwo téj kobiety, tém straszniejsze że w atłasy, złoto i erdredony obwinięte.

Po dobrym kwadransie Tilda wyszła blada, powoli, ciągniona prawie przez męża; powitała starego znajomego swego uśmiechem miłym, ale nowo przecierpianych boleści jakichś pełnym. Nastraszył się jój oczów rozszerzonych, wpadłych, a blaskiem dziwnym iskrzących.

— A! i pan już z Włoch wróciłeś! odezwała się podając mu rękę — jakże to dobrze! Ale i tu i tam — zimno i smutno!!

— Gdzież życie weselsze? odpowiedział Jakób, to natura życia że kto na nie patrzy poważnie, smutném mu ono wydawać się musi...

— Bo téż nie potrzeba na nie tak patrzeć! przerwał Henryk podając kieliszek wódki — w ręce twoje, panie Jakóbie.

Wiecznie zapomniałem o giełdzie! zakąsić mam ledwie czas! Kochana Tildo zatrzymujże mi gościa koniecznie do mojego powrotu... proszę i wyma-

gam... ja na godzinkę wybiedz muszę... oddaję go w ręce twoje...

Zadzwoił. — Są konie?

— Gotowe, proszę Jaśnie Pana — odpowiedział służący.

— A zatem bez pożegnania, nie przepraszam zostawując cię z nią, rzekł w rękę całując żonę... w najgorszym razie, jeśli do rozmowy nie będzie ochoty, to ci coś zagra, posłuchasz. Masz tu gazety wszystkie... ale głupie — może zechcesz przerzucić...

Zakręcił się i wyszedł zostawując ich dwoje.

Przez długą chwilę stali tak naprzeciw siebie, spojrzeć sobie w oczy nie śmiejąc. Naostatek ona westchnęła, wyciągnęła doń rękę powoli i rzekła:

— Jakóbie — wszak staremi tylko będziemy, dobrimi przyjaciółmi? nic więcej?

— Pani, odpowiedział z uszanowaniem młody człowiek — znasz mnie lub domyślasz się... że czas zmienić nie był powinien. Chciéj wierzyć że zaufania nie zawiodę — nigdy.

— Tak, los sam zbliża nas znowu, gdy oddalałby powinien... To próba, wytrwajmy godni siebie i naszej jasnej przeszłości.

Nie rozumiem, dodała po namyśle, co się stało

Henrykowi — Henryk jest zwykle, to jest był zazdrosnym, aż do śmieszności, nie lubi mnie w mężczyem towarzystwie zostawiać. Nie rozumiem go dziś. Jest to dowód ufności lub obojętności.

— Nie mówmy o tém — wolę spytać jak się pani czujesz po podróży? dla czego dłużej nie zostałaś we Włoszech?

— Po co? wszędzie się cierpi, i wszędzie umiera, rzekła powoli, wożę z sobą tęsknotę i boleść od chwili ślubu naszego... wszystko mi jedno na jakiem się one tle odbijają...

— Ale zdrowie?

— Ja chora nie jestem, dusza we mnie cierpi — a wy? spytała podnosząc oczy na niego.

— My? — ja... odparł Jakób mężnie — my nie mamy cierpieć ani prawa ani czasu, mężczyzna musi żyć nie życiem uczuć ale czynu... Dla tego myśmy biedniejsi i szczęśliwsi... W głębi tkwi w nas wiekiście cierpienie, gdy raz strzała w piersi zawieźnię — ale myśleć o niej, pieścić się z nią... nie nasza rzecz... My, jak ranny żołnierz, do ostatniego tchu walczyć musimy...

— I tak dobrze jest, zawołała Tilda.

— Ale czemużbyście i wy — panie — na cier-



pienia tegoż samego nie szukały lekarstwa? — pracy, czynu!

— O mój Jakóbie drogi, rzekła, dla kobiety co nie ma dziecięcia, jakże ograniczoną jest sfera pracy i czynów!! Juściż nie sądzisz żeby mnie poduszka kanwowa lub wyszywanie na siatce nasycić i uspokoić mogło? Duszy czegoś więcej potrzeba..

— Książka, muzyka, sztuka, poezya, rzekł Jakób żywo — oto są źródła najczystszych rokoszy na ziemi. Wierz mi pani, to jeden zdroj niezmacony, to jedno użycie po którym na dnie duszy nie zostają męty, przesyt, żale i zgryzoty. Kto nie może sam tworzyć, może sobie przyswajać twory umysłów nieśmiertelnych. A! jest to wielką rokoszą... jest to najsilniejszym zajęciem odrywającym od świata. Starożytność zostawiła nam przykład takiej namiętności nauki w Archimedesie, którego żołdak zabił zgiętego nad rachunkiem... Nie wiedział on nawet że gród jego ojczysty zdobyto...

— Ślicznie to mówisz i wiele jest w tém prawdy, rzekła wzdychając Tilda, ale i do tego potrzeba inicjacyi, wdrożenia, nałogu.

— Nałóg się tworzy!

— Ja już, dzięki Bogu, mam jeden — zawołała śmiejąc się Tilda — jest nim muzyka... Bar-

dzo ją lubię, ona mi słodzi, zajmuje, pożera dnie... Ale, ale muzyka mówi do jakiejś nieokreślonej, dusznej strony człowieka, karmi tylko jakąś jedną komórkę serca, jego — nie zaspokaja.

— Więc książka...

— Tak, odpowiedziała po cichu, książka ma znowu tę wadę, że zanadto świat nam i życie odzwierca, przypomina, szczególnież książka jaką my czytujemy, powieść, romans, dramat, poezya.

— Więc coś oderwansego, poważniejszego! rzekł Jakób.

— Probuje, rzekła Tilda patrząc mu w oczy — i próbować będę, ale dosyć już o mnie... Powiedźże mi co pan... ty... Jakóbie... o sobie? Z czém powracasz? co zamýślasz?

— Powracam z głową i sercem przepełnioném, odezwał się Jakób, daleko bardziej żydem niż wyjechałem może; wracam z marzeniami reform, pracy, poświęceń się dla narodu mojego... jestem aż zuchwały w mych planach, choruję na Bar Majmona... Tyle jest do uczynienia! tyle! tyle!

— Sądzisz? spytała po cichu siadając i wskazując mu miejsce przy sobie — sądzisz pan... sądzisz Jakóbie, poprawiła się — że są jeszcze żydzi, i że z tego rozkładającego się narodu który

długo od zepsucia ocet niewoli zachował — jeszcze dziś żywą całość na nowo stworzyć można?

— Tak jest! gdyby tylko siły po temu! zadanie jest trudne, ogromne, przerażające, wołał z zapalem młody człowiek. Naród ten przechował tradycją, wiarę w jednego Boga czystą, prawo i ideę niezłomności prawa od lat tysiąców... Na te ogromne granitowe podstawy przypadł pył pustyni i mchy a zgnilizny wieków, ale je oczyścić łatwo... jeśli się do odbudowania świątyni przystąpi z czystym sercem i rękami... Al gdybym mógł! gdybym umiał! gdybym miał siłę!

— Niestety, rzekła Tilda, patrzaj co się do koła nas dzieje. Ci co są wierni prawu razem z niem przechowują bałamutne powijaczki w które je ludzie niezręcznie skrępowali dla przechowania... Ci odepchną cię jako odszczepieńca, nowatora, reszta nie ma wiary żadnej, będą cię słuchać jak poety, przyklasną ci, ziewną, ale nie wezmą do serca!

— Alboż to raz jeden — przerwał Jakób, prorocy przychodzili do tłumów obojętnych, alboż ich raz kamionowano? A jednak po każdym z nich zostały ślady na ziemi, i posiane przez nich ziarno powschodziło?

— Masz więc odwagę męczeństwa? spytała ru-

nieniąc się Tilda — i wiesz jakie cię dziś czeka? Jeśli sądzisz że cię namiętnie wśród rynku ukamionują — mylisz się. Będą cię kłuć szyderstwy, ogłaszają za warjata, odsuną się, wyśmiejają... Będzie to męczeństwo salonowe, małe, śmieszne a bojące. Niewiele ludzi coby się dali ukamionować, znieść je są zdolni. Tych których nie odstraszą kamienie, odstręczy sarkazm w białych rękawiczkach...

Jakób smutnie na nią spoglądał.

— Masz pani słuszność, rzekł, ale gdy oczy od blasku prawdy świętą ślepotą się zaćmia — naówczas człowiek nie widzi nic już, giną mu pigmeje... mówi do tłumów, świat mu się małym wydaje.

Wstał poruszony i począł się przechadzać.

— Tak pani — dodał — dużo nas poświęca się zbieraniu i frymarczeniu groszem, intrygom drobnym, nasyceniu ambicyi — powinien choć jeden myśleć o narodzie, o jego losach, a nadewszystko o duchowym spadku przeszłości. Czytamy jeszcze księgi Mojżesza, ale już ich nie rozumiemy.

— O! jakże bym rada, nieśmiało ozwała się Tilda, być twoją uczennicą, ale niestety! za wysoka to mądrość dla mnie co wiele zgaduję, prze-

czuвам, a nic nie umiem. Kiedyś ty napiszesz to co mówisz, a ja gorąco czytać będę... i pójdę z tém do biednych niewiast naszego narodu, nieświadomych, odepchniętych, pozbawionych nauki Bożej i płynących z niej pociech... zostanę twoim tłumaczem.

Ale, niestety, ty możesz w sobie czuć natchnienie Baraka, ja nie mam zapалу Debory!

Jakóbowi uderzyło serce, zbliżył się, chciał coś wyrzec, gdy w tém hałas się zrobił w sieniach, drzwi przedpokoju otwarły nagle i z okrzykami radośnemi na podziw wpadli razem ojciec Tildy, jej mąż, Mann i ojciec Symon...

Henryk połapał ich gdzieś w mieście istnym wypadkiem, a wiadomość udzielona o powrocie Jakóba skłoniła ich że wszyscy dali się na obiad zaprosić. Nawet poważny Mann, od którego musiano to uważać za wielki dowód łaski, gdyż zawsze był tak zajęty że na nic czasu nie miał — dał się na ten raz pochwycić.

Dawny opiekun Jakóba podszedł doń pierwszy z otwartemi rękami.

— A witajże! witaj nam, zawołał — proroku...  
Rabbi Jakóbie!

Mann obawiając się aby go kto nie wyprzedził podsunął się i pokłapał go po ramieniu.

— No... jak tam podróż? daj mi rękę! dobrze wyglądasz... cieszę się.

To powiedziawszy i ledwie głową kiwnąwszy gospodyni, padł rozłożyście na kanapę, ale tak jak pada księga na ziemię, bezwładnie, zajmując ją prawie całą i dysząc po trudach porannych.

Ojciec Symon, zawsze drwiarz, począł od uścisku ręki, ale już mu się w przywitaniu zbierało na żarty.

— No? jakże? zapytał — bez obrazy — czy wracasz nam Akibą czy Ateuszem?

— Ani jednym ani drugim, odparł Jakób — takim zupełnie jak wyjechałem, tylko trochę więcej przestraszonym przyszłością.

— Nie było po co jeździć! zawołał ojciec Symon — strachu byłbyś dosyć i w domu napisał... Ale przybywasz w porę właśnie, my tu rewolucją robimy...

— O! o! z tém nie żartuj ojczy Symonie! rzekł Henryk.

— Ale ba! ja nic a nic nie żartuję — dodał szyderca — ja pierwszy sztyftuję pułk z bachurów i dowodzić nim będę sam... w lektyce... Jest tylko

kwestya, zamiast broni, co wziąć w rękę, czy parasol którym wywijać umiem, czy kawałek kredy — tradycyjonalnej.

— Żart żartem, rzekł ojciec Tildy, wiesz panie Jakóbie, że tu istotnie na coś się zanosi.

— Niestety! szepnął przybyły, codzień się bardziej o tém przekonywam.

— Widzę że nie aprobujesz, z twojego wykrzykniku — i cieszę się.

— Któżby to mógł pochwalać.

— Ale co pomoże się opierać, cierpko zawołał Mann, to są, z pozwolcniem, wartogłowy, szaleńcy, z nimi gadać, jak do ściany... Trzeba o sobie myśleć i swoje ratować manatki.

— Tak, poły w garść i — znowu wedle tradycji — w nogi, rzekł ojciec Symon, do dziury, to bezpieczniejsze. My będziemy Mojżeszowi ręce podnosić... a oni niech się biją i tłuką.

— Juściż my razem z nimi bić się nie pójdziemy — zawołał Mann — na co? za co? po co?

— Jeśli na seryo o tém mówić mamy, odezwał się Jakób, toby może inaczej rzecz tę rozważyć potrzeba.

— Ależ do katastrofy może jeszcze przyjść,



a może nie przyjść, rzekł Henryk... zdaje mi się że przecie są tam ludzie rozsądni...

— Pochlebca! zawołał Symon... mów otwarcie... sami jesteśmy.

Mann porwał się z kanapy w ten sposób jak chrząszcz przewrócony na grzbiet, podnosi się czasem z wielkim wysiłkiem.

— Właśnie dla tego, że to głupstwo niezawodnie przyjdzie do skutku, odezwał się stanowczo, to jest plemię skarłałe a dumne, a zarozumiałe, powodujące się namiętnościami zawsze, rozumem nigdy.

— Kochany Mannie, spytał Symon, a my? my nie dumni? i olbrzymy? he?

— Więcej bez porównania jesteśmy warci niż oni....

— Tak, odparł Symon seryo, oni są ślepi a my tylko kulawi... Wart Pac pałaca, a pałac Paca, mówi ich przysłowie. Żydzi są doskonali do spokojnej szachrajki i handelku, ale gdy na ulicy tertes, wolą sklepy pozamykać.

— A mają słuszość! rzekł Mann.

— Tak mówił i nieboszczyk papa, dodał Symon, i ja!

— Ty zawsze żartujesz....

— Gdybyście wy choć raz popróbowali żartować, jabym przestał. . . . Trzeba przecie żeby ktoś za cały naród miał trochę dowcipu, bo powiedzą, że Heine nam zjadł wszystek. . . . kochany Mannie, nie uwierzysz co to za ciężka pańszczyzna, mieć spryt za was wszystkich. . . . za ciebie jednego co to ja się nawysila!

Mann zrozumiał ukąszenie, nadął się chodząc i mruczał pod nosem.

— Jakże ci się kraj po powrocie wydał? spytał ojciec Tildy Jakóba.

— Bardzo zmieniony. . . . a jakże idzie z nami?

— Co to *z nami*? podchwycił Symon, co to z nami? cicho! sza! połowa nas już się do *naszych* nie przyznaje. . . .

— Nie żartujcie. . . . ale ta sprawa drażliwa z gazetą. . . . dziennikarska. . . .

— Ubita. . . . opinia ogólna za nami.

— Tak, pozornie, zawołał Mann, muszą się okazać niby liberalnymi, ale w gruncie feudały to niepoprawne, nadęte szlachciury. . . .

— Słuchaj, przerwał Symon, gdy mówisz o nadętych, proś kogo żeby cię zastąpił, tobie to nie przystoi. . . .

Mann się ofuknął.

— E! ty stary trutniu!!

— Truteń! zgoda! rzekł Symon spokojnie, ale ty wyrzucasz im że się dma, spojrzjże się w lustro? chybaś się nigdy nie widział! Czy u ciebie kochanie tak samo jak u tych feudałów w przedpokoju nie potrzeba odbywać popasu nim się do salonu zajedzie, żeby w nim twoje fupy połykać? Czyś ty potulniejszy, przystępniejszy, bardziej ludzki od X. Y. Z. hrabiów i baronów? Ich mitry a twoje miliony skutek jeden... jak tranu rybiego i syropu z chrzanu z jodem....

— Nieznośny jesteś... milcz! ofuknął znowu Mann.

Henryk i ojciec Tildy śmieli się, Mann na serwo się gniewał i przez zęby cedził.

— Trefniś! błazen!

— Kochany bracie w Izraelu, rzekł Symon, ile razy ci szlachta zaśmierdzi, powąchaj siebie.... tyś taki szlachetka bez szlactwa... aż strach....

— Ale dośćże mi tego! zakrzyknął Mann.

— Nie, nie dosyć, muszę dokończyć bo się udlawię, a szkoda mnie będzie, rzekł Symon, i prócz tego możecie mieć kłopot z moimi długami. Otóż my na wymówkę dumy, a raczej pychy, nie mamy

ani ich tradycyi o jelenich rogach, ani trzysta lat rzeczypospolitėj szlacheckiej... ale...

— Ale dość.

— No — dość! Symon się usunął, Mann dąsał.

— Panie Jakóbie, zawołał pierwszy, co nam przywozisz z Jerozolimy? jak to tam wygląda?

— Przywożę wam smutny jęk niewoli i niedoli, mówił Jakób poważnie, i wołanie narodu, abyśmy my choć wygnańcy a silniejsi, skupili całą moc dla dźwignienia...

Mann ręką machnął.

— Daj ty sobie pokój, rzekł, co ty chcesz świat uczyć!!!

— Wcale nie mam pretensyi téj, odezwał się Jakób, ależ wiecie że i Akiba wprzód był pastuchem nim mędrcecm został, więc może i ja...

— Słuchaj, przerwał mu Symon, tobie nic nie pozostaje jak zrobić na wywrot, on z pastucha został mędrcecm, ty możesz z mędrca zostać pastuchem jeżeli tak pójdziesz dalej.

Opiekun się rozśmiał.

— To prawda, rzekł, co ty chcesz świat naprawiać, weź się do jednej roboty, do handlu, do fabryki, do przemysłu, pracuj, a trud reform zostaw Panu Bogu.

— Bez Boga nic, odparł Jakób, ale myśmy powinni być posłusznymi narzędziami jego.... Do robienia grosza nie czuję powołania, mam go dosyć.

— Kiedy mu się zachciało być Akibą, na to nie ma rady, rzekł Symon, ale czy ty wiesz, że dziś gdyby w istocie kto i zasiał Akibę, taki grunt że się albo Börne lub Heine urodzi; a być Heinem w książce... ładnie, na świecie... niewygodnie.

— Ja nie cierpię Heinego! zawołał Jakób.

Wszyscy okrzyknęli ze zgrozą i oburzeniem przeciw świętokradzcy.

— Dla czego ty go nie cierpisz, odparł Symon, on z Kladderadatschem najlepiej przedstawiają dzisiejszego ducha żydowskiego.

— I dla tego go nie cierpię, dodał Jakób, bo ten duch jest mi antypatycznym. Jakiż to duch? duch zniszczenia, rozpusta słowa, rozpusta myśli, zwątpienie, sceptycyzm, szyderstwo, chłód, dobrowolne upodlenie. Choć ubrane w perły i dyamenty dowcipu i talentu są one chorobą i zgnilizną. — Z tego to stanu właśnie radbym was wywieść, bo jest przepowiednią śmierci, bo jest konania chrypką.

Symon stanął naprzeciw niego i głową kiwał.

— Azatém *Finis Judaeorum*.

— Tak, mówił Jakób, *Finis Judaeorum et Ju-*

daismi finis. Ale nie na pobojuwisku chwalebném rozwiążą się losy nasze, na śmieciach cywilizacji. Naród nasz pobobny jest temu, co tysiąc mil niósł skarb do domu, uratował go od rozbójników i złodziei, a do progu nie dodźwigawszy go, rozsypał w kałużę. Jeżeli kiedy to dziś nasza wiara i moralność...

— Ale kochanie moje, rzekł Symon, co ty gadasz o przedwiecznych rzeczach, o wierze i moralności, czy myślisz że one jeszcze gdziekolwiek są?

— Trzeba je wskrzesić!

— Dostał bzika, szepnął Mann machając ręką. Słuchaj, dodał zbliżając się, idź ty do Mejjzelsa, siadaj nad biblią i kiwaj się czytając, a nam daj pokój, zostaniesz podrabinem.

— Gdybym był istotnie godzien nim zostać, odparł Jakób, byłbym z tego bardzo dumny.

— A ja ci radzę, dodał Symon, poświęć się ty ważnemu przedmiotowi, badaj zakazane potrawy żołądkom Izraela. Majmonides liczy ich tylko dwadzieścia cztery, to mało... mógłbyś podłubał w Talmudzie, dojechać do trzydziestu! Zawsze to rzecz piękna!

— Ojciec Symonie, bronił się Jakób, możeby to wielu... choć od obżarstwa uratowało....

— Kochanie, rzekł Symon wzdychając, gdybyś ty wiedział jak kielbasa jest smaczną! Wiesz że hrabia wołyński Gr....i, który z naszych pochodził, ile razy się jój objadł, zawsze się tłumaczył tem, iż za wszystkie pokolenia antenatów izraelskich, które jój nie kosztowały, odjadać musiał.

— Otóż rozmowa, dzięki wam i kielbasie, odezwał się Henryk, poszła na lepszą jakoś drogę.

— Pozwólcie mi tylko powozić, podchwycił Symon, a zobaczycie jak z nudnego prostego gościa powagi natychmiast zboczę.

Mann, któremu się już niezmiernie uprzykrzyły uwagi Jakóba, a może i dowcipy Symona, przerwał.

-- Uważaliście tego... wróbla... jaki sobie sprawił powóz i konie?

— Naturalnie, wyrwał się niezmordowany Symon, myśląc zbankrutować trzeba mieć wcześniej czém uciekać.

— Jak stoi z giełdą?

— To co zawsze....

— Byłeś u hrabiego?

— Byłem...

— Przyjął cię?

— Spodziewam się!

— Cóż mówi?



— To co zawsze, i nie wiele i nie nowe. Ich teorią znamy, chcą ażeby żydzi dosługiwali się obywatelstwa jak czeladnik wyzwolenia.

— Do pewnego stopnia mają słuszość, zawołał Jakób.

— Jak to słuszość! oburzył się Mann. Nie mamyż my jako ludzie na téj ziemi zrodzeni tych praw z natury co i oni? Czém ci trutnie lepsi od nas? Alboż upokorzeniami bez liczby znoszonemi przez wieki jeszcześmy się nic nie dosłużyli?

— Za pozwoleniem, przerwał Jakób, z prawa natury wszyscyśmy równi, to prawda, ale przy prawach stoją tuż — obowiązki... Jeśli wspólnych z całym społeczeństwem nie ponosimy ciężarów... sami się praw wyrzekamy...

— Jakto nie ponosimy — ofuknął Mann, my się nie uchylamy od niczego. Wieszże ty, że szlachta nas od towarzystwa rolniczego odpycha i przyjmować nie chce?

— Ależ my dotąd z rolnictwem nie wieleśmy mieli wspólnego, odezwał się Jakób. Zresztą szlachta źle robi.

— Spodziewam się że źle! zawołał Mann. A co znaczą domy Spółki? chcą nam odebrać handel...

— Może nam tém wielką wyrządzą przysługę,

oparł się znowu Jakób, bośmy przy tym handlu jednym, który nas w niewoli trzyma — zmaleli, znikczemnieli... Jeśli zmuszą nas z niego wyjść i szukać innéj pracy, tém lepiej. Zresztą jeśliśmy wprawniejsi, zdatniejsi, dla czegoż się ich konkurencyi obawiać mamy?

— Ale handel stanie się ich monopolem?

— Tak! tak! to są straszni ludzie, przerwał Symon, nadewszystko w handlu!! Dowodem przysłówie ich... zamienił stryjek, siekierkę na kijek, wyszedł jak Zabłocki na mydle... Że ten stryjek nie nasz był, na to ofiaruję *Szebuoss haddajunin...* (przysięgę sądową) lub i — *hesses...*

— Cichoż bo ty z tém żydowstwem! począł gniewnie ojciec Tildy zniecierpliwiony.

— A! prawda! przepraszam, zapomniałem że już oddawna nie jestem żydem... więc... *słowo onoru!!*

— I przerwałś rozmowę, co gorzej, dodał Mann, te domy spółki są wymierzone przeciwko biednym żydom, to towarzystwo rolnicze jest także konspiracją szlachecką na nas.... Stara ich niewiść trwa w najlepsze.

— Nie widzę, przerwał Jakób, żebyśmy i my ich bardzo kochali....

— Dalipan bo nie ma za co, odezwał się Hen-

ryk, pomimo grzeczności, uprzejmości ich, zbliżyć się do nich nieco, choćbyś był najlepiej wychowanym, nie dopuszczą cię do ściśniętego koła swego; nie dozwolą zawiązać poufalszego stosunku... nie dowiesz się od nich prawdy, nie doznasz przyjaźni.

— A my? a my? spytał Jakób.

— Co my! co my? rzekł Mann, my mamy prawo być takimi jakimi jesteśmy... mamy powody do nienawidzenia ich....

— O tak! dodał Symon, my mamy prawo ich nienawidzieć, a oni za to powinni nas kochać serdecznie, na to oni goimy... toć to przecie ich nauka i prawo... Damy im w pysk, muszą nastawić drugi policzek....

Spojrzeni po sobie wszyscy w milczeniu, Symon był poważny.

— No, ale z tego wszystkiego cóż wyrośnie? zapytał ojciec Tildy.

— Spytaj raczej co się wywróci? poprawił Symon.

— Wąryaty są, azatém rzeczy rozumnej zrobić nie mogą, mruknął Mann. Klęski, nieszczęścia, krew, pożoga, nic więcej. Wystawcie sobie że oni wierzą w cesarza Napoleona, w Anglią, we Włochy, w Węgrów, w Turcyą, w Szwecyą, niektórzy nawet w jakąś rewolucyą niemiecką... kartoflaną...

a ostatni w moskiewską... na tém wszystkiém budują coś dla siebie.... Widział kto podobną głupotę!!

Symon się uśmiechnął.

— Szczególniej dobrze sobie wybrali cesarza Napoleona, to człęk fundamentalny, bo i nigdy nie zmienia opinii i zawsze kieruje się uczuciem.

Wszyscy spojrzeli po sobie, zdawał się mówić serio.

— Ale co będzie to będzie, a myśmy, dodał ojciec, w bardzo przykrém położeniu, iść z nimi czy przeciwko nim równie niebezpiecznie. Wygrana będzie przy Moskwie, to nie ulega wątpliwości, ale w chwili nieładu oni nas mogą zgnieść i nasze obywatelenie na długo odsunąć.

— Mylisz się, rzekł Henryk.

— Mylisz się, powtórzył Symon, siądziemy na dwóch stołkach, jeżeli się jeden usunie, drugi zostanie.

— Nie ma wątpliwości, potwierdził pierwszy.

— Dla mnie, odezwał się Jakób, jedna tylko rzecz jasna. Jakkolwiek przewidziana jest klęska, potrzeba szczerze iść i podzielić losy narodu; ofiara to najlepszy środek nabycia praw obywatelstwa. Cokolwiek wypadnie, zasługa nasza musi być uzna-

na... Chwalimy się dziś jednym pułkownikiem Berkiem...

— W tém trochę ma Jakób słuszności, przerwał Mann, do pewnego stopnia rozumuje nie głupio. Nie jedna z wielkich rodzin ich zawsze w stanowczych chwilach dzieliła się tak, że niektórzy jej członkowie szli z królem, drudzy przeciw królowi, jedni z rewolucją, drudzy z rządem trzymali. Mieli w ten sposób w obu obozach swoich popleczników, a ktokolwiek wygrywał, oni zawsze ocalili... To przykład dla nas jak zrobić powinniśmy. Nie możemy ginąć dla nich, ale niepodobna wystąpić przeciw nim. O tém wartoby obszerniej pomówić jeszcze.

— Szczerze, szczerze, otwarcie, przerwał Jakób, iść z krajem i dzielić jego losy!

Mann głową pokiwał i klapnął go po ramieniu.

— Jesteś młody, rzekł, poczekaj...

— Tak, jesteś młody, wyrwał się znowu Symon, będziesz radził gdy wystygniesz, bo do rady trzeba chytrości... poczciwości nie... przeszkadza ona. My stare łajdaki naradzim się, a wy młodzi poczciwcy wykonacie...

Otwarto podwoje, służący w białych rękawiczkach oznajmił że dano do stołu. Tilda która była odeszła, nakazała się w progu. Ojciec poprowadził

ją do stołu, Mann pochwycił drugą rękę niby żartem, ale w istocie obawiając się pozostać w tyle, reszta poszła za nimi.

Zbyteczném byłoby rozwodzić się nad wspaniałością stołu, nad wytwornością kuchni pana Henryka. Umiał on obejść się kawałkiem chleba i kieliszkiem wódki, mimo swojego państwa, ale gdy potrzeba było wystąpić, a miłość własna w grze była, nie znał rzeczy za drogie i niedostępnych. Obiad za który wcześniej przepraszał że miał być improwizowany, o którym mówił iż prawdziwie nie wie jaki będzie, za który z góry gospodynią obwiniął (zupełnie obcą kuchnię) okazał się dyplomatycznym obiadem. Wypieszono nawet cetle na różowym papierze w srebrnych ramkach.

Tyle razy mówił gospodarz o tej improwizacji swego obiadu, że Symon w końcu zmuszony był powiedzieć:

— Wiesz co, kochanie, ty tak improwizujesz, że i Deotyma lepiej nie potrafi...

Mann który udawał że nie wiele stał o prze-  
pych i umyślnie przybierał grubiańskie maniery,  
aby w nim braku wychowania istotnego znać nie  
było, zatknął serwetę pod brodę i zabrał się jeść

milczący. Rozmowa ślizgała się po najrozmaitszych przedmiotach, zabawach, plotkach miejskich i wiejskich wypadkach.

— Na, mospan Jakób, odezwał się po polsku Mann zjadłszy sztukamięś, jeżeli już jesteś takim prawowiernym żydem, to powinienes wiedzieć, że jedno bardzo ważne prawo złamałeś i jesteś w wielkim grzechu....

— A! tylkobyście państwo temu żydowstwu dali już raz pokój! zawołał przestraszony gospodarz po francuzku, wstrzymajcie się od tego choćby dla lokajów którzy posługują.

— Mój kochany, rzekł Symon, bądź pewien że gdy ty otwarcie o tém mówić nie będziesz, oni tém więcej po cichu się z tego naśmiewać muszą.

— Ale o czémże mowa? przerwał Jakób, żadnegobym prawa łamać nie chciał!

— A łamiesz, szkaradnie łamiesz, bezwstydnie, zuchwale, rzekł Mann, najgrawasz się z niego... nie możesz się nazwać człowiekiem na którym spoczywa błogosławieństwo Boskie.

— Cóż to jest?

— No — masz lat... ile? spytał Mann.

— Dwadzieścia i...



— Widzisz, i kilka!! Więc, co najmniej od ośmnastego roku życia jesteś w grzechu, boś się zapomniiał ożenić. . . . Jako Izraelita prawowierny powinieś co najprędzej pomyśleć o żonie, obowiązek to jest, bo cię Dumah za kark w ogień wrzuci.

— Nie przeczę że to jest obowiązkiem, odparł Jakób, ale sądzę że prawo w tym względzie cierpi niektóre wyjątki. . . . Nie mam najmniejszej do ożenienia ochoty.

— Radziłyście mu co najprędzej chomąto włożyć na szyję, przerwał Symon, wy co w niem chodzicie. Czuła troskliwość!! Ale przekonywam się że Jakób choć hussyt, mądry przecie.

— Gdy się zakocham to się ożenię, odpowiedział Jakób rumieniąc się i mimowolnie wejrzenie jego poszło ku Tildzie, która siedziała z głową spuszczoną.

— Otóż w tém jest właśnie grzech, zawołał Symon poważnie, że wam tego cukru kochania potrzeba teraz koniecznie do małżeńskiej potrawy. . . w tém jest rozpusta! Chcecie tam szczęścia, delikatesów, przysmaków, gdzie jest obowiązek i brzemie — rozkaz i ofiara.

Jakób się zmięszał i obrócił do niego.

— Tak przywykliśmy do twych żartów, ojcie Symonie, rzekł, że i to coś teraz powiedział za żart by ujść mogło... chociaż wypowiedzieliście prawdę wielką! Tak, macie słuszość, człowiek jest rozpieszczony, rozmarzony.... Ale nie wolnoż mu na ziemi szukać choć jednego błysku, jednej chwili szczęścia — nie jestże godziwą miłość i możliwem szczęście?

— Nie — romanse was popsuły, odpowiedział Symon, małżeństwo chcecie sobie zrobić taką uczta jaką naprzykład zrobiliście stół i jadło wasze. Jedzenie jest poważnem zaspokojeniem potrzeby ciała, bywała uczta prawie obrzędem ale skromnym, rozpoczynała się modlitwą, nią i błogosławieństwem kończyła, dziś jest smakoszewstwem, rozpustą.... Tak samo małżeństwo....

— Słowo honoru, przerwał Mann, ten Symon, Kapcan ma czasem pomysły oryginalne.

Jakób milczał zamyślony.

— Ojcie Symonie, rzekł, darujcie człowiekowi, że wszędzie w tém życiu smutném szuka poezyi i poezyą sieje. Wystawcie sobie to życie surowe, zwierzące niemal, pierwotne, czyżbyśmy niém dziś zaspokoić mogli? Obudziły się z cywilizacją w człowieku pragnienia nowe.

— Których nigdy zaspokoić nie potrafi, dodał Symon.

— Ale one same są rozkoszą, rzekł Jakób.

— Żyd, mój kochany, odparł Symon, nigdy o poezji mówić nie powinien. Naszą sprawą, rachunek... dwa a dwa... pięć, jak mówił E... miał słuszość, gdyby było tylko cztery, oczywiście strata procentu... Ale wracam do ożenienia.

— Lepiej może nie wracajmy do niego, szepnął Jakób.

— Ja cię będę nudził aż się musisz ożenić, rzekł Mann, nie mam już córki na wydaniu, ostatnia zaręczona, ale ci znajdę *fein* dziewczynę i sto tysięcy rubli posagu.

— Pomyśl tylko, dodał Symon, dziewczyna jak sobie chce, ale sto tysięcy rubli, to piechotę nie chodzi! to jeździ kareta... i z liberyą...

— Dziękuję za kareta i za ożenienie, bronił się Jakób.

— Azatém nie masz prawa nazywać się uczciwym żydem, jesteś Meszumat, póki pod Szuppe nie pójdziesz!

Zaczęto się serdecznie śmiać.

— Ale doprawdy, kuzyn ma słuszość, wzię-

szała się Tilda, spoglądając czarnemi oczyma na zmieszanego Jakóba, trzeba pana koniecznie ożenić.

— I pani chcesz więc do tego spisku należeć? spytał smutnie Jakób.

— Tak, bo chcę żebyś pan był spokojny i szczęśliwy....

— Doskonałe lekarstwo! szepnął Symon.

— Pozwólcie mi zostać jak jestem....

— Tak! tak! dajcie mu asaństwo pokój, dokończył Symon, zrobi się to i bez was, niech-no się matki dowiedzą, panny rozpatrzą, dadzą mu one rady bez pomocy niczyjjej.... To nie nasza rzecz, gotów później proces wytoczyć nam, broń Boże jakiego nieszczęścia, o ubytki... lub o przybytki, dodał ciszej.

Jakób był bohaterem dnia, rozpytywano go, badano: mógłby się być domyślać, gdyby w naturze jego było więcej podejrzliwości, że go chciano wybadać i poznać lepiej. To ten, to ów zadawał mu pytania, jakby pragnął wyświecić jego sposób myślenia w różnych przedmiotach.

Mann przy deserze, który był niemniej wspinały od całego obiadu, odezwał się do Jakóba.

— No, cóż teraz myślisz robić?

— Zdaje mi się żem to już mówił, chcę się

poświęcić głębszej nauce naszego prawa i naszej wiary.

— No! no! to choroba młodości i nie starczy na życie... ale to przejdzie. Jakób zamilkł, zaczął mówić o muzyce, ruszono się od stołu, przy czarnej kawie wszyscy, prócz przybyłego, skupili się w kątku, a ojciec Tildy spytał Manna.

— No! cóż o nim myślicie?

— Człowiek niepospolity, mógłby nam być bardzo użytecznym, ale świeka ma we łbie, tę religią... Ja sam, dodał, uznaję że ona potrzebną jest dla gminu, ale oświeceni ludzie krępować się tém nie powinni.

— Tak, po staremu, odparł Symon, masz religią za zupełną rumfordską... karmisz nią ubogich, sam jednak wolisz *turtle*...

— No, tak jest, rzekł Mann, to nie nowina.

— Mnie się zdaje że jemu to bałamuctwo religijne odejdzie, rzekł Henryk, to młodość, poezja i pietyzm razem... trzeba go tylko wprządnąć do pracy, bardzo się przydać może.

— Przyda się niewątpliwie... to jest dobre że choć się żydem głosi, żyda w nim nie znać... gdyby tylko tak często o tém nie wspominał!

— Tego się oduczy!

Podano cygara. przybyli nowi goście poobiedni, Jakób zasłuchał się przy fortepianie Tildy... Szumiało mu w głowie tą długą a dziwną rozmową...

---

Gdy się to działo we wspaniałym domu w Alejach u pana Henryka, o kilkadziesiąt kroków ztamtąd, spisek który odgadnięto przy stole, mówiąc o małżeństwie, spisek na serce i swobodę Jakóba... zawiązywał się potajemnie...

Przedzielony dwoma czy trzema ogrodami tylko od pałacyku Segla, stał bardzo ładniutki domek, cały w bluszczach i winnych latoroślach dzikich, z verandą od przodu, z kolorowymi oknami, z ozdobami wymyślnymi z drzewa i kamienia, które choć już nie pierwszej świeżości i nieco uszkodzone od wilgoci, wszakże go jeszcze dosyć oryginalnie przystrajały.

Dom ten miał właściciela który w nim nigdy nie mieszkał dla tego właśnie, że nadto nań wyłożył; zrujnowawszy się na fantazyje dziecinne, poszedł na suchy chleb pokuty. Jakaś administracya najmowała to cacko pierszemu lepszemu na lato, przez zimę stał niezajęty i nieopalaný. Patrzyło



mu téż z oczów to sieroctwo, ten brak pana któryby go kochał i pieścił, choć niegdyś był kochany i pieszczony. Na ten rok właśnie domek zielony najęła była pani Wtorkowska z córką.

Pani Wtorkowska była wdową po kupcu i spekulancie, któremu interesa poszły jakoś nieszczęśliwie; miał bowiem mnóstwo nałogów nabytych w chwilach szczęśliwych, które go zrujnowały gdy się cokolwiek zachwiał w interesach. Wtorkowski zręczny bardzo i sprytny neofita, dorobił się był z razu fortunki żywo, ale żywiój jeszcze ją stracił. Skąpy był z początku wściekle, potem nagle stał się rozrzutnym, zachorował na państwo, a umarł niemal żebrakiem... Żona, jak powiadano, wiele temu była winną, bo przykryła coś fartuszkiem od wierzycieli i tak ocaliła dla siebie część majątku, a wielu biednych spadło z należnościami. Żyła ona teraz z tych tajemniczych resztek zawsze jeszcze z elegancją, ale już nie pierwszej wody, zawsze w pretensjach do wielkiego świata, z nieustanną francuszczyzną na ustach, nie mogąc się obejść bez kamerdynera, Spa, Ems i Paryża; a troszcząc się bardzo o przyszły los córki, którą wychowywała na istne чудо...

Panna Emma była w istocie zachwycającą, ale

miała już lat dwadzieścia i dwa, wedle rachuby przyjaciół (matka dotąd przyznawała się tylko do dziewiętnastu i pół), a nikt dotąd jeszcze po to cudo sięgnąć się nie ważył... Matkę to codzień bardziej niepokoić zaczynało, była najpewniejszą że się o nią dobijać będą, jeśli nie książęta krwi... to choć krewni książęcy.

Widząc że nawet prości obywatele bez mitr nie zgłaszali się po ten skarb, że dla szlachty perła ta była za wytworną, za kosztowną wymagającą oprawy, pani Wtorkowska (z domu Wejnberg), zbliżać się poczęła do krewnych w Izraelu, niepłonną żywiąc nadzieję, że bogaty jaki panicz jej narodu, przedzój się o drogi klejnot spokusi, choćby dla ozdoby salonu.

Przyjęłaby była jakiego hrabiego z ochotą, ale postrzegła też że hrabiowie w ogóle nie byli posażni, a tyle już ucierpiała walcząc z niedostatkami który potrzeba było pokrywać wystawą, że zaczynała oceniać zalety bogatego bankiera...

Emma godną była najświetniejszego losu, tak utrzymywała matka, tak ona sama przekonana była w duszy.

Naprzód była w istocie piękną jak tylko na obrazach bywają idealne Zuzanny i Rachele, cie-

mna blondynka z oczyma czarnemi, biała jak śnieg, rysy miała marmurowe, wejrzenie pełne niezgłębionych eluzyńskich tajemnic, usta które mówiły co chciały i jak chciały. Sztuka zwodnictwa niewieściego do wyższego stopnia w nikim może posuniętą nie została jak w téj kobiecie, która od dziecka już kokiетką, od pieluch komedyantką była. Matka, osoba pełna przymiotów światowych, znająca wagę tego co człowieka uzewnętrznia, jeśli się tak wyrazić godzi, chowała ją na artystkę; sama nią będąc w najwyższym stopniu... Do złudzenia umiała udawać literatkę, choć prawie nie nie czytała, muzyki lubowniczkę choć na muzyce nie znała się wcale, kobietę większego świata, choć ten świat widywała tylko w negliżu u wód i w kilku salonach podejrzanéj dystynkcyi. Nareszcie wybornie grała rolę bogatéj i elegantki, choć była ubogą i z natury powiedzieliśmy pluchą, gdyby wyraz nie był za brudny. Rachujmy więc że się tego nie powiedziało.

Pod okiem takiéj matki, czułéj o przyszłość, wychowana Emusia, którą potem dla oryginalności nazywano Musią a naostatku Muzą, zaczęła naukę od francuzczyzny, téj mowy elegantkiego świata, od gamm na fortepianie i lekkich solfe-

giów. Moralność wielce uproszczona ograniczała się kilku jasnymi ale gruntownymi przepisami... Z tém nieładnie, to śmieszne... tamto szkodliwe... tego mówić nie potrzeba lub nie wypada. Z postępem czasu wtajemniczyła ją matka w wielką sztukę udawania, zręcznego kłamstwa bez zarumienienia i perfumowanego śmiałego fałszu... Uczennica była nader pojętną... natura pod tym względem uposażyła ją instynktem cudownym... dość było lekkich wskazówek... Jak tylko nauczyła się czytać Muza, czytała co chciała — matka postrzegała tylko jednego... aby książka była po francuzku i dobrym stylem...

Przy obfitych darach Bożych, można miarkować jak się wykształciło śliczne dziewczę. Że ją od lat sześciu zaczęto na virtuoskę hodować, mając dwanaście popisywała się publicznie, w ośmnastym zyskała sławę niezrównanej pianistki, drugiej Clary Wieck... później już nikt nie wątpił że Chopin nie miał ukochańszej nad nią uczennicy, że Liszt gdyby nie księżna i księżowstwo... byłby może się z nią ożenił (dawano do zrozumienia pod osłoną)...

Muza występowała zawsze wytwornie i oryginalnie ubrana dla ściągnięcia oczów — na to matka nie żałowała. Nie wierzyła ona w teorye fatalisty-

czne że panna czekać powinna losu w domu, starała się gdzie mogła Muzę wprowadzać, pokazywać w teatrze, produkować ją na koncertach dla dobroczynnych zakładów, czasem starając się nawet — przez trzecie osoby — o pochlebną, zentuzjazmowaną wzmiankę w Kuryerze. Pilnowała wszelkich możliwych expozycji niewieścich, aby na żadnej córki jój nie brakło.

Muza zwracała oczy, pociągała, rozmarzała, ale najzapaleńsi jój wielbiciele po trzeciój wizycie jakoś stygli... Matka jakeśmy powiedzieli, zaczynała być niespokojną.

Miała wprowadzić parę naiwnych konkurentów (nazwanie to sama im nadała), jednego szalenie zakochanego ośmnastoletniego młodzika, drugiego poddeptanego dobrze marcowego kawalera — obu ubogich... ale nie szło naturalnie o to by tylko po prostu pójść zamąż jakokolwiek, taki fenomen jak Muza, musiała zrobić partytę świetną...

U wód jak na loteryą stawiając córkę, jeszcze żadnego nie była w stanie przywabić nawet z tych książąt i hrabiów z łaski atramentu, którzy swe tytuły wywożą za granicę, a ciężar ich zrzucają w domu.

Muza we cztery oczy odzywała się wzdychając,

że w ostatku... tak ogromnie płacono artystkom, że teatr... Matkę to niepokoiło; być zmuszoną tak spaść... tak spaść żeby pojsć spiewać za pieniądze!! Emma miała głos prześliczny, metodę doskonałą, dramatyczne usposobienia znakomite... ale na samą myśl takiego upadku pani Wtorkowska płakała. A tu — trzeba już wyznać wszystko — fundusze tak były obrachowane że na życie zbytkowno-elegancko-brudne, jakie prowadzono — ledwie do roku dwudziestego trzeciego Muzy... wystarczyć mogły. Matka sobie powiedziała że ją zamąż wydać musi świetnie i przy niej zamieszkać.

Powiedziała sobie że to nastąpić musi, przed fatalnym kresem i zupełną ruiną — a tu nie było nikogo, nikogo!

Muza dawniejszych lat bywała niekiedy i z mamą i z guwernantką w domu ojca Tildy, była niby przyjaciółką, towarzyszką młodości pani Henrykówój; po ogródku tym pamiętnym chadzała nieraz z Jakóbe'm, i Jakób się jój naówczas dosyć podobał, ale *cas redhibitoire*... ubogi. Naówczas lekko sobie z wysokości swego położenia towarzyskiego i nadziei, postępowała z młodym chłopakiem... później — żałowały obie z matką że nie potrafiły przeczuć nic... Jakóba stracono z oczów, ale nie

był dotąd żonaty, pani Wtorkowska dowiadywała się, czatowała, uparcie ją się myśli wyswatania mu córki. Jój zdaniem z trochęą dobrej woli wspomnienia owe młodzieńcze suche i zimne, można było odgrzać i uczynić płomienistą zorzą...

Matka i córka teraz dla siebie już żadnych nie miały tajemnic, były to dwie dobre przyjaciółki, spiskujące wspólnemi siłami.

Tegoż dnia gdy Jakób powróciwszy zaciągnięty został na ów obiad do państwa Henrykowstwa — do domku w alejach wpadła sama pani Wtorkowska, powracająca z miasta, zadyszana i zastała córkę przy oknie na szezłagu czytającą romansidło Féval'a.

Zatrzymawszy się nieco we drzwiach matka *con amore*, patrzyła na swe dziecko.

— Śliczna mi dziś jesteś! zawołała z radością, a! to dobrze! mam ogromne plany na myśli... coś olbrzymiego i co się udać powinno... Teraz zwyciężyć musimy — lub umrzeć.

— A! cóż się stało? zrywając się, rzucając książkę i oczy kierując ku zwierciadłu, zawołała Muza, co się stało?

— Dowiedziałam się w téj chwili, wystaw sobie, że Jakób, wiesz ten twój dobry znajomy...



ten, ten żydziak co to go ojciec Tildy wychował... co mu ten bankier berliński całą fortunę zapisał, powrócił z długiej podróży... do Warszawy... jest tu....

— Jakób! a! wiem! wiem!

— Mam przeczucie, jestem prawie pewna że on dla ciebie przeznaczony.

— Ale moja mamó....

— Przeczucie! rozumiesz? serce matki! żywo poczęła zdyszana, otyła i łatwo się męcząca pani Wtorkowska — ja wiem... ja chcę... *et ce que femme veut...*

— *Le diable le veut aussi!* dodała córka po ciachu uśmiechając się.

— A! to bardzo dowcipnie!... ale użyj tego kiedy w salonie... to zrobi efekt, nie expensuj się dla mnie....

— O! niech mama będzie spokojna... ja jużem to parę razy rzuciła, zawsze z wielkim skutkiem....

Pocałowała ją w czoło matka.

— *Vous êtes sublime d'esprit.*

— Ale słuchajże, dodała, Jakóba potrzeba znać. Trafiło mi się najszcześliwiej, dostałem o nim wie-

ści... musimy postępować ostrożnie, bacznie, z wyrachowaniem... z godnością...

— Niech mama będzie spokojną... ja choć go bardzo dawno nie widziałam... znam go na wyłot... pamiętam doskonale, i mam, nie pochlebając sobie, szepnęła Muza, instynkt wielki.... Nie zagram z fałszywego tonu....

— Czekajże, przerwała matka niespokojna, z nim uchowaj Boże być zanadto *brillante*, za wesołą, za dowcipną, potrzeba powagi, skromności, poezyi... poezyi, ty wiesz... ideału!...

— Wie mama, ja doszłam że on się kochał.

— On, w kim?

— W Tildzie!... albo ona w nim... to wszystko jedno, coś było między nimi.... Nie wiem jeszcze czy to wywietrzało.

— Ale tyle lat! ona bez czasu zwiędła, zbrzydła, zameżna! co to nam ma szkodzić. Owszem to tylko dowód, że się zakochać może, a wiesz, dziś ci obrzydliwi mężczyźni, to wszystko chodzące lody. Żaden się nie zachwyci taką jak ty czarodziejką, te lorety! ten *demie-monde* pochłonał ich.

— Moja mamó, odparła Muza, oni lgną wszyscy, ja to wiem najlepiej, ale sama myśl ożenienia ich odstrasza.... To w duchu wieku....

— O ile wiem od dobrze poinformowanych osób, powtarzam ci, dodała matka, Jakób jest człowiek poważny, uczuciowy, nawet trochę pietysta żydowski... rozumiesz.... Potrzeba dla niego nośić na czole piętno tysiącoletniej tęsknicy wygnania, coś o tém mówić, wzdychać, trzeba być poetyczną, bardzo poetyczną i poważną.

— Ale moja mamó, czyż mnie potrzeba uczyć? z urazą odezwała się Muza.

— Dziecko moje, ja to wiem aż nadto że dla ciebie dosyć skazówki, dosyć jednego rysu — ale serce matki! westchnęła... jestem pełną obawy.... Lepszej partyi dla ciebie znaleźć trudno, nużby się nam wymknął!! potrzeba użyć wszelkich środków, wsunąć się tam gdzie on bywa, niby wypadkiem go spotykać... Musimy go zapraszać... lubi muzykę, to wiem... damy parę wieczorów, zaproszę Kąskiego... przyjdzie Dobrzyński... zrobimy trio... wystąpię z kollacją... ty się mi ubierzesz....

Muza ruszała ramionami.

— Mama niech robi ze swojej strony co należy do mamy... i co uważa za właściwe, a już zresztą proszę się na mnie spuścić.

— Słuchaj, poczęła po cichu zbliżając się do

córki zarumieniona Wtorkowska, nie będę przed tobą taić, czegoś się sama domysleć była zresztą powinna... my jesteśmy prawie zrujnowane, gonimy ostateczkami, gramy o śmierć lub życie. Z tego co wiem, co czuję, pewna jestem, Jakób uczciwy człowiek, sumienny... z nim (ale tylko z nim jednym!) moja Emmo... można dojść nawet... do ostatecznych środków, aby go niejako zmusić i związać.... Jest młody, musi być namiętny... obudzić w nim passyą przyjdzie ci łatwo... ty mnie rozumiesz.... Z nim, powtarzam ci — ale tylko z nim, można pojąć daleko....

— Moja mamó! mama mnie ma za dziecko! odpowiedziała Muza z urazą, czyż ja tego nie rozumiem?

Ruszyła ramionami niecierpliwie. Powiem mamie, to jest heroiczny środek, ale tylko z bardzo uczciwym człowiekiem uciec się do niego można. Myśl mamy jest istotnie genialna....

Matka się zaczerwieniła cała, bo jój samój już tój szkaradnej myśli genialnej, wypowiedzianej przed dziecięciem — wstyd było.

— Emusiu, rzekła smutnie, taką myśl rozpacz tylko poddać mogła.

— Bo mama aż do zbytku się troszczy.... Nie mamyż ostatniego resursu... w teatrze?

— A! nie mów mi o tém! ty w teatrze! na scenie! aktorką!

— Ależ, Malibran, Pasta, Patti, Schröder, Grisi, Sonntag, hrabina!

— Ja tego nie chcę, ja wolę....

— Niech tylko mama będzie spokojną....

— Mam już pierwszy plan, jak wystąpić.... Jakób jest dziś na obiedzie u Henrykowstwa, ty z nią w przyjaźni... to ztąd o trzy kroki... ubierz się, niby nic nie wiedząc, trochę słaba, trochę smutna... pójdz ją odwiedzić... zaraz po obiedzie.... Dla zamaskowania tego kroku idź sama, bezemnie, poufale, weź tylko lokaja za sobą.... Ale trzeba się tak wyrachować abyś przyszła zaraz po obiedzie, bo się oni rozejdą... na deser lub czarną kawę.... Po obiedzie *on est un peu monté*, zrobisz wrażenie, on będzie śmielszy.... Ubrać się jak najskromniej.... Gdy zobaczysz gości... bo tam jest Mann, ojciec Symon, jój ojciec... udawaj że się chcesz cofnąć... naturalnie będą prosić żebyś została... no! a reszta... to twoja rzecz!

Muza zerwała się żywo jak żołnierz ochoczy którego trąba wyzywa do boju, uścisnęła matkę,

która pracą i pospiechem wywołany pot ocierała starannie z błyszczących policzków.

— Na Boga tylko — Emusiu, kochanie — nie bierz już téj *poudre de ris*, to niepotrzebne tobie, a daje się domyślać braku świeżości.... Ty często w niej przesadzasz.... I powiedz mi jeszcze jak się ubierzesz?

— Ale czarno, czarno, skromnie, poetycznie, włosy gładko.... Już mi to proszę zostawić... i książkę jaką wezmę w rękę....

— A! to będzie może jakoś zbyt wymuszone, zużyte....

— Mama słusznie to mówi... wezmę robotę, *c'est plus simple*.

— A! niech Bóg broni! prozaiczne! niemieckie! pończocha!

— O! to nie, pójdę tak sama z sobą! bądź spokojną....

Wyszła Muza, matka padła na kanapę w głębokim zamyśleniu.... Niedopowiedziana myśl owa genialna trapiła ją, gryzła, zdawała się jęć że wygaądała się nadto, wyrzucała to sobie... możnaż było przewidzieć następstwa....

— Ale nie! nie! zawołała uspokajając się, Emma

jest nadto rozumną, ona nie skorzysta z tego nierozważnie....

Przestrach ją jednak ogarniał, zabobonna jak zwykle ci co w nic nie wierzą, zobaczyła w téj chwili pająka i wzdrygnęła się... Ale zegar wskazywał już więcej niż dwunastą....

W pół godziny później pani Wtorkowska z okna swojego dojrzała niesione z kuchni do pałacyku Henryka... wedle wszelkiego prawdopodobieństwa... pieczone... potem poznała lody po wysokiej pyramidalnej ich pokrywie.... Pobieгла do córki.

— Musisz iść!... bo wielki czas... mogą się rozejść... deser... lody ponieśli.... Jakób ma pewnie interesa, pilno mu....

Spojrzała chciwie na córkę.. Muza mogła służyć za wzór dla malarza do *elegii* współczesnej. Wesołe jéj rozbudzone zwykle rysy twarzy jakoś dziwnie stężały; przed zwierciadłem studiując nabrała, wyuczyła się wyrazu jaki mieć chciała.

A była prześliczną... z nieporównaną sztuką umiała pokryć sztukę samą, wydawała się naturalną, była sobą, niktby jéj o odegrywanie roli głęboko obrachowanej nie posądził... była młodą, smętną, ale świeżą... a już rozmarzoną, roztesknio-



na, pociągającą urokiem niezbadanych tajemnic dziewiczego łona...

Dwoma wdziękami najmocniej pociągają kobiety ku sobie, wesołością i dowcipem na którym wiele budować nie można i tajemniczością. Człowiek niczem się tak pochwycić i usidlić nie daje jak urokiem zagadki. Gdy z téj księgi która jest kobieta, ostatnią kartkę przeczyta, musi być arcydziełem chybanowa księga, aby ją znowu od początku chciał studiować. Muza była żywym Sfinksem... a tak cudownie pięknym, tak skończenie doskonałym, tak pewnym arcydzielności swojej, że nawet oko sceptyka wady w niej odkryć nie mogło.

Strój miała prawie zaniedbany, czarną, lekką, skromną sukienkę, bransoletę z korałem i broszę podobną, w ręku zmiętą chusteczkę białą i kwiatek.... Była niezrównanie piękną... matka załamała ręce z podziwu... pod tą formą jeszcze córki nie znała... Ofelia!!

— Nigdy cię jeszcze taką nie widziała! zawołała, byłaś może nieraz świetniej piękną, wspaniałej cudowną... ale taką jak dziś! tak nową! tak inną! A! ty kochany mój kamelconie!

Tyś czarownica!

Dumnie uśmiechnęła się Muza, skłoniła się mat-

ce, nie zmieniając wyrazu twarzy... wyszła spokojna... jak gdyby na przechadzkę nie na tę walkę, nie na ten bój w którym idzie o zdobycie serca ludzkiego.

Serce jój jeszcze nigdy nie kochało; dziwiła się mężczyznom że niezdolni byli nawet do szalonej namiętności, ale i ona również nie rozumiała czém jest miłość, czém namiętność. Żyła głową, w głowie paliło się czasem... ale pożar ten nigdy do piersi nie schodził. Gdy marzyła o miłości zawsze ją sobie wyobrażała w atlasach, brylantach, w salonie pańskim, na dworze królów....

Czy biło jój serce w drodze... wiedziała tylko czarna sukienka, ale na twarzy nie powstała najmniejsza niepokoju oznaka.... Rachunek chronologiczny matki był tak szczęśliwy iż Muza trafiła właśnie na czarną kawę w salonie, a że drzwi wchodowe były naprzeciw fortepianu.... Tilda postrzegła ją gdy się ukazała i chciała niby wycofać; wstała, pobiegła i wejść zmusiła. Jakób stał tuż... Muza udała że go z razu nie poznaje....

— Wszakże to dawny znajomy! odezwała się Tilda, pan Jakób.

— A! doprawdy! jakto? Powrócił?? Ale jakże

się... zmienić... nie byłabym może poznała....  
A! jakże mi miło!

Szło jój nadewszystko o zamaskowanie zupełne pierwszego kroku.... Wypadało okazać się z początku obojętną... odegrała tę rolę dobrze.... Na Jakóbie nie zrobiła najmniejszego wrażenia, stała obok Tildy... a potem... są instynkta serca w człowieku i póki nie rozchodzi się brzydka zwierzęca namiętność, coś go ostrzega o niebezpieczeństwie. Wydawała mu się bardzo piękną, ale jakby nieżywą....

Panowie pijący czarną kawę w salonie, zdala wcale inaczej poglądali na czarodziejkę — tam ona po szampanie i likworze obudzała nadzwyczajne zachwyty i uwielbienia....

— To jest cudownie piękna dziewczyna, rzekł Mann, kasek królewski... co za ramiona! kasek królewski!

Henryk także był zachwycony, ale przy ojcu Tildy, nie śmiał się z tém odzywać.

— Kasek królewski, mówił ojciec Symon, tylko nań złotych zębów potrzeba, inaczej nie ukąsi....

Ojciec Tildy wielki miłośnik płci pięknej cmokał.

— Warta — mówił po cichu — słowo daję... warta... tysiąc dukatów!!

— To mało, rzekł Mann.

— Nie licytujcież jój dopóki przynajmniej zamąż nie pójdzie, przerwał Symon, potem...

— Oj to kute baby, dodał Mann, kute baby... Wtorkowska nie ma złamanego szeląga a żyje, jak... pójdź zobacz... jak mieszka, jak się ubiera, jakie apartamenta... *jak u nas!*

— Żeby ona tylko nie myślała na Jakóba polować! rzekł Symon, coś mi już ta wizyta nawet widzi się podejrzaną...

— Ale mieszkają o trzy kroki! przerwał Henryk.

— Tém bardziej, a szkodaby tym Harpijom Jakóba, dorzucił Symon.

Gdy ci panowie tak szepczą, Muza obojętnie przystąpiła do fortepianu przeglądając nuty z których Tilda grała przed chwilą. Było to coś Schumanna. Zaczepiła z lekka Jakóba aby mu się nie dać zaraz oddalić, jakiś smutek zimny, znużenie wiało od niój; niby chłodno ale ciekawie przypatrywała mu się, niby mimowolnie wlepiła weń oczy dziecinnie, naiwnie szukające... czegoś upragnionego.

Jakób w głębi nie poczuł nawet wzruszenia jakie rodzi wspomnienie lat młodszych.

— Pamiętasz pan nasze z Tildą przechadzki,

spytała po chwili Muza. Czy pan zawsze jesteś tak poważnym jak byłeś w młodości?

— Zawsze tak nudny jak byłem, rzekł Jakób, z tą różnicą może iż z wiekiem przymiot ten jeszcze wzrósł we mnie....

Tilda słuchając rozmowy, sama nie wiedziała czemu serce jój biło gwałtownie. Zdala patrząc ojciec Symon kręcił głową, miał przyjacielskie dla Jakóba serce, odwiedziny te go niepokoiły. Począł przechadzać się, lawirować, stanął przy fortepianie; kobieta instynktem poczuła w nim nieprzyjaciela, dywersyą jakąś zrobiło to, że ją zaraz gwałtownie napadnięto aby grała.

— A! ja tak lubię muzykę, że mnie nie potrzeba prosić! zawołała rozrachowując że dać się długo błagać byłoby zbyt pospolitém. Usiadła do fortepianu.

— A! to mój ukochany Schumann!

I poczęła jedną z tych dziwnych fantazyi marzyciela, z których nut jak krwi strugi boleść płynie... i tryska....

Grała cudownie, z wyrazem wielkim, komedya w niej obejmowała nawet muzykę, umiała odegrać czucie wybornie, choć go w sobie nie miała.

Oklaskami żywemi okryto wirtuozkę a Tilda

która sama grała doskonale, znalazłszy w pojęciu znanego utworu, myśli nowe, nie mogła się nią nacieszyć.

Jakób chwalił, ale był zimnym.

Ojciec Symon ująwszy go za rękę powoli odprowadził na bok.

— Znasz Muzę?

— Widywałem ją dawniej.

— A znasz matkę Muzy?

— Bardzo mało.

— Więc trzeba żebyś wiedział na wszelki wypadek że to jest najniebezpieczniejsza z kobiet.... Córnica wychowana na dziedziczkę milionów, bez grosza, poluje na bardzo bogatego męża.... Strzeż się... mam jakieś przeczucie że one cię tu poczują i rozstawiają sieci.

Ścisnął go za rękę; Jakób się rozśmiał.

— Wczoraj dopiero przyjechałem.

— Matki tego rodzaju, są to republikanie *de la veille*, one czują przybycie młodych ludzi wprzód jeszcze nim przyjechali.... Powiadam ci, strzeż się, jest cudownie piękną i wystylizowaną doskonale....

— Ja nie lubię kobiet zbyt pięknych....

— Umie ona i potrafi być taką jaką zechcesz... a odgadnie nawet myśl twoją....

W téj chwili siedząca przy fortepianie z gospodynią domu Muza spojrzała tylko i odgadła co Symon mówił... zdało jój się że słyszy rady Mentora, nie mogła dopuścić aby ją z uroku odzierał i zawołała sama ojca Symona.

— A! mam do pana prośbę, rzekła żywo, jak to dobrze żeśmy się spotkali...

— Do mnie? spytał zdziwiony stary.

— Ale tak... prośbę bardzo nieśmiałą, rzekła Muza, moja mama tak jest rozkochana w panu i w jego niezrównanym dowcipie, tak stęsknioną za nim... a pan nigdy nie raczysz nas odwiedzić nawet...

Sądziła trochę za gorąco że go weźmie na to grube kadzidło, ale ojciec Symon się skłonił, uśmiechnął, coś pomruczał i odszedł żywo.

— Palnęła mi w nos trybularzem, rzekł do Jakóba, ręczę że na twój rachunek, czuła żem o niej mówił. Azatém, dodam ci tylko jedno, kochany Jakóbie... to Syrena, uszy pozatykaj bawełną, oczy zamknij i — w nogi... to jedyny sposób.

— Nie ma dla mnie Syren i czarownic! rzekł Jakób wzdychając.

Symon popatrzał nań długo i znowu ścisnął mu dłoń milczący.



— A! rzekł, to trwał

I odszedł.

Nie wypadło Jakóba wabić jęj samęj, więc zrzęcznie Muza nastawiła na to Tildę, udając ciekawą. Jakób przyszedł posłuszny, sparł się na fortepianie, rozmowa poczęła się żywa, ale niestety ta marmurowa lalka gasła przy bladej, smutnej ukochanej twarzyczce, biednej męczennicy. Muza czuła że nie czyni wrażenia, nie chciała się wyczerpywać na próżno, wstała by odejść, odchodząc tylko odezwała się z prośbą aby Jakób kiedy je odwiedził. Uczyniła to obojętnie, zimno, wskazując mu bliski dom w którym mieszkały.

— Nadaremnie ty mi się srożysz! rzekła w duchu, wezmę cię ja, zimny człowiecze! i musisz być moim... a o tę chwilę upokorzenia porachujemy się później.

Skromnie, cicho, bojaźliwie się prawie wysunęła. Tilda przeprowadziła ją i wróciwszy poczęła głosić jęj pochwały, ale te echa nie znalazły.

— A pan, spytała Jakóba, jak ją znajdujesz?

— Cudownie piękną, rzekł Jakób, ale niesłychanie odstręczającą i niemiłą.

Wszyscy zakrzyknęli.

— Nie znam kobiety, któraby na mnie robiła

wrażenie sztuczniejszej istoty, a kobieta, dodał, jako ideał musi być samą prawdą i szczerością.

Symon przyklasnął.

— To ślicznieś rzekł, ale mało ci się kobiet podoba.

Tilda zamyśliła się.

Gdy w salonie tak rozmawiają, mąż jój, pan Henryk jako gospodarz kilka kroków dalej jeszcze odprowadził Muzę; z oczów jego rozpłomienionych znać było że mu się ta perła lepiej jeszcze podobała niż Signora Gigante. Ale Muza potrzebowała gwałtownie iść za mąż i choć jój się też pan Henryk bardzo podobał, choć sympatyzowały z sobą dwa duchy, dwie dusze dla siebie stworzone, nie mogła się kompromitować z człowiekiem żonatym. Henryk pożegnał ją u furtki takiem wejrzeniem znaczącem, że prawie jój ono za obojętność Jakóba zapłaciło.

Matka oczekiwała na nią w progu, ale po twarzyczce zamyślonój, poważnój, odgadła niepowodzenie.

— No cóż? spytała, zastałaś go?

— Zastałam.

— I jakże?

— Ale, moja mamo, preludja zawsze, jak sa-

ma mama mówi, są nudne. Odegrałam mu Schumanna fantazyą prześlicznie, byłam natchnioną, starałam się być ponętą i obojętną razem, zaczęłam wzrokiem badawczym, ni nadto chłodno, ni nazbyt gorąco, z wyrachowaniem największém starałam się go osnuć... usidlić...

— Ale jakże ci się zdaje, będzie to skuteczném?

— Wie mama co, otóż mi się zdaje że z tego nic nie będzie.... Tam u niego w sercu już coś jest... ja to czuję....

— Ależ... ty mała moja czarodziejko, czyżbyś nie potrafiła wyrugować z tego serca... to co je zajęło...?

— Sprobujemy, mówiła Muza rzucając kapelusik na kanapę i przypatrując się sobie w zwierciadle.... Tego człowieka żadnym wdziękiem nikt nie weźmie, tylko sercem... a serce odegrywać!... o! to najtrudniéj....

Westchnęła powtarzając.

— Sprobujemy!

— To tylko źle, łamiąc ręce dodała matka, że ty, ty od razu zdajesz się wątpić.

— O! jeśli zechcę, potrafię go pochwycić... ale będę się musiała skompromitować. Nie w ten

sposób jak mama z rana mówiła — dodała chłodno — ale w oczach ludzi, afiszując się.

— Toby go może związało....

— Ale nie... nie... Zresztą, moja mamó, to tak jak hrabia Alfred powiada o polowaniu; nigdy z góry planów osnuwać nie potrzeba, wśród samej walki plan się rozwinie... zobaczemy... Powiem też mamci, dla rozrywki co innego.... Henryk jest we mnie zakochany... szaleje....

— Jaki Henryk?

— Przecież... sąsiad nasz... Segel....

— On! Cóż to znowu! śmiały!

— Mówię mamie! postrzegam to oddawna... jest aż śmieszny... bo co on sobie myśli? Teraz odprowadzając mnie do furtki tak ścisnął rękę moją, tak się patrzył... tak wzdychał....

— Do czegoż się to zdało! żonaty!

— Tak! żonaty... ale Tilda... Tilda bardzo kaszle.... Mówią że z piersiami jój źle, wcale źle.... Nie ma jeszcze lat 25... w tym wieku, suchoty.... Broń Boże nieszczęścia....

— W istocie, cichuteńko szepnęła matka, ty jesteś genialna i przewidująca!!... Jeśli go można trzymać w odwodzie... zapewne.... Wolałabym wszakże Jakóba.... Tacy ludzie jak Henryk nie

kochają się... to co innego jest... Wiesz że on co rek prawie ma inną kochankę w teatrze.

— A! moja mamol to są zwykłe fantazyje męskie, odpowiedziała panna spokojnie.

— Lepiej się trzymaj Jakóba... to coś okropnego być zmuszoną na grób rachować....

— Zrobię co tylko będzie w mej mocy, odpowiedziała Muza, mnie tak żal by było Tildy! Ale jój z oczów śmierć patrzy....

— Cichoż, przerwała matka, myśl lepiej o Jakóbie.

— Zrobię co tylko będzie możebne, ale doprawdy, za skutek ręczyć nie mogę.

— Emusiu, bylebyś ty chciała, to ja ręczę.

— Zobaczemy! szepnęła córka rzucając się na sofę zamyślona, co do mnie wolałabym Henryka..

Matka w milczeniu ruszyła ramionami.

---

Jeszcze tegoż samego wieczora, Jakób w interesie przyjaciela Iwasia, musiał pójść wyszukać kogoś z jego towarzyszków dawnych uniwersyteckich, człowieka który przeważną grał rolę pomiędzy rówieśnikami swymi, chociaż na oko bardzo podrzędne zajmował stanowisko. Zyskał on był sobie wziętość i uznanie niepospolitemi darami umysłu i szlachetnym charakterem. Niesłychanie czynny, energiczny, a nadewszystko umiejący objąć i wypowiedzieć każdą stronę téj sprawy narodowej, która wówczas najgoręcej obchodziła wszystkich, był on jeśli nie wybranym wodzem stronnictwa jednego, to czynnym we wszystkich działaczem, i każde z nich niemal na niego rachowało. Stanowczo wszakże nikt oznaczyć nie umiał czy Kruder (było to jego nazwisko), należał do rewolucjonistów gorących, do legalistów i konserwatystów, czy był biały czy czerwony, za ruchem czy przeciwko ruchowi.

Z ludźmi zapaleńszymi mówiąc dorównywał im

prawie zapałem, z chłodnymi będąc, prawie się zdawał jak oni chłodnym, rozsądnych prześcigał rozsądkiem; zarówno niemal zaspokoić i pozyskać umiając każdego, choć po ścisłym obrachunku nikt z pewnością powiedzieć nie mógł, czy go z sobą pociągnie, czy przeciw sobie mieć będzie.

— A jednak był to znakomity ze wszech względów człowiek, łatwo umiający się do ludzi i pojęć różnych zastosować; pełen talentów, ożywiony, czynny, niezmiernie dowcipny. Zdaje się że myślał jego tajemną było utrzymać się w pośrodku aby doczekać chwili w którejby nie zmarnowała się praca jego, nie zużył nadaremnie talent; w duszy ambitny ale uczciwy oszczędzał siebie do czasu, badał ludzi, chcąc całą swą siłę na wielkie stanowcze wystąpienie zachować. Tymczasem trzymał się na przesmyku robót politycznych z nabitą bronią i czekał.

Nie bardzo widocznym będąc dla niewtajemniczonych w roboty, u ludzi ruchu i u tych co ruch zatamować pragnęli równie posiadał zaufanie, jedne obudzał nadzieje, oba stronnictwa równie go ciągnęły, w obu obozach miał przyjaciół wielu — ale dotąd nie przechylił się widocznie na żadną stronę.

Tak zwani czerwoni mieli mu za złe jego wahanie się, ale przecież dłoń skwapliwie mu poda-



wali, na rozsądniejszą młodzież wpływ miał wielki. Rozległe stosunki dawały mu możność wiedzenia dokładnego o wszystkiém co się działo wkoło, często działania samemu to w jednym to w drugim kierunku, ale z nadzwyczajną ostrożnością, aby się żadnym krokiem nie związać.

W chwili gdy do niego Jakób przybył, Kruder zajmował jeszcze mniej oznaczone niż później stanowisko, skupiał około siebie młodzież, wpływ swój na nią starał się wzmocnić; hamował nieco zapędy, ale nie wyrażał się nigdy jasno i stanowczo, co w przyszłości uważał za konieczne i zbawienne.

Kruder mieszkał w zakątku, zapewne dla nieściągnięcia na siebie oczów i podejrzeń — do dziesiątej rano ledwie bywał w domu, przez resztę dnia już go nikt nie zastał, wychodził do bióra, potem do późna był w mieście. Gdy się z kim widzieć potrzebował naznaczał mu schadzkę w cukierni, kawiarni lub najczęściej w cudzym domu.

Jakób też musiał go szukać u jednego ze swych współwyznawców, młodego izraelity Bartolda, zwanego poufale Małym. Bartold był właścicielem handlu żelaznego i fabryki, miał dom otwarty i nikogo nie dziwiło że u siebie wiele osób w różnych dnia godzinach musiał przyjmować.

Znakomicie wykształcony lecz niezeepsuty, młody Bartold należał do dawnych i najmilszych Jabóbowi przyjaciół. Mało różniły się ich usposobienia, charaktery i przekonania, tém głównie iż Bartold był chłodniejszy, nie miał wcale religijnych skrupułów i wiarę swą utraciwszy, zachował z niej jednak moralność rozumowaną, popartą wrodzoną mu szlachetnością charakteru. Nieco starszy od Jakóba, doświadczeńszy od niego, jak on nie przestał być jawnie żydem, chlubił się swém pochodzeniem i mawiał:

— Jeśli arystokracji europejskiej wolno się wywodzić od krucyat i chlubić kilkuset latami starożytnego rodu... pozwólcie że i ja téż pochwalę się mogę kilku tysiącami lat przodków moich, pochodzę bowiem z pokolenia Levi... a to mi stanie za herb i pargaminy średniowieczne. Moi przodkowie stali u arki przymierza w świątyni Salomona, *excusez du peu*... I ja jestem arystokratą.

Miał w tém najzupełniejszą słuszność. Bartold zmuszony będąc, teraz szczególnie, gdy ruch umysłów i stan kraju wszystkich do czynności jakiejś pędziły — przyjmować osób mnóstwo; miał na to wyznaczonych parę pokoiów na dole w domu swoim, którego górne piętro zajmowała żona jego i dzieci.

Ofiarowywał też często to neutralne miejsce dla narad swoim znajomym, zmuszonym szukać gdzieś bezpiecznego kąta; sam zaś gorący w nich brał udział, bo w duszy czuł się Polakiem i obywatelem kraju, równo jak się czuł Izraelitą. On i jego młoda żona, nie czyniąc popisów z patryotyzmu, mieli go w sercu istotnie, nie chlubili się nim, ale się go nie zapierali.

Bartold był mężczyzną około lat trzydziestu, zdrów, czerstwy, barczysty, z oczów mu bił jasny rozsądek, z czoła uczciwy spokój człowieka, który idzie drogą prawą i czuje że spełnia obowiązki. Wesół, swobodny, Bartold bywał czasem aż do zbytku żartobliwy, ale to udane szyderstwo kryło w nim duszę czułą i wrażliwą, która się tylko nazbyt ze swą słabością wydawać nie chciała...

Na widok Jakóba, o którego powrocie jeszcze nie wiedział, Bartold z okrzykiem wybiegł ku niemu.

— Nigdy, zawołał ściskając go, bardziej nam w porę przybyć nie mogłeś... bądźże pozdrowiony! Jak się masz? Spojrz na mnie całemi oczyma... niech się w ciebie wpatrzę, czy dosyć silny nam przyjeżdżasz... do roboty.

Oprocz Bartolda i Krüdera, był jeszcze jeden młody człowiek, do najgorętszych należący, wszy-

scy Jakóbowi znani po troszę i witający go z radością.

— Zkądże? zapytał gospodarz.

— Z Jerozolimy... przez Włochy!!

— Nie pytam co słyhać w Jeruzalem, ale cóż Włochy?

— Włochy wychodzą na coraz porządniejsze państwo... strzelają powoli do garyhaldczyków....

— A! co pleciesz!

— Przekonacie się sami.

— Nie uwierzę by nie mając jeszcze Wenecyi wyjść już mogły na zachowawcze, rzekł Kruder, później nie mówię, hardzo być może.

— I bez Wenecyi już konserwatyzm przemaga, tymczasowo Neapol, Romania, Umbrya. Toskania zaspokoily głód....

— Myślicie że się tam nic nie ruszy? zapytał uśmiechając się zapalony chłopak.

— Jestem tego pewny....

Młodzieniec szydersko śmiał się i ruszał ramionami.

— A Garibaldi? zapytał.

— Powoli wychodzi téż na porządnego gospodarza, zaokrągla się na Caprerze, kupuje grunta,

sieje coraz więcej pszenicy, poczciwy stary... i widocznie sięga po emeryturę, która mu się należy.

Wszyscy zamilkli.

— Widzę żeś i ty powrócił konserwatystą, przerwał Bartold, gdy my tu właśnie diable zaczynamy być rewolucyjni. ...

— Dla kuracyi wysłałbym was na wędrowkę po Europie.

— Ale, dodał widząc że Kruder bierze za kapelusz, ja do pana przychodzę, za wami gonię. ...

— A! za mną? spytał wpatrując się w niego pierwszy.

— Tak jest, mamy kilka słów do pomówienia.

— Jeśli to nie rzecz osobista, mów otwarcie i głośno, jesteśmy między swymi, rzekł Kruder.

— Więc dobrze, znacie Iwasia? ...

— Iwasia! doskonale, niegdyś to mój towarzysz uniwersytecki z Kijowa, dobrzem go znał... ale uszedł zagranicę... Cóż się z nim stało? gdzieście się z nim spotkali?

— Wypadkiem, we Włoszech na drodze. Biedne poczciwe chłopię rady sobie dać nie mogło, tułał się, szukał chleba, znalazł gorzej niż głód, bo tę zimną obojętność którą zarażona jest cała Europa, zwątpił, upadł na duchu... Poznałem go

bliżej w drodze... byliśmy długo razem. Zapalony i zrozpaczony Iwaś zateęsknił gwałtownie za krajem, i koniecznie zapragnął doń powrócić. Napróżnom się starał go niebezpieczeństwem odstraszyć, niepodobno było myśl tę wybić mu z głowy....

— Cóż zrobił?

— A! zrobił co chciał, uparł się i powrócił.

— Dokąd? gdzie jest? zapytał przestraszony Kruder.

— Przedemną jeszcze przebył granicę za fałszywym podobno pasportem, ale też w ślad za nim wysłano wiadomość o nim i jego pasporcie... szczęściem że nie pochwycono go... czasowo potrafiłem ukryć na wsi, o ile sędzę, bezpiecznie. Ale Iwaś z równą gwałtownością jak się napierał do kraju, wyrywa się do Warszawy.... Jak sądzicie, czy nie ma dlań niebezpieczeństwa?

Kruder się zamyslił długo.

— Wątpię żeby go po kilku latach niebytności poznać miano, rzekł powoli, niewielu też osobom był bliżej znanym... w Warszawie łatwoby go teraz, mimo czujności policyi, ukryć było można. Ale należałoby żeby wziął jakikolwiek pasport od wójta gminy, i żeby się trochę zmienił na twarzy.

— Mógłby nam tu teraz być bardzo użytecznym, wtrącił młody człowiek, niech przybywa, my go weźmiemy i ukryjem. Ja już słyszałem o nim... Młot mi powiadał... On jest z zabranego kraju i tam go zapewne wysłać wypadnie. Bardzo nam to na rękę... dawajcie go...

— Z jakimiż usposobieniami przybywa, spytał Kruder, bo my tu, jak pan widzisz ze słów Bartolda i jakieś się sam mógł przekonać, ogniem tchniemy....

— No, i jemu téż na ogniu nie zbywa, odparł Jakób, ale to zły ogień mojemu zdaniem, to płomień rozpaczy... to prąd co pcha do nierozważnego czynu....

— Tak! podchwycił blady młody człowiek, tak! a panowie byście wszystko chcieli oprzeć na rachubie, na rozwadze, my na szaleństwie! Heroizm nie jest czém inném jak szalem i szalem tylko można zwyciężyć.

— Nie jestem ja tak bezwzględnie obrońcą chłodnego rozumu, powoli odparł Jakób, przynajmniej nie tak jakbyś pan mógł sądzić ze słów moich. Rozum tak dobrze myli jak szal zawodzi... ale ani jednym rozumem, ani ostatecznym szalem w rzeczach obchodzących losy kraju powodować się nie



godzi. Chyba kto idzie za samym rozumem i kto na sam szal się spuszcza.

— A więc coś pośredniego, jakieś *mixtum* szalu i rozumu!! rozśmiał się szydersko młody człowiek.

— Zgadłeś pan, odpowiedział Jakób, tą mięszaniną jest właśnie natchnienie... instynkt narodowy....

— Wybornie, ależ instynkt narodu chce rewolucyi i czuje w niej zbawienie.

— Mylisz się pan, o ile ja o kraju z tego co widzę i słyszę sądzić mogę, przerwał Jakób, jest agitacya rewolucyjna, ale w głębi ducha jest przecucie rozpaczliwości tego kroku i klęsk jakie spowodzi.

— A! tak pan sądzi!! uśmiechnął się młody człowiek, no — to żegnam pana!

Wymówił te wyrazy zapalczywie, groźnie, Jakób go za rękę pochwycił.

— Wilku, zawołał Kruder, nie odchódź w gniewie... stój! zaklinam!

— Przepraszam pana, dodał poważnie Jakób, dwa słowa jeszcze. Ja tak sądzę jakem powiedział — ale muszę dorzucić, że gdy naród cały wstanie do śmiertelnej walki... ja z nim pójdę na bój

i śmierć... Na to, daję panu słowo uczciwego człowieka.

Wilk popatrzał mu w oczy gorąco.

— No, to nie żegnam pana, rzekł rzucając czapkę, mówmy.

— Mówmy otwarcie.

— Siadajcie, zawołał gospodarz, dadzą herbatę, i ty Kruder nie masz się czego spieszyć.

— Ale mam być jeszcze w dziesięciu miejscach.

— No, to natomiast będziesz w pięciu tylko.

Kruder liczył coś na zegarku.

— Otóż masz... posiedzenie u hrabiego! Sesja Towarzystwa, konferencja u pana Tomasza w sprawie uniwersytetu, pomocy naukowej, wydawnictwa ksiąg ludu.

— Jesteś prawda uniwersalnym człowiekiem, rzekł Bartold, ale gdybym był tobą połowę bym tych narad z karku zrzucił. To są czece gadaniny, popisy retoryczne, walki miłości własnych lub niezręcznie stawiane wezykatorye na odciągnięcie zapalenia patryotycznego. Ty chcesz wszystkim kierować, a koniec końcem, ani się opatrzysz jak z ciebie robią narzędzie, które się powoli stępi.

Kruder kiwnął głową jakby mówił:

— Jeszcze nie! Ale poczuł że była w tych wyrazach prawda. Po chwilce rozmowy obojętnej, on i Wilk wyszli razem, wprzódę się jednak umówiwszy gdzie Iwaś miał znaleźć schronienie w Warszawie, do kogo miał się udać przybywszy. Wilk ofiarował się to wszystko urządzić i ręczył za to że nikt Iwasia nie zaczepi.

Kruder z Wilkiem poszli razem i nie tracąc czasu, wzajemnie się usiłowali nawrócić, o ile się to im powiodło nie wiem, to pewna że w końcu Kruder na zasadę rewolucyi się zgodził, ale możliwość jój zostawiał do chłodniejszego sądu i na odległe terminy.

Bartold i Jakób po ich odejściu zostawszy sami, uścisnęli się naprzód serdecznie. Nie mieli dla siebie tajemnic i byli z sobą jak rodzeni bracia. Jakób znowu, po raz już nie wiem który, usłyszał zadane sobie pytanie.

— Z czém powracasz? I znowu odpowiedział na nie z głębi serca snując marzenia o odrodzeniu religijném.

Bartold słuchał go z zajęciem, ze współczuciem, ale smutnie.

— Żal mi cię, rzekł, gdy skończył — wiek głębokich przekonań religijnych minął, epoka nasza

jest przeważnie racjonalną, zewsząd walą się te kryształowe gmachy średniowiecznej budowy, w których skrzydlate mieszkaly Cheruby, nawracać dziś na jakąkolwiek wiarę jest szaleństwem. wywracać tylko można. Na budowanie czas jeszcze nie przyszedł, trzeba podobno żeby się wszystko wprzód obaliło, żeby nowi barbarzyńcy zalali Europę, zgasili światło, przemienili kościoły w bałwochwalnie i popiołem posiali pola wycieńczone.

— Ja też nowego gmachu wznosić nie myślę, rzekł Jakób — a gdy mówię w imię prawa Mojżeszowego odzywam się w myśl i duchu wieku. Dla mnie są dwie rzeczy oddzielne, duch *prawa* Mojżeszowego i tradycje narodowe izraelskie, pierwsze uważam za rzecz przepotęzną, nieobaloną, bo i chrześcijaństwo zasad tych nie naruszyło choć je rozszerzyło — drugie za rzecz serca, miłości, obowiązku pobożnego dla pamięci, bądź co bądź, wielkiego narodu.

Posłuchaj mnie. Rozwagałeś kiedy głębiej to *prawo* Mojżeszowe, te księgi zakonu?

Co króluje w nich? oto idea *prawa*. Sam Bóg Izraela był uosobionem, prawem niezmiennem. Godzę się zupełnie z tymi co widzą w pierwiastko-

wój doktrynie Mojżesza główną ideę prawa niezłomnego tylko, nadanego światu i człowiekowi.

Nieprzeblągane jest to jego prawo; sam Bóg raz je nadawszy, zmienić go już nie może. W tej nauce nie ma cudów, nie ma łaski, nie ma miłosierdzia a pokuta jest w samym już grzechu i od niej nic uwolnić nie może. Każdy czyn przez naturę swoją prowadzi za sobą karę lub nagrodę, w nim samym jest nasienie przyszłych jego skutków dla duszy gdy z niej wychodzi, dla ciała gdy ono w nim uczestniczy.

Oto najprostsza treść księgi prawa pierwotnego. W niem żyje tysiącami lat wyprzedzające filozofią prawa późniejszą, nowe teorye — pojęcie istnienia bezwzględnego *prawa*. Człowiek prawo odkrywa ale nie tworzy. Jako Jehowah jest tym który jest, nie mogącym się zmienić nigdy, tak prawo jego jest nienaruszone. Otóż cała nasza wiara wedle ksiąg Mojżeszowych. Zdaje mi się że nic innego nie podaje nam i dzisiejsza filozofia. Wszystko co dogmat jednobóstwa przyodziewa, aby go uchować, Mojżesz; w co uzbraja swój naród, aby dając mu posłannictwo wielkie głoszenia jednego Boga i jednego prawa, nie dał mu się mieszać z poganami i zatracić wiary; wszystko co ma Izraela oddziela-

jąc czystym uchować, zapobiedz jego mieszaniu się z pogany — stanowi okładzinę téj wiary naszej, szatę zewnętrzną, która dziś gdy nasza wiara i posłannictwo stały się niemal całego świata własnością, może być już mniejszej wagi. Ale dla nas jest to droga spuścizna, jest to pamiątka z lat tysięcy. Jakże nie spełnić obrzędu który nas z przojcami łączy i do nich przybliża, przypomina ojczyznę i czasy szczęśliwsze? Cóż że się komu wyda śmiesznością i zabobonem praktyka moja, gdy ona mi z oczów łzy wyciska?

Patrzę z pobłażaniem na tych co się uwalniają od ciężkich często wiary obowiązków, ale ze smutkiem razem. Tracąc cechy narodowości naszej zlewamy się dobrowolnie z tą masą kosmopolityczną, bez przekonań, wiary, charakteru, ojczyzny; dla której *ubi bene, ibi patria*, dla której grosz jest Bogiem, interes bodźcem, cnota rachubą, a występki głupotą.

Wierz mi, dodał z zapalem Jakób, pozostanmy sobą; oczyścmy tę wiarę naszą z tego co w niej wieki niewiadomości i ciemnoty napruszyły, ale zachowajmy jęj treść, wynieśmy z ruin arkę przymierza. Jesteśmy pierwszym narodem co uczuł Boga jedynego; mamy się czem pochlubić; w dziejach

ludzkości starczy to jedno byśmy w nich przeważne zajęli stanowisko. Czemże są inne zdobycze narodów przy téj naszej? Kto nam zrówna?

Mówił a nie postrzegł Jakób że prawie od chwili gdy poczynął, z cicha się zbliżył ode drzwi wewnętrznych mężczyzna stary, siwy, w dawnym ubiorze żydowskim. Suchy, schylony, blade był i wyżółkły. Miał na sobie czarny żupan obcisły lamowany axamitem i na aftki spięty, pas na biodrach czarny i aksamitną czapeczkę na głowie. Twarz mimo późnej starości wyrażała umysł żywy i nie uśpiony.

Był to ojciec Bartolda, stary Aron, który się nigdy prawie nie ukazywał u syna, a bawił lat kilkanaście czytaniem talmudu. Tym razem wszedł do syna korzystając z chwili w której, zdawało mu się że Bartold sam być musiał, a wypadek, traf uczynił go mimowolnym słuchaczem natchnionego Jakóba.

Ostatnich słów domawiał on, gdy Aron który pierwszy raz widział go w życiu, z lekka uderzył po ramieniu:

— Nie wiem ktoś ty jest, rzekł, ale mówię do ciebie jako do syna Izraela, niech błogosławieństwo patryarchów będzie z tobą. Lepsze jest to coś



ty mówił, niż to co oni dzisiaj mówią, ale i to coś rzekł nie jest dobre. Chcecie odrzucić z prawa choćby jedną pruszynekę? ażali wiecie co jest ziarnem, a co plewą i co prochem? ażali wiecie czy ten proch nie jest ojców waszych popiołem? Kto z was przeniknął znaczenie obrzędów i może osądzić że w tój łupinie owocu nie ma? A rzuciwszy skarb o ziemię jak powrócić do miejsca, kędy go wielbłądowie nogami stratowali i w błoto wmięśli?

Jakób milczał zdziwiony trochę tём zjawiskiem niezwyčajném, tём bardziej że starzec wyrażał się nie łamanym językiem ale czystą trochę staroświecką polszczyzną, co w ludziach jego wieku i przekonani było rzeczą nadzwyczaj rzadką.

— To mój ojciec, rzekł z cicha Bartold.

Stary nie spytał nawet o imie nieznajomego, ani go obchodziło z kim mówił.

— Błędzisz, dodał, ale błąd twój popełniony w dobrej wierze, przebaczonem ci być może. Co ty chcesz odrzucać? Talmud? a czytałeś ty talmud cały i myślałeś ty w ciszy nocy długo, nad tą księgą figur i tajemnic?

— Nie będę się z wami o nie spierał, zawołał Jakób, jedno mi tylko pozwolicie sobie powiedzieć. Talmud, może w celu aby naród izraelski od

pogaństwa uchować, jest nietolerującym... a w dzisiejszym wieku nietolerancja...

— Któż ci to powiedział? spytał stary uśmiechając się — ci w nim znajdują nietolerancję, którzy jej tam sercem nietolerującym szukają. Słuchajże co powiedziano w księdze Nabboth:

„Sprawiedliwość nie jest dziedzictwem wyłącznym niczyjem, nie należy ona do żadnego rodu. Tylko duchowni kapłanami być mogą, tylko lewici są lewitami — ktoby kapłanem lub lewitą chciał zostać (nie pochodząc z ich rodu) — nie może tego dokażać, ale wszyscy co chcą sprawiedliwymi być mogą — nawet *poganie*.“

Takich miejsc, dodał, znajdziesz w Talmudzie bardzo wiele.

Patrz co stoi w Talmud Sanhedrin (105. a.) jaką odpowiedź dał Rabbi Josua tym co psalm dziewiąty wykładali fałszywie, gdzie napisano:

„Niech się grzesznicy obróć do piekła, wszyscy narodowie którzy zapominają Boga.“

Josua powiada: „Źle tłumaczycie mówiąc że wszyscy narodowie obróceni będą do piekła, ale ci tylko co zapominają Boga; ci którzy Boga znają a prawo jego szanują, choćby poganami byli, część należną nagrody otrzymają.“

Stary byłby mówił jeszcze, gdyby szmer u drzwi go nie powstrzymał, nie lubił on narzucić się synowi ze swą żydowską postacią, zwłaszcza gdy do niego obcy przychodzili; obejrzał się niespokojny. Szczęściem był to dobrze mu znany Mann, który przez jakąś osobliwszą łaską czy dla interesu, wpadł niespodzianie do Bartolda.

— No! patrzcie! rzekł naprzód witając starego, już Jakób tu jest. A! zwąchał swój swego! Zeszli się Talmudyści.

— A tyś to nie Talmudysta! przewrotniku! rzekł stary uśmiechając się, nie chodzisz to do szkoły? nie odprawiasz Szabbasu? he?

— No, no! jednakże nie tak zapalczywy jak wy oba.

— Tak, tak i dla pięknych Madyanitek coś jesteś gotów z prawa ustąpić, dodał staruszek śmiejąc się. No — ale dość, jam tu już wam niepożrebny, chowam się do mojej nory, rzekł zwracając się do Jakóba.

— Jak kiedy zechcesz odwiedź mnie...

Jakób się skłonił z poszanowaniem. Bartold ojca przeprowadził do drzwi i zjawisko to znikło.

Istotnie mogło się ono nazwać zjawiskiem, bo mało kto wiedział o starym Aronie, a mniej go

jeszcze kto widywał, siedział zamknięty w swój izdebce na czytaniu, a księgi, nietylko hebrajskie, były jego jedynem zajęciem. Poważano go też dla nauki, która miała to w sobie szczególnego iż była łagodną i pobłażającą, co się rzadko religijnym a podeszłym w wieku ludziom zdarza. Aron sam przywiązany do prawa ściśle, nawet do drobnostek, nadto napatrzył się świata, by po drugich wymagać ściślej jego obserwancyi.

Mann padł na kanapę, zapalił cygaro, założył nogę pod siebie, rozrzucił się wygodnie tak że zajął całe siedzenie, zapewne aby się kto przy nim usiąść nie ważył, i rzekł do Bartolda:

— No — cóż? ty spiskujesz?

— Ja? spytał gospodarz, dla czego?

— O! o! u ciebie się tu schodzą...

— Mam tylu znajomych.

— No — nie bałamuć — co słyhać?

— Gorąco, rzekł Bartold, nic więcéj.

— A z tego upału będzie burza czy nie? jak ci się zda?

— Sądziłbym że to się może tak rozejdzie.

— A ja — nie, odparł Mann, rząd od początku baczna na to zwraca uwagę, sprzykrzyło mu

się czuwać; napędzi sam do wybuchu i krwią pożar zagasí.

— Wszystko jest możliwe, odezwał się Bartold.

— No, a nam o sobie myśleć potrzeba, dodał Mann. Są tam nasi między gorączkowymi?

— Znajdzie się ich dosyć.

Mann dumał. — To dobrze, rzekł, niech i tak będzie, na ten raz potrzeba i nam należeć, odstać nie można. Głupstwo, będą ofiary, ale oni mogą przepaść, my nie. My swoich wyratujemy, a w tych co padną będziemy mieli najlepszych patronów.... Kraj bądź co bądź, będzie naszym.... Co WPan na to panie Jakóbie?

— Ja się pytam gdzie my? rzekł Jakób.

— Nie rozumiem, ofuknął Mann.

— Nie widzę *nas*, rzekł młody człowiek, przed stu laty my byliśmy spójną całością, dziś... nie ma nas prawie.... Z obozu naszego codzień ktoś ucieka, jedni przyjmują obcą wiarę, drudzy się swojej wstydzą i kryją z nią, inni żadnej nie mają. Z tych których kraj żydami nazywa, część neofitów, część ateuszów, szarpiemy się, walczym, rozbijamy.

— Nie bój się, rzekł Mann, człeku małego

serca, w chwili niebezpieczeństwa potrafimy się znaleźć.... Ty widzę doprawdy chorujesz na żyda?

— Choroba nieuleczona, rzekł Jakób, jest we krwi....

— No, widzisz, obracając rzecz w śmiech, bo jój poważnie długo nie mógł utrzymać Mann, żyda udajesz a prawo łamiesz? czemu się nie żenisz?

Jakób ramionami ruszył.

— Widziałeś tę piękną Muzę?

— Wszak ci to nie Izraelitka? spytał Jakób.

— Niewiadomo, odpowiedział Mann, jak się z nią zechce ożenić Izraelita a bogaty... będzie ona czém wypadnie. Mnie się zdaje że to dla niej i dla matki wszystko jedno....

— O kim mowa? spytał Bartold.

— A! przecież znasz Muzę! musisz ją znać choć oddawna jesteś żonaty. Śliczna to panna niebezpieczna.... Mówię o... Wtorkowskiej....

— A, rzekł Bartold, widziałem ją na koncercie dla ubogich... wydała mi się — straszną!

— Co? straszna? spytał Mann śmiejąc się, bałbyś się jój?

— Uciekłbym od niej, bo podobnych kobiet nie lubię.

— Zgadzam się zupełnie z wami, dodał Jakób.

— Szkoda mi jój! zdaje mi się że ma na was parol zagięty....

— Przegrała!

— No! nie ręczcie jeszcze... kobiety umieją wiele, a tyś mężczyzna i młody.

— Właśnie to mnie zabezpiecza żem młodszy, odezwał się Jakób uśmiechając. Wy, panowie starsi, daleko jesteście mniej od nas wybredni... a — daruj panie — może rozpustniejszy...

— O! co za filozof! patrzajcie! napuszając się rzekł Mann, wziął za kapelusz i mrucząc wyszedł urażony, prawie nie pożegnawszy Jakóba.

---

.

---



W kilka tygodni po przybyciu Jakób przechodząc ulicą zdziwiony został niepomahał spotkaniem włoszki Signory Colomi, którą był poznał w Genui. Wprawdzie zapowiadała ona swe przybycie do Warszawy, - mówiła nawet o możebnej dalszej podróży w głąb Rosyi... ale zdawało mu się że z nią postrzegł także nieodstępного przyjaciela jég Gromowa. Wiedział dobrze iż dla niego powrót do kraju był wzbroniony, uchodził bowiem za przyjaciela i współpracownika Herzenowskiego, uderzyło go iż mógł w téj chwili ważyć się na przybycie, domyślając naturalnie iż tego bez ważnych bardzo nie uczynił powodów. Miłość dla pięknej Włoszki nie mogła się liczyć do nich, Rosyanin bowiem zdawał się wyziębły, zobojętniały a stosunek jego ze śpiewaczką nie był już tak świeży, aby go dla niej na śmierć i skutki pochycenia mógł narazić. Inne więc zapewne przyczyny obojga przyjazd spowodowały. — Jakób w pierwszej chwili chciał się do

nich przybliżyć, ale Włoszka która go niezawodnie poznała, przyspieszyła kroku, wraz z towarzyszem, jakby unikając spotkania i rozmowy. Jakób więc wstrzymał się nie chcąc narzucać im natrętnie. Zastanowiła go wszakże bytność Moskala w Warszawie, a więcej jeszcze to iż raz tu będąc, tak się pragnął ukryć przed znajomemi... Była w tém widocznie myśl jakaś, ale Jakób tyle naówczas spotykał co krok tajemnic i zagadek, iż się nawet nie kusił o rozwiązywanie wszystkich. Cóż wreszcie obchodzić mogła, ta para ludzi obcych, mająca tam jakieś swoje sprawy... może osobiste....

Colomi i Gromów znikli mu z oczów i prawie o nich zapomniał. — Sprawa Iwasia była ułożoną, posłano po niego, podjęto się jego losów w przyszłości, mógł więc Jakób spokojnie złożywszy troskę tę, myśleć o tém co było głównym celem jego życia... o swoim izraelskiem posłannictwie. Po kilku dniach przekonał się już jakie go tu oczekiwały trudności, które umysły płytsze wcześniej były przewidziały, a jego głębszy odtrącał jeszcze szukając koniecznie w naturze ludzkiej sprężyn szlachetniejszych, które już nie działały wcale.

Badanie stanu kraju doprowadzało go tylko do tych pospolitych pewników, które ludzie pospolici

od razu mu stawili, a w które on uwierzyć nie chciał. Pobożni Izraelici w istocie uważali go za nieczystego niedowiarka, ateusza, których liczba była przemagającą, o żadnej wierze słyszeć nie chcieli, bo bez niej było im najwygodniej; śmiali się i ruszali ramiony na wszelkie apostołowanie. Co więcej, ostrzy prawa zachowawcy, starzy żydzi łatwiej jakoś pobłażający byli dla zupełnych ateuszów i ich obojętności, niż dla zuchwałych idei reform. Z jednej i drugiej strony witano go dosyć niechętnie, odtrącano nawet widocznie, stał osamotniony i zdobywać musiał mozolnie wkupienie się w społeczność która zdawała się go lękać i unikać.

Gorzkie myśli opanowały Jakóba, potrzebował zebrać ducha, skupić siły i wedle swego zwyczaju, zamknął się samotnie nad starymi księgami które mu dawały ulgę w cierpieniu, począł znowu czytać to co już sto razy w smutkach i boleści powtarzał, księgi Hioba, treny Jeremiaszowe, wieszczby natchnione proroków, a potem osławiony ten talmud, na którego kartach mieściło się tyle tradycji do każdej niemal epoki zastosować się dających.

Dnie całe spędzał tak zaparkszy drzwi swe, zapominając o ludziach, szukając w sobie siły której lody obojętności wieku roztopić mogła.

Nawracać bałwochwalców i cześć gorącą fałszywych bogów skierować ku prawdziwemu, jest stosunkowo łatwem; pali się płomień który tylko podsyć i na innym ołtarzu postawić należy — ale tę iskrę wydobyć z piersi zaskrzepłych! ale mówić o moralności tym co ją mieli i stracili! o wierze tym co wszystko w tyglu krytyki na żużel stopili!! Nikt się z Jakóbem nie sprzeczał, nikt nie walczył, uciekano się, odwracano. Niekiedy wymowa jego porywała. ale ceniono ją jako piękny ustęp retoryczny — nic więcej.

Zniemczeni żydzi byli Heglistami, zfrancuzieli wysoko cenili pozytywizm Cont'a, admiirowali mniemaną logikę Proudhon'a; inni obchodząc się nawet bez wszelkiej filozofii, z pustką w głowie i z pustkami w sercu czuli się spokojni zupełnie. Na tém więc polu jałowém nawracanie było niemożliwe; — społeczność rozumiała jeszcze izraelstwo swe ze strony jego poetycznej, malowniczej, poklaskiwała mu w Żydówce, w muzyce Mendelsohna i Meyerbeera, w dowcipie Heinego i Börne, w milionach i wszechmocności Rothschildów, wszędzie gdzie ślad był Izraela i dowód jego potęgi; ale były to tylko pochlebne wspomnienia jakiejś podruzgotanej przeszłości. Wielka większość dla europeizmu, dla fran-

cuzczyzny, dla tonu wypierała się wszystkiego swego i rumieniała wspomnieniem.

Na wielkim świecie przyjmowano Jakóba z tą obawą dobrze wychowanych żydów — żeby żydostwa nie wspomniął, nie wprowadził w rozmowę, nie objawił, jak się wyrażano, z właściwym sobie cynizmem. Wchodzącego do salonu witały oczy pomieszane, skłopotane twarze, błagające wejrzenia mówiące: A! zlituj się! milcz!

Z prawdziwymi starozakonnymi trudno mu też mówić było, ci uważali go za człowieka lekkiego, niedouczonego, zarozumiałego, za świętokradcę wdzierającego się do świątyni, do której wchodzić nie miał prawa. Zbywano go pół słowami, odsyłano do ksiąg, a fanatyzm stawał przeciwko niemu z całą swą drapieżnością najeżony i straszny.

Po długich dniach zamknięcia, myślenia, męczarni, Jakób postanowił szukać oparcia i poparcia w młodzieży i był zmuszonym jak inni reformatorowie do szlachetnych instynktów młodego wieku się obrócić, w nie ufał. Nieco pocieszony tą myślą, wychudły od bezsenności, pracy, bólu, zabierał się nareszcie znów wynijść na światło dzienne, gdy dnia jednego zapukano do drzwi jego.

Był to ten sam Wilk, młody, gorący chłopak

którego widział u Bartolda. Odprowadziwszy go na stronę, rzekł śmiało.

— Poznałem w Was serce szlachetne, zdaje mi się, że wiem jego sposób myślenia, jesteś pan naszym pracy przeciwnym, ale przekonany też, że gdy kraj cały poda do niej dłonie, uchylić się od niej nie zechcesz. Przychodzę w imieniu towarzyszków moich do pana.

— Czegoż pan żądasz odemnie?

— Tylko słowa, że pan od pracy dla kraju swoich współwyznawców, na których wpływ wywierać możesz, odwracać nie będziesz, a gdy zajdą kroki stanowcze, nie cofniesz się.

— W dwóch słowach wypowiem panu postanowienie moje, rzekł Jakób. Nie jestem człowiekiem rewolucyi, nie wierzę w ich siłę. Najmocniej przekonany jestem, że wszelki gwałt zniszczenia tylko dokonać może, nigdy odrodzenia. Ale gdy Polska, którą za moją i mych osiadłych tu współbraci ojczyznę uważam, zażąda krwi mojej, to ją dla niej wytoczę.

Wilk głowę skłonił.

— A więc rachujemy na Was.

— Ale nie na inicjatywę z méj strony, gdybym

mógł powstrzymałbym was, zaklął... cóż! gdyście zaślepieni.

Wilk się uśmiechnął.

Rozmowa przeszła na różne sprawy ogólnej dotyczącej; uderzony tém jak agitacya, manifestacye i cały ów ruch ówczesny nieopatrznie, z dziecięcym w siebie zaufaniem posuwał się naprzód, Jakób uczynił kilka uwag; ale one były próżne, młody człowiek słuchając go albo się śmiał wprost lub nawet spierać się nie chciał, zapewniony że to co się działo, inaczej prowadzoném być nie mogło.... Jakób wpřódce postrzegł się, że ani go pahamuje ani przekona; zamilkł.

W istocie we wszystkich robotach téj doby, panowało to święte, heroiczne zaślepienie młodzieży, która nie widziała czego widzieć nie chciała. Szpiegów policyjnych używano za agentów, wśród ulic spiskowano głośno, do tego powszechnego sprzyśiężenia należały dzieci, kobiety, lud; uniesienie było tak silne, tak ogólne że porywało z sobą najsprzeczniejsze żywioły i prądem niezwalczonym niosło. Wilk należał do tych ludzi olbrzymiej wiary i zaślepienia, którym nic oczów otworzyć nie mogło.

Po długiej ale nieskutecznej rozmowie, oboje rzeszli się wreszcie nic nie sprawiwszy; Jakób my-



ślał wychodzić na miasto, gdy służący przyniósł mu bardzo wykwintny bilecik pani Wtorkowskiej.

Pisany on był ręką córki za matkę, która w ortografii nie dosyć była biegłą, a brzmiał jak następuje:

„Bardzoby nam było miło widzieć szanownego Pana w domku naszym dziś wieczorem. Spodziewamy się kilku dobrych przyjaciół i trochę muzyki.

**Benigna Wtorkowska.**“

Odmówić nie było podobna, chociaż Jakób nie miał najmniejszej sympatii dla tego domu; na myśl mu też może przyszło, że tam może zobaczyć Tildę, za którą tęsknił.

Przebywszy dzień cały niemal na obserwacjach ulicznych, na oddawaniu wizyt które udało się pozbywać biletami, powrócił do siebie i przebrany pojechał, dosyć smutno usposobiony, do domku w alejach.

Domek ten był zaprawdę arcydziełem téj smutnej sztuki, która istotną biedę na kłamany przepych i dostatek przerobić umie. Kłamała też tu rzecz każda, poczynawszy od liberyi służącego wygalonowanej a nie zapłaconej, aż do kwiatów na kredyt i na uśmiechy zabranych u Hozerów, aż do cia-

stek wychwyconych z cukierni, aż do fortepianu Pleyela, o którego zapłatę pp. Hermann i Grossmann, po dwa razy w tydzień przypominać się musieli, aż do sukni adamaszkowej samej pani i koronek panny na aksamitach odbijających prześlicznie, ale ciężących długiem.

Czego niepodobna było osłonić zbytkiem pozornym to umiano ukryć zręcznie, meble zużyte, różnemi powłokami poprzyodziewane jako tako się jeszcze przedstawiały; zwierciadła sztukowane z kawałków złocista rzeźba oplatała gałęzmi winnej latorośli. Domek, zwłaszcza wieczorem, wyglądał bardzo ładnie, wesoło i świeżo. Z niezmiernym obrachunkiem wszystko tu było poustawiane i poukładane; w każdej książce niby przypadkiem rzuconej kryła się myśl jakaś tajemna; nuty te tylko były na wierzchu które mogły o talencie artystki dać jak najświetniejsze wyobrażenie; albumy mieściły fotografie samych znakomitości i świadczyły o stosunkach. Niby to jakoś samo się tak złożyło od niechcienia, a przecież ile to pracy, rachuby, rozmyśłów samą panią Wtorkowską i Muzę kosztowało!!

Jakób nie zbyt się spiesząc na wieczór, trochę się też przypóźnił, zastał już świetne towarzystwo

na kanapach, krzesłach, przy drzwiach, siedzące i stojące; ciasnotę, skwar i gwar. Trzeba było wystąpić z przywitaniem, gospodyni nadzwyczaj uprzejmie, Muza uśmiechem poufałym go przyjęła i pociągnęły w swoje kółko, wśród którego w białej sukni, z bukietem białych kamelii, siedziała blada, martwa, prawie nie zważając na to co się w koło niej działo, Tilda. Poczuli ją wniósł Jakóba, podniosła oczy, uśmiechnęła mu się dziecinnie i nie kryjąc wcale radości, a potem znowu powróciła do swego lodowatego osłupienia. Henryk stał za krzesłem Muzy, która była tak wspaniale obnażoną pod pozorem uroczystej toalety, że wielbiciel wdzięków niewieścich, mógł się ich widokiem napaść do syta. Wspaniale też była piękną, majestatycznych kształtów, biała jak śnieg, a ogromne włosy zdawały się ciążyć jej pięknej głowie. W oczach błyskał rozżarzony dowcip, *quaerens quem devoret*. Aksamitna ciemno wiszniowa suknia okryta staremi (niezapłaconemi, koronkami, stroiła ją przepysznie. Na rękę miała grubą bransoletę z jednym olbrzymim rubinem *cabochon*. Dwie te piękności, Tilda, jakby duch jakiś nieziemski co przyleciał na mgle i promieniu księżyca z pieśni poetów, i ta kipiąca życiem bachantka, wzajem się podnosiły.

Henryk coraz widoczniej roznamiętniał się do Muzy.

— Wiesz, rzekł po cichu do Jakóba, gdybym był tobą... a! nie zawahałbym się; jutro prosiłbym o rękę téj Syreny!

— A ja gdybym tobą był, odparł Jakób, nigdybym nawet na nią nie spojrzał.

Henryk z przykrym uśmiechem zamilkł, przerzucił czarne włosy na głowie i posunął się znów ku Muzie.

— Czy domyślisz się pani, com przed chwilą radził Jakóbowi? rzekł po cichu.

— O! jakżebym się mogła tego domyśleć? szepnęła obojętnie niby Emma, choć wybornie odgadła.

— Radziłem mu, niestety, jako zbyt dobry przyjaciel, to cobym ja pewnie uczynił na jego miejscu... radziłem żeby się w pani szalenie zakochał.

— A! to bardzo zła i zdradziecka rada, śmiejąc się odrzekła Muza, bo ja... wcale nie myślę kochać nikogo.

— Jakto nikogo?

— O! niech mnie Bóg broni! Ja miłość uważam za rodzaj niebezpiecznej choroby której się strzedz należy.

— Masz ją pani za tak — śmiertelną?

— Nie wiem, obawiam się.

— To zły znak. Mówią że wszyscy co się na przykład cholery lub tyfusu obawiają, chorują na nie. Jest to przecucie. Nie prawdaż że Jakób...

— O! dajże mi pan pokój z tym filozofem.

— Gorzej niż filozof, jest to mistyk i pietysta. Muza milcząc zwróciła nań oczy.

— To istotnie dziś ciekawe, zróbże pan żebym z nim pomówić i bliżej go poznać mogła... jest tak dziki...

— O! czegożbym nie uczynił dla pani, zawołał wszystko odgadujący Henryk, przyprowadzę go i oddam *pieds et poings liés*.

A ciszej dodał:

— Ale proszę pani, nie prawdaż że gdy się jednę, pierwszą, ciężką miłość przechoruje na serwo, to potem się nią może już bawić bez niebezpieczeństwa?

— Nie rozumiem! odparła Muza sucho — ale oczy które w niego wlepiła mówiły całe co innego.

Nie było porozumienia, jednak się jakoś pojłowali.

— Chcesz się wydać za mąż, mówił w duchu Henryk, dobrze, mogę ci posłużyć... ale na świecie

nie darmo, spodziewać się muszę że i ja uśmiech za to jaki pochwycę... któż wiel

Wyraźniej téj umowy milcząco zawartéj, wypowiedzieć nie było potrzeba. Henryk sądził że będzie zrozumianym, poszedł, przecisnął się przez tłum, wziął Jakóba, przypatrującego się Tildzie pod rękę i rzekł mu:

— Chodźże do ślicznej Muzy, która się ciekawi na ciebie. Zrób to dla mnie, dziewczę zapalone jest do Włoch, a ty właśnie ztamtąd powracasz.

— Prawdziwie, odpowiedział Jakób, ciężkoby mi się było zebrać na takie opowiadanie o podróży któreby jój było godném.

— No, no, spróbujesz, chodź tylko.

Gwałtem prawie pociągnął go ku niéj za sobą.

— Pani, rzekł Henryk do Muzy, pani co tak Włochy kochasz, tę ojczyznę sztuki, a chciałabyś odemnie profana coś o nich posłyszeć, więcéj się pewnie dowiesz od Jakóba. Dla tego przyprowadzam go pani. Najdoskonalszy z turystów, chodził piechotą gdzie ja latałem koleją żelazną.

— Al! al! odwracając się ku niemu z uśmiechem i ukazując mu swe cudne rozpromienione oblicze, zawołała Muza — przecież pana pochwy-

łam! Musisz mi pan mówić o Italii. Ja ciągle matkę błagam aby mnie tam zawiozła.

— Bardzo mi żal żem dziś jakoś niewymowny, i że nie dosyć poznałem Włochy, rzekł Jakób, abym mógł coś o nich powiedzieć. We Włoszech potrzeba żyć aby je poznać, a nie jak ja je przelecieć.

— A! przepraszam, żywo podchwyciła Muza, to pewno, że świeżo do kraju przybywający, często więcej widzi, lepiej postrzega niż ten co się w nim urodził.

— Jest to po części prawdą, ale to się stosuje raczej do zewnętrznej fizygnomii kraju. Ducha jego potrzeba badać, upoić się nim, aby go poznać.

— Ale, wszak piękne są Włochy! spytała Muza.

Pytanie było niezręczne i oklepane, ale szło tylko o rozpoczęcie rozmowy, która ciągniona gwałtem musiała się wlec, służąc za pokrywkę gry zalotnej, uczonój, gry instynktu kobiecego który oczarować pragnie i używa ku temu wszystkich środków jakimi go obdarzyła natura. Muza w każdym ruchu, wejrzeniu, skinieniu, słowie była nieporównaną artystką, mówiła do zmysłów choć sama ich jeszcze nie miała, (znane jej były z teoryi), do serca choć go w piersi swój nie czuła, do próżności o którą posądzała każdego...; pochlebiała,



czarowała, wiązała, była czułą, smutną, trzpiotowatą na przemiany, zawsze niezrównanie wdzięczną. Jakób patrzył na tę komedię i nie drgnęła w nim żadna z tych strun po których pałający wzrok i słowa przebiegały drażniące — był zimny, poważny, smutny. Oczy jego z boleścią zwracały się ku tej ofercie, przypominającej mu jakąś postać z Ary Scheffera, która siedziała tuż milcząca i patrzyła nie widząc, cała pogrążona w sobie.

Jeżeli gdzie to wśród świetnej błyskotliwej zabawy, kobieta zboliała, cierpiąca, w całej świetności swój wydać się może; jest coś świętego w bólu co ją jakby złotą aureolą otacza, nikną przy niej najpiękniejsze, najdumniejsze padają.

Tilda wyglądała na królowę, a Muza ledwie na jej damę dworu i powiernicę ze stariej tragedyi.

Gniewała ją ta obojętność Jakóba, a im zimniejszym był, tém w obrażonej wznagało się pragnienie obalenia tej dumnej postaci pod stopy swoje.

To też prawie się zaafiszowała, jak mówią, w salonach, dla Jakóba; mówiła z nim, patrzyła na niego, dała mu poznać że ją zajmuje mocno, że się jój podobał. Matka prowadząc rozmowę, gospodarując, biegając z kąta w kąt nie spuszczała z oka córki, serce jój biło. Nie zawsze godziła się

z taktyką Muzy, uważając ją za zbyt śmiałą, ale musiała jęj oddać sprawiedliwość że walczyła heroicznie i czyniła co tylko mogła.

Jakób był zmuszony (sama mu bowiem rękę podała) poprowadzić ją wśród szmeru uwielbień do fortepianu, do którego siadła nareszcie i zdejmując powoli rękawiczki, jeszcze długo zwrócona ku niemu, starała się pokazać przed gośćmi jak blisko z nim jest i dobrze; wabiła go, szeptała, śmieszyła, kokietowała.

— Moja droga, odezwała się po cichu pani N. do pani X., patrzajże co ta Wtorkowska wyrabia z Jakóbem, ależ bezwstydnie na niego poluje.

— O! takie kobiety jak ona, zawsze zwierzyne upolować potrafią! odpowiedziała pani X....

W tém nadeszła stara Wtorkowska.

— Mówimy o ślicznęj twęj Emmie, odezwała się głośno pani N... jest dziś istotnie czarującą, pani X nie może się jęj nachwalić, nauwielbiać. Pozawraca głowy wszystkim, nawet naszym starym!

Matka tryumfująca, dodała skromnie.

— O! ta Emusia moja, tak jest dziecinnie naiwną... taki z nięj często trzpiot... Mówię jęj to... Moznaby ją wziąć za zalotną ktoby nie znał,

ale niewinna jak małe dziecko... i to ją czyni tak śmiałą.

Dwie panie N. i X. spojrzwały na siebie ukradkiem, pani X. czarne rozrosłe brwi mimowoli podniosła z podziwem.

— Niech szatan porwie tego szczęśliwego Jakóba, ot to koło niego dziewczyna skacze! rzekł ojciec Tildy do Manna, ależ gwałtownie się ję zachciało go złapać! Ciekawym też bardzo czyby go była tak rwała ku sobie, gdyby został był łapserdakiem takim jakim ja go wziąłem na wychowanie!!

— I póki mu pocziwy stary berlińczyk majątku nie zapisał! dodał Mann.

Oba się rozśmieli.

— Że go złapie, nie ma wątpliwości, rzekł ostatni.

— Otóż nie, odparł pierwszy, ja go znam lepiej, niezręczna dziewczyna choć sprytna, nie wie tego pono że nie wszystkie ryby jedną siecią łowią.... Henryk mój zięciaszek oszalałby dla niej, Jakóba wystraszy... on woli ciche, wstydlive niewiasty... poeta....

— Tak, a to wcale i niecicha i niewstydliva

istota! rzekł Mann śmiejąc się. Winszuję temu kto....

Nie dokończył.

— No! ale wszystko się na świecie okupuje czemś, musi ów szczęśliwy zapłacić spokojem, dodał drugi.

Tymczasem fortepian zadźwięczał; Jakób wysunął się powoli rozkuty z kajdan grzeczności i znużony poszedł na odpoczynek usiąść przy Tildzie, która w dumaniach pogrążona, nic nie widziała.

Powtórę podniosła na niego oczy i uśmiechnęła mu się słodko; była spokojną i szczęśliwą że mogła patrzeć na niego.

Przez okna otwarte widać było verandę obwieszoną winną latoroślą dziką, której liście przedierał gdzie niegdzie księżyc sinawemi promieniami; oboje pobiegli tam wzrokiem stęsknienia za samotnością wśród tego tłumu.... Chcieli wyjść trochę i być sami, zrozumieli się — ale artystka grała, wysunąć się nie było podobna.... Fortepian płakał, jęczał, dąsał się, śmiał, grzmiał, kwilił pod zręcznemi, wprawnemi paluszkami.... Wszyscy byli w uniesieniu, grała jak Liszt... silna jój dłoń zdawała się trudnościom uragać.

— Gra precudownie, szepnęła Tilda, ja gdy

pół godziny posiedzę przy fortepianie, czuję się osłabioną, brak mi duszy jakby mi ją te tony ulatujące zabrały z sobą i wyczerpały... a ona! Co za potęga! gra, szaleje, dokazuje, i wstaje niezmordowaną, spokojną!

— To też stanowi różnicę gry waszój od jój grania, rzekł Jakób, wy w swą grę wlewacie duszę i czucie, ona sztukę i siłę tylko.... Do mnie gra jój nic nie mówi, jest to fortepian grający... u ciebie dusza śpiewa przez dotknięte ręką klawisze....

— A nie! zawołała Tilda, ona jest artystką prawdziwą, a ja prostą śmiertelnicą.

— Pozwólże mi się przyznać, dorzucił Jakób, tego artysty, téj artystki jakiemi ich wiek nasz uczynił, ja nie cierpię; równie jak nienawidzę fanatyka który głową się pali, a wiary swój dłonią i czynem nie popiera. Artysta dzisiejszy to sztukmistrz, a nie mistrz w sztuce, to rzemieślnik kapryśny, co się wyuczył trudności, co zna wszystkie sznurki (ficelles) rzemiosła swego. Ale dla mnie rozplakany pastuszek grający sobie w polu na dudce piosenkę natchnioną... jest daleko nad niego większym artystą.

Sprofanowano dziś sztukę jak wszystko, stała

się przedajną, stała się chleba kawałkiem nie ołtarzem. Dzisiejszy artysta pracuje dla sławy, bo sława mu chleb daje, ale ostatecznie dla chleba nie dla potrzeby własnej duszy... któż dziś fresk zrobi za worek miedziaków, kto go odmaluje darmo dla chwały Bożej i dla wywnętrzenia swój myśli. Tak grają, tak piszą, tak malują.... Tak gra i ta piękna Muza, rzekł Jakób ciszej, jest to artystyzm bezduszny, wyuczony, nie poczuty.... Dla tego zagra ona Liszta i Thalberga ale jój wara od Chopina... a Schumanną pojmie stronę dziwaczną, nie wyda głębokięj....

Tilda się zamyśliła.

— Sądzisz ją zbyt surowo, rzekła, jest tam w téj duszy promyk Boży, jest na tém czole płomyk... ale świecą oboje tęsknicy bez jutra... a może bez chleba.... Biedna kobieta! Tak mi przykro patrzeć na nią, na jój matkę, znając ich położenie!

— Jakto? one przecie bogate być muszą? spytał Jakób zdziwiony.

— Niestety, są ubogie, odpowiedziała Tilda, gorzej, bo muszą jeszcze udawać zamożność, którą dawno straciły.

— O! to okropne, przerwał Jakób, komedya

zbytku w nędzy jest ohydną, płacą ją łyż oszukanych i ubogich. Nie stokroć że piękniejszym byłoby ubóstwo przy pracy mężnej?

— Ha! są wstydy fałszywe. . . .

— Fałszywe . . . to mówi wszystko . . . wstydy fałszywe są najczęściej prawdziwemi bezwstydami. . .

— We mnie one tylko litość budzą, dodała Tilda ciszej, krwawy to dramat, łyż i niepokój pod aksamitami, ten głód u progu czekający aż deser wystawny wyniosą . . . ta pustka jutrzejsza po dzisiejszym zgiełku, który trwa tyle co gorzko opłacony, kłamany zbytek za temi uśmiechami są płacz i rozpacz, w tych duszach budzi się już wśród wesolej pieśni, blady strach jutra i potrzasa wyschlą dłonią. — Ściska mi się serce. . . .

Muza przestała grać, szum oklasków rozległ się zewsząd, Henryk pobiegł piękną acz nieco dużą i silną ucałować rączkę, a Tilda której było duszno w tej atmosferze, skinęła na Jakóba.

— Wysuńmy się, by na chwilę tchnąć wieczornem powietrzem, rzekła, wszak nam tego za złe nie wezmą.

I przesunęli się przez tłum przeciskając ku verandzie, a oczy Muzy błyszczące poszły za nimi



z wyrazem gniewu prawie i zwróciły potem szydersko uśmiechając Henrykowi.

— Widzę, rzekł odpowiadając na nieme pytanie, że Tildzie było za gorąco... wyszła na ganek z Jakóbem...

I ręką rzucił obojętnie, jakby mówił.

— O! niech sobie idą...

— Pan nie jesteś wcale zazdrosny? szepnęła Muza.

— Przy pani tylko o panią...

Muza surowo spojrzała na niego.

— Pan nie masz prawa czuć tego, a mniej jeszcze mówić... o tém.

— Pani wiesz że to co jest bezprawném najsilniej pociąga człowieka.

— Pan jesteś niemoralnością wcieloną.

— Niestety! przy pani anioł by upadł, cóż dopiero człowiek...

— Ale pan doprawdy mógłbyś mnie rozgniewać.

— Nie, pani jesteś litościwą...

Poczęli szeptać coraz ciszej, coraz poufalej, ale śmiejąc się i w dobrą zgodzie.

Tilda wychodząc rękę Jakóba ścisnęła w progu.

— Co ci jest? spytał z czułością Jakób.

— O! nic! jestem — nie wiem czemu, bardzo

szczęśliwą — czuję się dziwnie spokojną... Nic nie pragnę... Zdaje mi się że powoli ulatuje ze mnie życie, mam cię przy sobie; pewną jestem twojego serca... cóż więc potrzebna do szczęścia?

— Mało ludzi zaspokoiłoby się tém czystem szczęściem naszym, rzekł Jakób powoli. Gdy czasem rzucę okiem na tłum i porównam w nim różne osobistości, usposobienia, różne jednostki... wiesz pani...

— Po cóż ta — pani!

— Zdaje mi się, kończył Jakób, że człowiek nie jednym był stworzony że w nim istotnie dwie walczą siły przeciwne... jakby Bóg z szatanem... Sprzeczności są niekiedy przerażające.

Naprzykład przy tobie — ta niewiasta.

— A, nie mów mi nic złego o niej, przebaczymy wszystkim.

— Tak! przebaczymy, smutnie mówił Jakób, któż z nas czysty i niewinny w duszy, prócz ciebie? A życie krótkie, a każdy pije z kielicha goryczy... i każdy ma w piersi strzałę...

— O! ja ję i wszystkim przebaczam, zawołał Jakób, ale mi żal ję i ich... gdy tak daleko, tak dziwnie szukają szczęścia i kłopotczą się o nie, mogąc je wysnuć z własnej duszy. Dla tego dziwi mnie

i przestrasza świat temi żywioły różnemi, w których zło tak przeważa.

— Nie wszystko pojąć można — wiele jest rzeczy niezrozumiałych dla człowieka, odpowiedziała Tilda, ale po cóż mam myślał sięgać tak daleko i jak tytany dobijać się koniecznie do niebios zamkniętych? Wierz mi, całe losy człowieka są szyderską jakąś próbą z niego... powiedziałabym igraszką — nielitościwą. W umyśle nosi iskry światła z których nigdy wielkiego nie może rozpaścić ogniska, bo mu je burza namiętności, wichur szaleńczej; w duszy nosi instynkta szlachetne, które się w brudne przerabiają żądze, ciało nawet.....

Umilkła i po chwili spytała Jakóba:

— Któryż to powiedział poeta:

W walce ze życiem i światem  
Przyszłości nikt nie jest panem;  
Z rąk Bożych wychodzimy kwiatem,  
Świat w grób nas rzuca — łachmanem.

— Nie wiem, rzekł Jakób.

— I ja nie wiem, słyszałam gdzieś te wiersze. Człowiek się psuje powoli coby miał polepszać, wiek któryby powinien udoskonalać — kaleczy, zabija, rozczarowuje... Wszystko jest dziwnem w ży-

ciu... wszystko zagadkowém... a te sny i marzenia  
nieśmiertelności! jakiegoś drugiego bytu!!

Uśmiechnęła się boleśnie.

Jakób był smutny i pogrążony.

Przed nimi piękny się widok roztaczał; stare  
drzewa alei ze swą zielenią ciemną, kołysane lek-  
kim wiatru powiewem, cisza — nad nimi niebo  
lazurowo-czarne i księżyc jak stróż nocy przecha-  
dzający się po niebiosach i milczące gwiazdki mru-  
gające oczkami, jakby sen odpędzały z powiek.

W dali gwary miasta obumierały.

— Patrząc na twory Boże, zawołał on, czuje  
się jednak w duszy spokój o przyszłość... jest coś  
co nam powiada że nie zginiemy... Gdyby nawet...  
tysiące lat wiary téj trwającej zawsze w człowieku,  
nie potwierdzały jój — każdy ją znajdzie w głębi  
swój duszy na dnie... jak na dnie studni w dzień  
biały świecą gwiazdy...

— Tak... tylko tamto życie jakieś już nie bę-  
dzie tém życiem, myśl moja już nie będzie dal-  
szym ciągiem téj którą wyrobiłam w sobie; na  
nowo może przedzę tę wysnuwać przyjdzie, by ją  
znowu niedokończoną porzucić... gdy gość śmierć  
do drzwi zastuka...

— Tę śmierć tak straszną, nasze księgi he-

brejskie malują jako słodkie, łagodne przejście do drugiego żywota. Najsłodszą jest ta którą zowią... pocałunkiem Bożym... (Talmud Berachot. 5.)

— Jakże żałuję, odezwała się Tilda, że ja tych ksiąg a nawet języka ich nie znam prawie. Uczono mnie wszystkiego dla świata, a nie dla duszy... to też w niej pusto... i chodzi po niej wiatr zwątpienia.

— A! czas jeszcze! rzekł Jakób.

— Nie! zapóźno! Wiarą tylko młode serce napoić się może, w kim pierwsza była niewiara, tam na wysuszonym gruncie już się szczep drugi nie przyjmie. Ale Bóg wielki... nie może karać za to, co nie było winą człowieka.

Zamilkli, stali tak oparci o galeryą nie chcąc powracać do gwaru, wśród którego brzmiał fortepian Muzy, błyskotliwą fantazyą Lisztową.

— Chodź Jakóbie, rzekła, idźmy pić do dna rokosze tego wieczora, to co ci ludzie zowią zabawą, a co dla nas jest ciężką męczarnią. Ja ci radzę, zbliż się do Muzy, nie jestem zazdrosną... Ona jest na złej drodze, ty byś ją mógł nawrócić i ocalić.

— Nie, odparł Jakób, nikt w świecie, to coś mówiła o sobie. Zapóźno! tu jest w miejscu wła-

śnie. U niej i umysł i serce już dorosły, przybrały pewne kształty, i nic ich zmienić nie potrafi...

Powoli rozmawiając weszli nazad do salonu, wzrok Tildy spotkał tam naprzód, jej męża zwieszonego nad krzesłem wirtuozki, która mu się figlarnie, zalotnie uśmiechała. Nie zabołało ją to wcale, był jej obojętnym oddawna, cieszyła się myśląc że gdzieindziej zajęty uwolni ją od natrętnych, udawanych swych czułości.

Tymczasem matka Muzy jakoś bardzo się okazywała niespokojną; przeczuwała że wieczór ten całym się jej nie udał; Jakób był gorzej niż obojętnym bo nawet nie ciekawym, nic go nie pociągało do czarodziejki. Zmięszana Wtorkowska kręciła się, wzdychała, a zaloty widoczne żonatego pana Henryka, jakoś także jej były nie do smaku. Z majątniejszych młodych ludzi nikt się do córki nie zbliżał... wszyscy wielbili ale bardzo z daleka.

Wieczór ze zwykłymi swemi przemianami, śpiewem, grą, herbatą, wieczerzą, (która była wystawna a niegodziwa) przeciągnął się dosyć długo, ale starsi pod pozorem interesów powysuwali się wcześniej; ku wieczerzy z kilkudziesięciu zostało osób kilkanaście tylko i to znudzonych i zmęczonych. Tilda także uskarżając się na ból głowy,

obwinięta w szal, zostawiwszy męża powróciła do domu. Jakób nie mógł ją dalej jak do alei doprowadzić, powrócił nazad — kazano mu...

Zmniejszenie towarzystwa było może na rękę zalotnicy, gdyż łatwiej przywabić mogła Jakoba, i zmierzała ku temu zręcznie, choć dotąd nie powiodło się jój wcale; nie domyślając się że jest celem zabiegów, siedział zadumany nad jakimś albumem.

Nic mu narzucić nie było można, sprawiał się jako gość przyzwoicie i grzecznie — ale matka srodze się na niego gniewała i postanowiła sama przybliżyć... Usiadła obok... Jakób powstał dając jój miejsce...

— Ale siadajże, pan kochany, przy mnie, rzekła Wtorkowska łapiąc go za rękę, powiedzże mi pan! powracasz! no... i cóż? jakie są pańskie zajęcia, projekta?

— Moje? spytał Jakób zdziwiony trochę tą troskliwością, żadne... będę patrzeć, próżnować... a wreszcie i uczyć się czegoś...

— Myśmy tyle o panu słyszały, i tak byłyśmy ciekawe go poznać!

— Nieskończenie jestem wdzięczna!

— Szczególnie moja Emma! która taka jest



rozmówiona w ludziach.... Tu nie stało Wtorkowskiej słowa na oznaczenie, jakich i dodała mieszając się: — w ludziach... wyższych.

— A! bo co też to za istota prawdziwie wybrana... ta moja Emma! co to za główka! co za główka... jakie talenta.... Pan nie uwierzysz co ona czyta, jak ona czyta... jaka to pamięć, co to za dowcip! Już nie dla tego, że moja córka, ale prawdziwie, to cudo!

— Wszyscy to zgodnym głosem przyznają, rzekł Jakób grzecznie.

— Ale, proszę ja pana mego, poufałej odezwała się Wtorkowska, co to za los nas matek.... Kiedy to człowiek pomyśli! taka kobieta! proszę pana, komuż się dostanie! Czy to ją on oceni, zrozumie? Ta nasza młodzież!

— O! przecież dla panny Emmy wybór nie będzie trudny!

— A! pan pewno nie znasz młodzieży naszej.

Na tém się jakoś urwała rozmowa. Matce nagle zabrakło wątku; postrzegła że zbyt szybko dobiegła do ściany, nie było już co dalej mówić.... Jakób też wyczerpał pochwały.

— A co pan mówi o grze jój? poczęła ratując

się Wtorkowska, o! tak szczerze... pan co takim jesteś znawcą.

— Cudowna! cudowna! prawdziwie artystyczna!

— Powiadam panu, Liszt się dziwił, kiedy mu zagrała jego uwerturę z Wilhelma Otela (sic), aż się za głowę brał... Próbował ją, kazał jęj grać i to i owo i był zaentuzjazmowany... Zagranicą, u wód, w Spa... w sali raz to o mało że tumultu nie było... takie oklaski jęj sypali... rozbijali się, powiadam panu... bukiety, wieńce, historie... owan-cye (sic) formalne...

— O! bardzo wierzę...

— Proszę mego pana, u nięj żeby jaki twardy fortepian Erardowski... to do dwóch lat nie wytrwa, taka siła! a jak ją, proszę pana, ten szal porwie....

Byłaby się jeszcze zapewne na dalsze córki pochwały wysilała, gdyby Muza zmęczona grą i rozmową, sama się ku matce nie zbliżyła; a w istocie ku Jakóbowi....

W oczach jęj błyskał ogień — gniewu raczėj niż zapalu. Im uparciėj od nięj gość ten stronił, tém mocniėj postanowiła go pochwycić. Szepty z Henrykiem nie były stracone, on jęj dał klucz charakteru Jakóba, obznajmiając ją z jego, jak ją

zwał, manią religijną. Muza postanowiła przeczytać biblią; w téj chwili była jeszcze cokolwiek nieprzygotowaną, ale rachowała na to że go obalamuci kilką dwuznacznemi ogólnikami.

— Nie cierpię takich tłumnych zabaw, rzekła, to mnie męczy niewypowiedzianie; księga, dumanie, cisza, to lube żywioły moje. A pan? spytała wprost strzelając mu do piersi.

— Ja? ja? odparł Jakób, właśnie toż samo mógłbym o sobie powiedzieć — ja jestem człowiekiem ciszy i pracy.

— O! wyście we wszystkim szczęśliwi, panowie, mówiła Muza, wy możecie się cichój pracy poświęcić, nie będąc jak my niewolnikami salonu, konwenansów i tego... panieństwa, które nakazuje nam być nieustannie zalecającym się towarem.

Powiedziała to śmiało, Jakób się uśmiechnął spoglądając na nią.

— Ponieważ zaczęłaś pani o tym drażliwym przedmiocie, odezwał się, powiem że matki i panie mylicie się bardzo troszcząc do zbytku temi mniemaniami obowiązkami. Najczęściej gdzie wiele przygotowań tam nic z dyalogu, jak mówi Krasicki.

— To prawda, odparła Muza zimno, małżeństwa wszystkie kojarzą się cudem.

— Jestem zupełnie tego zdania.

— Niestety! proszę pana, przerwała stara Wtorkowska, gdyby się tak potem cudem jeszcze utrzymywały.

Uśmiechnęli się wszyscy z naiwności téj uwagi.

— Pan podobno byłeś na Wschodzie! spytała Emma.

— Tak pani i smutne z tamtąd przynoszę wrażenie, ziemia poezyi dziś jest wszelakich nędz ziemią, kolebka dawniej cywilizacyi dziś jest jéj śmietniskiem.

— Ale żyjeż tam jeszcze co biblijnego? pytała zręczna Emma.

— Bardzo wiele, począł ożywiając się Jakób — stroje, obyczaje, podania, ziemia, krajobraz są bibliją żywą. Rachele poją owce u studni, patriarchów siwobrodych widziałem pod namiotami.

— Jakże to cudnie piękném być musi?

— Tak pani! ale nie dla nas dzieci rozmiękłej, wypieszczonéj cywilizacyi. Téj życiem poetyczném mybyśmy wyżyć nie umieli: jest ono surowe, ciężkie, poważne, pierwotne i brzemieniem pracy przywalone; ale potokiem z pod niego leją się poe-

zya i uczucie, których nam braknie, bo źródła ich wyschły.

— A stare biblijne tradycye?

— Tych pełno na każdym kroku. U nas są one w księgach zasuszone, tam żyją i z życiem się splatają. Z jakimże wrażeniem dotyka się kamieni które król Salomon obrabiać kazał do swych wodozbiórów, ruin świątyni, miejsc uświęconych stopami patryarchów. Chrześcianie zarówno i żydzi czują tu swą kolebkę. W Europie wszyscyśmy kolonistami.

Emma słuchając Jakóba z zajęciem które doskonale odegrać umiała, powoli przy nim usiadła blisko, matka natychmiast prawie znalazła pilną wstania potrzebę i żywo pobięła do swego wieczornego gospodarstwa zostawując ich dwoje niemal odosobnionych wśród resztki gości podzielonej na małe grupy.

Sama grzeczność nie dopuszczała Jakóbowi się usunąć; — ona tymczasem magnetyzowała go wzrokiem, postawą, ruchami, obrotem ramion, rączkami którymi igrała poprawując bransoletę, to przerzucając pierścionki, to bawiąc się chusteczką szeroko koronkami obszytą, która tylko do zabawy służyć mogła.

Jakób na całą tę zalotną grę niewiele zważał, pozostał obojętnym.

— Nie wiem, rzekła po chwili zawahawszy się nieco Emma, ale zbierając się na odwagę — czy to jest siła krwi we mnie, ale ten Wschód mnie nęci; ulatują doń myśli moje, śnię i marzę o nim. Na nieszczęście my *cośmy z żydów wyszli*, bo ja się tego nie zapieram...

Jakób spojrział na nią zdziwiony, może nie poznał, że kłamała.

— My — zmuszeni byliśmy wszystkiego naszego zapomnieć, zacierać w sobie wspomnienia. Oduczano nas czegoby uczyć należało, robiono sztuczne istoty. Kazano nam się prawie wstydzic żeśmy mieli świetną przeszłość. Ja na przykład, która wiele na nic mi niepożytecznych umiem, wcale nie znam tego co mnie najgoręcej ciekawi...

— Na przykład? zapytał Jakób który nie pośądzał ją już o udanie i poczynął się zajmować temi wyznaniemi.

— Ale cicho! cicho! nuż mama posłysz, dodała Emma kładąc palec na ustach. Jestem ciekawą wszystkiego co nasze, co izraelskie. Prawda że już... jestem chrześcianką, ale pochodzimy z Izraelitów, a nowy prawodawca wszak powiedział

że starego prawa nie przyszedł obalać. Cóż z tego, mówiła coraz ciszej, kiedy nietylko mama, ale wszyscy *nasi* tak się strzegą nawet najlżejszej alluzji do przeszłości.

— To prawda, rzekł Jakób — ale jeśli pani pragniesz bliżej się oswoić z temi tradycjami naszymi, wszak jest ksiąg mnóstwo...?

— Ale ja przecie nie umiem po hebrajsku?

— Są i w innych językach.

— Doprawdy? spytała naiwnie — a! gdybyś mi pan, w wielkim sekrecie chciał co pożyczyć! Ja doprawdy tak jestem ciekawą! takbym panu była wdzięczną! ale to być musi sekret... między nami! nieprawdaż?

Wymaganie téj tajemnicy bardzo użyte zręcznie, było już węzłem który ich miał zbliżyć i połączyć. Emma ukradkiem, pod pozorem podziękowania podała mu rękę i ścisnęła dłoń jego, magnetyczny przelewając weń strumień... życia. Jakób mimo-woli poczuł się niespokojnym, skłopotanym, jakby się jakiego dopuścił grzechu.

— Z największą chęcią, rzekł, przyślę pani parę książek.

— Ale to nie dosyć, dodała Emma, pan mi też sam pomożesz trochę do téj nauki, której ja



tak jestem chciwą. Są godziny wolne. Mama się krząta, ja bywam prawie sama. Pan byś był mi nauczycielem, inicjatorem moim, a! nie wiesz jak-bym mu była wdzięczną. Ale cicho! położyła paluszek na' ustach uśmiechniętych, a oczy płonące, zmrużone utopiła w nim głęboko.

Pan mi tego odmówić nie możesz, dodała — jest to fantazya, jeśli chcesz, dziwactwo, śmieszność, ale ją pojdziesz.

— Ja nie uważam tego za dziwactwo wcale, rzekł Jakób, owszem, ale się lękam...

— Ale!! żadnych ale... o! proszę bardzo, proszę, żadnych ale! Przyznaję się panu że trochę goniła za nim z tą żądzą upragnioną dla mnie nauki.

Jakób był osłupiały, zdziwiony, przejęty, przychodziły mu jakieś wątpliwości, ale je odpędzał jako grzeszne posądzienia, tak zuchwałój komedyi nie przypuszczał. Muza pociągnęła go, ujęła, oczarowała.

— Niestety! wszyscyśmy tak słabi, że w najprostsze wpadamy sidła, gdy zręcznie na tę słabość naszą zastawione zostaną. Często ostrzeżony nawet człowiek daje się ująć, gdy kto uderzy w tę achillesową jego piętę. Tak było i tą razą. Jakób

po krótkiej téj rozmowie wstał inaczej dla Emmy usposobiony, wydała mu się piękniejszą, coś poetycznego ją owiewało; w myśli porównywał ją już do biblijnych niewiast, szukał w jéj rysach typu wschodniego. Nie pociągała go żadną sympatją, ale niepokoje jakimś, ciekawością i nie obudzała wstępu. Gdy uśmiechając się oddalała od niego, czuła już sama że go chwyciła, i twarz jéj była rozpromieniona zwyczajko.

— O! jest moim! zawołała w duchu.

W tém Bartold nderzył go po ramieniu.

— A co? szepnął mu — nieprawdaz? czarodziejka?

— Przyznaję że gdy chce jest nadzwyczaj njmującą!

— Bądźże ostrożnym kiedy już to uznajesz, rzekł przyjaciel — to co nęci zawsze jest dla nas straszniejszém od tego co odstręcza od siebie. Człowiek ginie zawsze przez to co kochał, nie od tego czego się lękał.

---

Czas upływał Jakóbowi tak żywo, niepochwycyony, iż się z nim obliczyć nie mógł — nadchodziła zima, w położeniu jego mało się co zmieniło.

Wykreślony mając wcześniej plan życia szedł drogą pewną z której sprowadzić się nie dał; ale to co dla niego głównem było życia zadaniem, coraz cięższém stawało się do urzeczywistnienia. Młódzieź którą w koło siebie starał się gromadzić, znalazł najdziwniej przekształconą, prawie już nie żydowską. Najwykształceńsi nawet unikali wspomnienia o pochodzeniu, rozmowy o wierze, zadaniach religijnych. Działanie więc Jakóba ograniczone, powolne, musiało się skupić w nim samym prawie. Nie tyle słowy ile przykładem musiał torować drogę — mało prowadząc za sobą naśladowców. Była to chwila właśnie gdy po rozdrażnieniu wywołaném niezręcznym artykułem jednego z dzienników, po oburzeniu jakie wywołało to wystąpienie; skupiali się nieco ku obronie Izraelici, podnosili na duchu,

draśnięci i kraj wywołany został do niepotrzebnej walki, która uczciwym zasadom dała ostatecznie zwycięstwo. Trochę ludzi uprzedzonych, garstka tępych umysłów, którym oryginalnym zdało się trzymać średniowiecznych tradycji, zostali w szczupłym opozycyi obozie, reszta powolnie przejednywała się z żydami... Ze swój strony intelligencya izraelska coraz się mniej odosobniała, czyniła jak najprzystępniejszą, jak najskłonniejszą do przybrania cech polskich... a praca Jakóba utrudnioną przez to być musiała. Zyskiwał na tém stronnictwo ruchu, do którego młodzież izraelska tém więcej się garneła, iż czuła się w obowiązku okazania że dla kraju obojętną nie jest. Jakób który w innym iść chciał kierunku, pozostał prawie na boku; nie był on wcale stworzony na spiskującego. Na wieczorach u niego choć nieuchronna mieszała się polityka, więcej wszakże zajmowano się literaturą, kwestyami społecznymi, zadaniami historycznymi. To odstręczało tych co popsuwszy się na piekącym pokarmie polityki, łagodniejszej stawy znieść już nie mogli.

Jakób acz szanowany przez swych współwyznawców, nie był im łagodnym ani miłym — nadto otwarcie dla nich chciał być żydem i Polakiem

zarazem. Ale próżno go o to upominał Mann ze swą grubijańską dumą, Henryk ze sceptycyzmem kosmopolity, ojciec Tildy z powagą opiekuna, Bartold jako dobry przyjaciel, inni z opryskliwością ludzi którym to stawało na przeszkodzie w ich robotach... Jakób nadto był pewien tego co czynił, aby się dał zbić z drogi którą uważał za obowiązkową.

Codzień też obawiano się go wyraźniej, unikano, codzień zimniejsze były jego ze współwyznawcami stosunki.

W tém zwątpieniu jakie ogarnia ludzi w jego położeniu zostających, Jakób naturalnie skłonniejszym był niż kiedy do pochwycenia wyciągnionej mu dłoni... Umiała z tego korzystać Muza.

Z łatwością pojęcia właściwą kobiecie, chwyciła myśli jego, przebiegła kilka książek, nauczyła się nieco, odgadła dużo i miała już gotowy oręż przeciwko niemu...

Jakób stęskniony, zwątpiały, smutny, tu jedno znajdując ucho które się chętniej ku niemu nachylało; nie mogąc zbyt często bywać u Henryków, coraz bardziej przywykał przychodzić na rozmowę do domku w Alejach; a gdy się letni w nim pobyt skończył i pani Wtorkowska miała się prze-

nieść do miasta, baczna matka tak jakoś rzeczy umiała zręcznie ułożyć że dostała pierwsze piętro w domu którego drugie Jakób zajmował.

Był to przypadek! dziwne się czasem trafiają przypadki. Ale w ten sposób wiedziano kiedy Jakób był w domu, posyłano po niego, zapraszano, odnoszono książki, kreślono bileciki, a dwa lub trzy razy spotykano się z nim i witano na wschodach.

Piękna Muza stała się prawie prozelitką Jakóba, który chwilami zupełnie się z nią godził, czasem odkrywał w niej wdzięk niebezpieczny.

— Ale wie mama, mówiła wieczora jednego córka do pani Wtorkowskiej, gdy się jakoś dzień powiodł — ten głupi Jakób zupełnie jest przekonany że ja gotowa jestem zostać żydówką... a przyznam się mamie, że już mnie ta jego biblia, Talmudy, podania, legendy... i dławia i nudzą.

— Ale, proszę cię ja ciebie, moja Emusiu, odpowiedziała matka, jak ci się zdaje, czy też on aby myśli już o ożenieniu?

— E! ja go wezmę kiedy zechcę...

— No to, zechciejże... zlituj się.

— Ależ mama nie rozumie tego, to trzeba stosownych okoliczności. Z nim inaczej niepodobna, tylko mu się muszę stać nałogiem... Powiem ma-

nie szczerze z nimi nie na namietność rachować niepodobna, ale na nałóg serca... Na to trzeba czasu... ja pilnuję.

— Gdzie ty tam pilnujesz! Ty się tylko roztrzepujesz z tym Henrykiem, nie wiedzieć do czego. Gdybyś już była inężatką, tobym jeszcze rozumiała, ale tak... najważniejszą sprawę opuszczasz....

— O! niech już mama będzie spokojną, ja wiem co robię. Z nim potrzeba powoli, ja go codzień lepiej poznaję, *si je brusque le denouement, tout est perdu.*

— Już ty sobie rób jak sama chcesz... ale...

Tak tą razą i zawsze kończyła się rozmowa, a Muza korzystała z pozwolenia.

Rachuba jój wcale w istocie nie była fałszywą; Jakób się w nięj nie kochał, ale przyzwyczaił się do nięj, znałogował.... Co się tyczy ożenienia, myśl nawet o niém nie przychodziła mu do głowy. Kochał Tildę całą duszą... a więdnijący ten kwiatek codzień mu się wydawał piękniejszym. Ciągnęło go tu tylko zajęcie jakie Muza okazywała ciągle dla biblii i podań izraelskich.

Matce ten środek przyciągania Jakóba nie wydawał się wcale miłym, zżymała nań ramionami



— ale cóż począć było, kiedy ani nikt inny, ani nie innego znaleźć się nie mogło?

— A jak, broń Boże i to chybi... mówiła w duchu, tośmy przepadli.

Muza zwykle śmiejąc się pocieszała ją, że to nie będzie Waterloo ale Austerlitz.

Muza nie mogła podobno pokochać nikogo, nie zakochała się też i w Jakóbie. Dla niej był on nudny, udawała dlań uwielbienie, ale ziewała całą duszą gdy się zbliżał. Z Henrykiem była w swoim żywiole, poufalszą; rozumieli się lepiej.

Dogadzając tej udanej pasyi panny Emmy, Jakób zapalił się do myśli urządzenia odczytów żydowskich. W początku na nie nawet domu znaleźć było trudno; myśl wszakże rzucona zdawała mu się przecudną, pochwycił ją z zapalem, nie przewidując że urzeczywistnienie napotka niezwykłe trudności. Nikt w domu swoim odczytów tych mieć sobie nie życzył — obawiano śmieśności; lękanó téj barwy żydowskiej jaką one nadać mogły domowi w którymby się odbywały. Każdy pochwalał, ale u tego było miejsca mało, tam ktoś chory, tu dnia wybrać ciężko. Ledwie nie ledwie Bartold się zgodził aby w jego mało uczęszczanym domu urządzić te wieczory izraelskie

na które sproszone naturalnie samych tylko żydów, chociaż na odgłos, o programmie znaleźli się ciekawi profani.

Nie potrzebujemy dodawać że z wielkiem utrapieniem dla Wtorkowskiej, ona i córka jej zaproszone zostały.... Wiele osób z obawy posądzenia o przywiązanie do tradycyi, ze strachu śmieszności, odmówiło przybycia lub w ostatniej chwili zachorowało na brak odwagi... izraelskiej.

Bartold sam zajął się tém gorąco. Żona jego cicha bardzo kobiecina, zajęta gospodarstwem, dziećmi i szkółką przez siebie urządzoną; skromna, mało znająca świata i nie bardzo pragnąca go poznać, szczęśliwa i dla tego nie chciwa, do przeskoczenia domowego progu, ani do zwiększenia kółka co ją otaczało, bojąc się by jej pokoju nie zamęcili ludzie — na żądanie wyraźne męża musiała się podjąć tego wieczora, którego kłopoty już z góry przewidywała.... Salon był obszerny, w domu nie zbywało na niczém, brakło tylko zwyczaju przyjmowania licznych gości; Bartold jednak z góry sobie powiedział że choćby co niezgrabnie wypadło, pierwszy się z tego rozśmiej. Do wielkiego tonu nie miał najmniejszej pretensyi.

Bartoldowa młoda, piękna kobiecina, małeń-

kiego wrostu, zręczna i zwinna, biegła zakłopotana na kilka dni przed owym odczytem... obawiała się okazać za mało gościnną, mąż lękał się tylko by nią nie była zanadto. Czarnemi oczkami goniła za nim niespokojna, pytając nieustannie czy nie zapomniała o czém, czy nie było jeszcze czego potrzeba....

Mieszkanie niezbyt wytworne, nie nadto smakownie urządzone, bo on sam przy wielkim rozsądku mało miał gustu i wcale nie czuł powołania do wykonania o nim, a ona żyła w swym kątku u dzieciennych kolebek... dowodziło jednak za-  
możności gospodarzy.

Tylko nie był to już ów dawny dom żydowski, w którym Mesusse widać było przy drzwiach każdego i świecznik siedmioramienny, i na ścianach obrazy symboliczne a napisy biblijne. Wyglądał europejsko, bez charakteru wybitnego, surowo, poważnie, żyda w nim domyśleć się było prawie niepodobna.

W dniu oznaczonym, nad wieczór, mała pani Bartoldowa, pozamykawszy dzieci, bo ją przestrzeżono że te się w towarzystwie pokazywać nie zwykły (co ją bardzo zdziwiło) — wystrojona już biegła kłopotząc się zawczasu czy przyniesiono

torty z cukierni, czy wszystko było w porządku, czy tam jeszcze czego nie brakło. Zaproszonych kobiet nie było wiele, bo kółko znajomych gospodyn bardzo było szczupłe; Muza, Tilda, parę pań średniego świata, które, choć po cichu, przyznawały się jeszcze że były żydówkami. Mężczyzn zeszło się więcej, pomiędzy nimi jednak nie było Manna, który na ten wymysł ramionami ruszał, ani ojca Tildy, gniewających się na te — żydowszczyzny kapcańskie, jak oni je nazywali.

Jakób przyrzekł tylko parę legend talmudycznych odczytać, resztę czasu zająć miała rozmowa i muzyka. Ciekawość sprowadziła tu Krudera który wszędzie być musiał gdzie się trochę ludzi zebrało i Iwasia który już po Warszawie się kręcił a chciał był wszelkiego życia i Wilka, który myślał korzystać ze zręczności dla zdobycia prozelitów i wielu innych.

Henryk przybył dla żony niby, w istocie więcej dla Muzy, przy której krześle coraz częstszym był gościem. Dla niego też mieszkanie Wtorkowskich w domu przez Jakóba zajmowanym było pożądane; odwiedzał często przyjaciela a zachodził tylko po drodze do pani Wtorkowskiej, która obawiając się go nieco, zaczynała dlań być kwaskowata. Wpadł-

szy jednak na myśl szczęśliwą pożyczania u niego pieniędzy, pogodziła się z nim nieco, Henryk słodkie chwile spędzane przy Muzie opłacał dosyć drogo. Matka w dodatku siedziała przy nich nieodstępnie z robotą.

Kieszeń pana Henryka na tę zimę bardzo się im przydała; namiętnie rozplomieniony, gotów był na ofiary.

Około godziny dziewiątej salon był już pełen, biedna gosposia z wypieczonemi rumieńcami od utrudzenia przyjmowała panie, drżąc i rumieniać się jeszcze co chwila mocniej.

Przy stole stała szklanka wody z cukrem i kilka książek które był Jakób wcześniej przysposobił; roznoszono herbatę; goście ledwie ją wypiwszy, dopominali się czytania; Jakób zasiadł i milczenie uroczyste dowiodło że go słuchać chciano z uwagą..

---

Nieprzywykły do czytania i mówienia publicznie, Jakób powiódł oczyma po zgromadzeniu, i zarumieniony począł drżącym i słabym głosem.

— Przebaczycie mi państwo, że nieśmiało otwieram usta, jest coś dziwnego w mojem położeniu żyda wśród żydów co prawie zapomnieli już iż niemi byli, przywykli się tego wstydzić i zapierać, a lepiej znają dzieje Anglii i Francyi niżeli swoje własne, historią Chin niż Palestyny, literaturę sanskrycką niż hebrejską.

Zarzucano nam niegdyś odosobnienie się, było ono nie naszą winą, dziśby nam można wymawiać że przestawszy być sobą, nie jesteśmy niczém jeszcze.

Z tym krajem; w którym żyjemy, połączeni z nim węzłami licznymi, jesteśmy prawie w walce i boju nieustannym, z naszą przeszłością w rozwoju. Tę to przeszłość i poetyczne jej utwory chciałbym wam przypomnieć. Czas jest przecież ocenić je po ludzku i co w nich pięknego, charaktery-

stycznego jest, podnieść. Naród który ma najstarszą praw księgę, sięgającą tych wieków gdy Bóg wprost oddechem swym żywił młodociane ludzkie plemię, w późniejszych téż epokach nie pozostał bez literatury, poezyi i pamiątek piśmiennych.

Urywków ułamkowych dawać nie chcę z tego ogromnego skarbcza podań i poezyi, ale opowiem żywot jednego męża, na który składały się historia, tradycya, poezya; starczy on na ten raz. Bohaterem mojej powieści będzie słynny uczony Rabbi Akiba.

Był on naprzód ubogim tak że służył za pastucha u bogatego Kalba Szabua... pochodzenie jego niewiadome. W dojrzałym już wieku służąc w tym domu, pokochał córkę gospodarza, a miłość była dlań początkiem mądrości. Dziewcze postrzegło rozwijające się uczucie, podzielało je, ale czytając miłość w oczach Akiby, użyło jej za narzędzie do podźwignięcia człowieka, w którym dostrzegło dary wielkie umysłu i serca, leżące odłogiem.

— Jeżeli ci rękę oddam, rzekło, i stanę się twoją — musisz mi przyrzec że się cały nauce poświęcisz.

Akiba przyrzekł, zaślubili się potajemnie, ale



ojciec dowiedziawszy się o tém małżeństwie, oburzony wyrzekł się córki swój i wraz z mężem wygnał ją z rodzicielskiego domu.

W pierwszych dniach nie wiedzieli gdzie się podziać nowożeńcy, błędzili bez przytułku, bez chleba prawie, a noce spędzali na garści słomy pod gołym niebem. Podanie mówi, że piękne, czarne włosy żony Akiby pełne raz były startej słomy, a mąż obierając ją z warkoczów, wdychał nad tą nędzą swoją.

— O duszo moja, mówił do niej czule, gdybym mógł, o jakżeby cię przystroił i kosztownościami okrył całą... Złotą Jeruzalem zawiesiłbym na piersiach twoich.

(Ozdobę złotą z wyobrażeniem miasta Jeruzalem nosiły zwykle bogate Izraelitki.)

Gdy to mówił nie postrzegł jak się zbliżył nędzarz odarty i rzekł mu:

— Mieście litość nademną, dajcie mi garść waszej słomy, żona moja chora leży w boleściach, nie mam co podesłać pod nią.

Akiba tknięty jego mową, zwrócił się do żony.

— Patrzaj, rzekł, oto ten biedak nędzniejszy jeszcze jest nad nas. (Talmud. Nedarim.)

Dotrzymując słowa danego żonie, Akiba który

wprzódę uczonych nie cierpiać a naukę miał w pogardzie, udał się do szkoły publicznej w Nachum Gamsu, i chociaż dorosły począł od najniższych stopni.

Legenda mówi że gdy szedł smutny rzuciwszy żonę, natrafił zamyślony idąc na mały wody strumień, który przebiwszy skałę na wylot, płynął utworzywszy nad sobą sklepienie. Obraz ten go uderzył.

— Jeżeli słabe wody krople, rzekł w duchu, mogły tę twardą przebić opokę, czegoż nie dokażą rozum i wola człowieka? czegoż nie dokażą święte słowa pisma Bożego na miękkim umyśle ludzkim?

Tak nabrawszy odwagi, stanął przed przyszłymi nauczycielami swoimi. Podanie mówi, że miał wówczas lat blisko czterdziestu a nic się wprzódę nie uczył. Począł więc od głosek i niecierpliwie idąc dalej, postępował w nauce. W domu zamknięty rozmyślał nad tém czego się uczył w szkole, badając samego siebie o przyczynę każdej rzeczy, rozważając prawo wszelkie, usiłując rozwiązać każdą następującą się wątpliwość.

Ubogim będąc i nie mając żyć z czego, szedł każdego dnia zbierać drzewo, sprzedawał swą wią-

zkę na targu, połowę zarobku żył a drugą odkładał na odzież i inne potrzeby.

Żona jego wygnana przez ojca, poszła na służbę i żyła nędznie, mężowi przesyłając -wszakże nie wyrazy stęsknienia i bólu, ale zachętę do pracy.

Trwała nauka wedle podań lat dwanaście, Akiba przeszedł swych mistrzów, z ucznia stał się słynnym nauczycielem, otaczały go tłumy słuchaczy, kilkanaście tysięcy młodzieży.

Żona spokojna oczekiwała jego powrotu. Miała ona sąsiadkę dokuczliwą, która jej nieustannie wytykała to że była opuszczoną przez męża, że ją jak wdowę samą jedną porzucił.

Biedna kobieta odpowiadała jej cierpliwie:

— Jam sama tego żądała, wymagałam aby lat tyle poświęcił nauce, prosiłam go żeby ją przedłużył jeszcze lat dwanaście.

Doniesiono o tém Akibie, który z danego pozwolenia korzystał i pozostał znowu nad swemi księgami.

Liczba jego słuchaczy pomnożyła się we dwójnasób; nareszcie dobiegł kres lat naznaczonych i Akiba wyruszył w strony rodzinne.

Sława jego już była naówczas głośną, całe mia-

sto wyszło przeciwko niemu, w tłumach szła też i pocziwa żona jego.

— Jakże ty śmiesz w tych oszarpanych łachmanach stać przed nim? pytała ją zła sąsiadka.

— Mąż mój, odpowiedziała, zna duszę moją.

Gdy się z sobą spotkali, żona rzuciła mu się do nóg i ucałowała je. Uczniowie mistrza nie znając jég odepchnąć chcieli, ale wstrzymał ich, mówiąc:

— Puśćcie ją, gdyż to czém jestem i czém wyście się stali, jég jest zasługą. (Ketuboth.)

Stary teść Akiby przebaczył mu nareszcie i oboje z córką wziął do swego domu, dzieląc się z nimi dostatkami swemi.

Nauczycielami Akiby byli dwaj, ale różnego ducha mężowie, Eliezer potężnego umysłu, którego zwano naczyniem zamkniętém, bo kropli nie uroził z tego co przez usilną pracę zebrał, i Nahum przebiegły a bystry, rozbierający drobnostkowo rzecz każdą, zapuszczający się głęboko w badania. Z obu ich uczeń korzystał zarówno; od pierwszego wziął naukę, od drugiego zmysł jego krytyczny.

W tych czasach gdy Akiba rozpoczynał nauczanie, krążyło mnóstwo podań i tradycji nagromadzonych przez wieki, lecz w piśmie nie zawartych jeszcze; Akiba usiłował dla utrzymania ustnych

podaił podeprzeć je powagą pisma, wnikając w najtajniejsze jego skrytości, tłumacząc, objaśniając, wywodząc. Stworzył on szkołę i metodę nową, która nadała życie nauce i wzbudziła uwielbienie powszechne. Zgodzenie tradycyi z pismem było głównem pracy jego zadaniem.

Metoda jego była ścisłą i żmudną aż do drobnostkowości, wymagał od nauczycieli i od uczniów, aby niewiele, powoli i powtarzając jedno nauczali. Gospodarz, mówi o nim współczesny, w jeden kosz zsypuje wszelkie ziarno spadłe zbierając je w polu, ale przyszedłszy do domu przebiera je i każde odkłada z osobna; tak uczeń powinien postępować z nauką, oddzielić część jej każdą, rozebrać, uporządkować.

Była to chwila gdy życie religijne silnie obudzone gorzało; tworzyły się sekty, walczyły przekonania różne, wykłady odmienne, odszczepieństwa; filozofia starożytna świetna i jasna nęciła swoim urokiem, chrześcijaństwo zyskiwało codzień nowych prozelitów głównie pomiędzy żydami; gnostycyzm także poetyczne mrzonki swoje szczepił na starym pniu monotheizmu żydowskiego.

W tym czasie gdy wielu nawet z inieędzy uczonych żydowskich nawracało się i odstępowalo od

judaizmu, żył właśnie Akiba, usiłując utrzymać się wiernym starym religijnym podaniom.

Jedna z legend o nim powiada, że tak głęboko sięgnął w tajnie samej istoty Bożej, iż aniołowie przełękli chcieli ukarać zuchwalstwo jego, ale Bóg wstrzymał mściwych wysłańców. — Zostawcie go w pokoju, rzekł — godnym jest, aby rozpamiętywał wielkość moją.

Akiba który życie poświęcił nauce i kształceniu się surowemu, był też niesłychanie surowym w ocenianiu spraw ludzkich i wszystkiego co w oczach pogan uchodziło za cuda. Zimną krytyką faktów zbijał on mniemane czary, a na zapytania odpowiadał wskazując niezmiennie, istotne natury prawa.

Troskliwość o zachowanie czystości nauki, narażonej wówczas na najrozmaitsze wykłady skłoniła Akibę do zakazu czytania ksiąg potajemnego, szczególnie heretyckich. Samo nawet pismo święte przepisane przez odszczepieńca już za sprofanowane i niebezpieczne uważał... Ta srogość nauki nie tylko odstręczała od niego, ale nadawała mu wielką powagę. W całej Palestynie, piszą współcześni, nie było równego mu męża „serce jego święte i myśli wielkie jak złocista opona okrywały pismo Boże.“ Pomimo téj wziętości Akiba pełen był pokory.

Podanie mówi, że gdy raz szkoła już pełną była ludzi, a uczniowie wszyscy, obyczajem wschodnim siedzieli na ziemi, tak iż Akiba na miejsce swe inaczej by był przejść nie mógł jak deptając po głowach tłumu, wołał pozostać ostatnim przy drzwiach, niżeli się tego dopuścić. Wszyscy żądali aby zajął miejsce swoje, lecz on usiadł u nóg ostatniego ze słuchaczy, aby się nie przedzierać deptając ludzi.

Znakomity uczony tamtego czasu Rabbi Ismael, opłakiwał śmierć ukochanego syna. Było zwyczajem że cała szkoła w takich razach udawała się do siedzącego w żałobie, dzieląc jego boleść i cześć mu wyrządzając. Razem z innymi przyszedł doń i Akiba. Ale gdy miał w imieniu wszystkich przemówić do ojca, głosu podnieść nie chciał, aby się nie zdawało że szkole przodkować pragnie.

Gdy potem po stracie jego własnego dziecka, przyszła doń szkoła cała, rzekł w pokorze.

— Przyjmuję cześć mi wyrządzoną, albowiem nie mnie ją oddajecie, ale religii której jestem nauczycielem. Im człowiek więcej wynosi się z nauki swojej, mawiał, tém się staje godniejszym pogardy.

Gdy któryś z nauczycieli cieszył się zbyt z odniesionego w rozprawach zwycięstwa, Akiba mu rzekł ze smutkiem: Jaśniejiesz radością ja bo-

leję nad zwycięstwem twojem, gdyż czuję że pokutować za nie będziesz.

Mówią że gdy raz wielka posucha trwała przez czas długi w Palestynie, nakazany został post i modlitwy dla uproszenia deszczu... Akiba zaledwie usta otworzył, ukazały się chmury i obfite potoki zlały ziemię spragnioną. W najtrudniejszych razach wybierano go dla łagodności charakteru i spokoju ducha, by między poważnionymi zgodę czynił, nieprzyjaciół przejednywał — słowa jego niesły zawsze z sobą pokój i miłość.

Treścią nauki jego było: Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boże, bodziec mieć powinien w tém, że do doskonałości dążyć może; obowiązkiem jego cnota, największą dostojnością nauczanie wiary. — Wszystko przewiduje Opatrzność, ale człowiek jest wolnym... Sumienie samo karze grzesznika.

Wedle Akiby kara za grzechy doczesne po śmierci wiekuistą być nie mogła, niektórzy rabbini przyjmowali wieczne potępienie, on je odrzucał.

Najczęściej zwykł był powtarzać wyrazy: „Bóg wszystko wie dzie ku dobremu.“ Szczególniej w boleści, obawie, strachach i dolegliwościach pocieszał się tą myślą.



Raz, będąc w podróży, miał z sobą osła i koguta. Na noc, mówi legenda, przybył do jakiejś wioski szukając gospody po domach, ale mu przyjęcia odmówiono.

— Bóg wszystko wie na dobre, rzekł i odszedł na nocleg do gęstego lasu, zapaliwszy światło. Ale wiatr latarnię mu zagasił — położył się więc gdzie stał, powtarzając ciągle jedno:

— Co Bóg dał, dobrze dał!

W téj chwili dziki kot zadusił mu koguta.

— Co Bóg dał, dobrze dał! rzekł znowu.

Wilk przypadł i rozdarł mu osła, powtórzył jeszcze toż samo spokojny. — Ale podanie tłumaczy iż w istocie wszystkie te straty i utrapienia na dobre mu wyszły, ratując życie.

Pokora i ufność w Opatrzności cechami są wybitnymi jego charakteru.

Raz u łoża konającego świątobliwego człowieka, gdy wszyscy boleścią jego boleli z nim razem, jeden Akiba okazał się wesół i spokojny.

Zapytano go o przyczynę.

— Nie ma człowieka bez grzechu, rzekł, raduję się więc że ten cierpieniem za winy swe odpokutuje.

Inny uczony leżał złożony chorobą, trzój starcy

odwiedzili go razem z Akibą. Pierwszy z nich zaczął go wychwalać:

— Nauka jego pożyteczniejszą jest dla Izraela niż deszcz dla ziemi, gdyż deszcz rzeźwi i budzi pola do żywota cielesnego, a jego mądrość ukaja duszę do duchownego, wiecznego życia.

Drugi rzekł:

Mądrość jego pożyteczniejszą jest niż światło słoneczne, bo światło słońca wiedzie nas po ziemi, a nauka jego ku niebiosom.

Trzeci mówił:

— Tyś dla Izraela więcej niż ojcem i matką, gdyż ci dają ziemskie życie, ty niebieskie.

Gdy kolej przyszła na Abibę, ten począł:

— O! jak słodko jest cierpieć na ziemi.

Chory tknięty do głębi temi wyrazy, obrócił się do przytomnych i rzekł:

— Podnieście mnie, abym mógł lepiej tych słów świętych słuchać.

Wśród cierpień narodu, mawiał:

— Przystoi Izraelowi boleść, jako białemu rumakowi cugle purpurowe.

Wiara jego była, rzecz można, wstydliwą, zamykał się sam na długie modlitwy, w obec ludzi

modłać się krótko, a obowiązki powszednie życia spełniając gorliwie.

Pomimo że pismo nakazuje obchodzić święta wytworniejszemi sukniami i jadłem, Akiba zawsze w obojgu był bardzo skromnym.

— Bóg, mawiał, łatwiej wybacza grzechy popełnione przeciwko Niemu, niż ze szkodą bliźnich; sprawiedliwość należy nietylko Izraelicie od Izraelity, ale i poganinowi.

Maluje dobrze i epokę i mędrca i naukę jego zadanie moralności praktycznej, które na sposób wschodni do rozwiązywania uczonym daném było.

Dwóch ludzi znajduje się na pustyni, mają oni z sobą jedną niewielką wody flaszkę, mogącą ocalić człowieka, ale nie ich obu. Idzie oto jak powinni postąpić? Jeśli się tą wodą podzielią, nie starczy ona aby obudwóch uratowała, oba więc zginą.

Rozmaicie rozwiązywano zadanie, wielu było za tém aby się oba dzielili wodą i umarli, Akiba za obowiązek uważał, aby się jeden poświęcił i życie drugiemu ocalił.

Rozwiązywał to surowym musem i prawem, a nie miłością.

W innym razie oświadczył się także przeciwko sądowej karze śmierci, wysoko ceniąc życie ludzkie.

Stawszy się bogatym przez teścia, Akiba był ojcem ubogich, wszystkich stowarzyszeń miłosiernych wodzem i opiekunem. Mawiał on, że kto nie ratuje chorego, ten winien jest, jak gdyby go zabił. Świętość małżeństwa wysoko podnosił.

Zburzenie Jeruzalem, świątyni i męczeństwo całego narodu nie zachwiało w nim wiary w Opatrzność i niemylność praw Bożych, w nadzieję miłosierdzia. Patrząc na zwycięzców, płakali otaczający go, on jeden wśród dymiących ruin grodu świętego uśmiechał się spokojnie... pocieszał niezwalczoną nadzieją lepszej przyszłości.

Był on dla współbraci otuchą i podtrzymywał ich w dniach zwątpienia, miłością narodu swego, przywiązaniem do wiary i obyczaju. Mimo to, pod ostatek życia, zebrał się przeciwko ciemnościom Rzymianom w duszy jego gniew wielki; gotów na męczeństwo, zdawał się go oczekiwać.

Żył Akiba w czasie najgwałtowniejszego prześladowania Rzymian, straszliwego, bezdusznego rozlew krwi swoich braci, za dni Domicyana cezara które liczono morderstwami, gdy na wydanie ludzi na męczarnie dosyć było podejrzenia i fantazyi mści-

wych nieprzyjaciół. Stan żydów, chociaż ich więcej nad innych różnowierców nie prześladowano, był okropny... Świeże jeszcze rany nie przebolały... Vespazjanowy ucisk się przedłużał, łączyła się doń pogarda i sromotne z żydami obejście. — Zabierano mienia tych, którzy je ukryć zdołali od rabunku, ścigano spokojnych... Rozeszła się wieść w tych dniach męczarni iż pomiędzy żydami znajduje się potomek Dawidów... ułęknięto się aby pod jego wodzą nie powstał żydzi. — Nakazano śledzić pilnie, dość było podejrzenia najłżejszego by być w ręce katów wydanym. Domicyan tępił i zabijał chcąc koniecznie tego królewskiego potomka wynaleźć.

Prześladowano nietylko żydów, ale licznie naówczas na wiarę żydowską nawracających się; Akiba wielu pogan miał pomiędzy uczniami swoimi. Niewiasty rzymskie i całe rodziny przyjmowały monoteizm Hebreów. Karano ich śmiercią, wygnaniem, zabranie majątku. Tak Domicyan krewnego swojego posądzonego o judaizm (a może o wiarę chrześcijańską) Fleviusa Clemensa skazał na śmierć, a żonę jego Domitillę na wygnanie. Podanie mówi, że Aika udał się do Rzymu, aby postanowioną już rzeź odwrócić, że jeden z Senatorów mu do tego

dopomógł i życiem to przypłacił. Umierając miał mienie swe przekazać Akibie.

Po śmierci Domicyana, w czasie krótkiego panowania Nerry, żydzi mieli parę lat spokoju; prześladowania ukrócono, nałożone na nich podatki zniesiono. Pierwsze lat dziesięć panowania Trajanowego były też dosyć szczęśliwe, ale miały się opłacić boleśnie. Wyprawa Trajana przeciwko Parthom, w ciągu której rozproszeni po Syrii, Mezopotamii, Armenii i Persyi żydzi opór mu stawili, rozdrażniły Rzymian. — W Syrii wymordowały legiony żydów mnóstwo.

Hadryan prześladował szczególnież uczonych, którzy uczucie narodowe żywili i przechowywali. — Wybuchło powstanie żydowskie w czasie zamieszek nad Eufratem, i żydzi korzystając z tego w Cyrenie, Cyprze, Egypcie wielu Rzymian wymordowali.

Akiba w tych straszliwych czasach nie siedział nad księgami i w szkole, stał się mężem czynu. — Rzucił on nauczanie i udał się w dalekie kraje obudzać męztwo swych braci, sam życie swe nieustannie narażając. — Przebiegł tak Cyrene, Cypr, Egipt, oddalone wyspy i grody, siejąc wszędzie przyszłego powstania nasiona.

Udał się w ciągu tych wędrówek do Nisibis, sła-

wnój w owych czasach ze swój szkoły, był w Arabii; jest rzeczą dowiedzioną że Izraelici mieli udział wielki w wywalczonój niezawisłości grodów perskich. W Cyrenie wodzem ich był niejaki Andreas, w Cyprze Artemion. Trajan wojował w Babylonii, a Lupus wódz jego w Egipcie pobity został przez Egypcyan połączonych z żydami. Andreas udał się do Palestyny dla poburzenia tamtejszych żydów; w Mezopotamii powstanie pod oczyma Cezara wzrosło straszliwie.

Ale nareszcie Martius Turbo uśmierzył Cyrenę, Andreas padł w boju, Hadryan zwyciężył w Cyprze, Lucius Quietus nad Eufratem i w nagrodę otrzymał rząd Palestyny.

Po tych wypadkach zemsta Rzyman przeciwko Izraelitom nie znała granic, rozpoczęło się dzikie prześladowanie wiary i narodu. Pod karą śmierci zakazywano żydom zachowywać ich przepisy religijne, sądzono że wykorzeniając wiarę, przez nią zniszczą narodowość.

Akiba wśród tych prześladowań okazał się niezmordowanym i nieuleknionym, podtrzymywał mężstwo braci, wynajdował środki oparcia się, uniknięcia srogich przepisów. — Tajemnice wiary, obzędy religijne postanowiono spełniać po domach.



Akiba w podróżach swych, które przedsiębrał nieustannie życie narażając, starał się obudzić miłosierdzie rozproszonych braci dla tych co cierpieli prześladowanie, wyjednać dla nich pomoc. Wymowę swoją do łez pobudzał, naród porównywając do Hioba.

Zdaje się że dawne stósunki wiązały go potajemnie ze sławnym Bar Kochbą... lękano się o jego życie. Na łożu śmierci Eliezer upomniął go aby więcej ksiąg pilnował. — Zaczęto jednak ścigać zażarcie rabbinów i uczonych. Rufus ostatki świątyni zburzonej kazał niszczyć aby wspomnień i żalu nie budziły. — Gamaljela na śmierć skazano.

Quietus spełniał surowo wyroki Trajanowe; ale żydzi mężnie znosili prześladowanie, przywiązując się mocniej jeszcze do wiary i narodowości, których zachowanie stanowiło dla nich pociechę i rodziło nadzieję... Bardzo niewielu liczonego odstępców, pomiędzy nimi był Eliszah, uczony w prawie izraelskiem i greckiem, którego zdrada zasmuciła wszystkich.

Eliszah wiodąc Rzymian za sobą, wpadł na zgromadzenie rabbinów, zmusił ich do przerwania obrzędów i odkrył sposoby jakimi starali się uniknąć prześladowania Rzymian.



Przelekli się naówczas starsi aby podobną zdradą własnych braci cały naród nie był zmuszony do odstępstwa. Zebrała się rada tajemna, szukano środków ocalenia. Postanowiono gdyby kto groźbą śmierci zmuszony był do złamania prawa Mojżeszowego, słabość tę uniewinnić, dla ocalenia życia mniej wytrwałych. W trzech tylko wypadkach groźba śmierci nie uwalniała; gdy szło o bałwochwalstwo, mord i nieczystość.

Z wielu ofiar ówczesnych historia wspomina szczególnie dwóch braci Juliana i Pappusa, których wiek młody, niewinność, mężstwo wobec śmierci, męczennikami uczyniły. Rozkazano im złożyć ofiarę bałwanom, a gdy odmówili sam kat ulitowawszy się ich młodości, dał im do zrozumienia, że byle tylko pozornie pokłonili się posągom, od śmierci mogą być wolni. Młodzieńcy wszakże nie chcieli swem odstępstwem boleści uczynić współbraciom i nieustraszeni poszli na śmierć. To bohaterstwo wzruszyło niewymownie wszystkich; poszli na radę starsi do poważnej matrony, za świętobliwą uważanej i za jej zdaniem idąc udali się do Rzymu. Tu rozproszywszy się po ulicach miasta, bładzili wołając: O nieba, czyż nie wszyscy

ludzie jesteŝmy bracią, synami jednego ojca? jedn j matki? nie jesteŝmy  my ju  ludźmi?

Podania hebrajskie m wią  e ta boleŝć tak wielka, to wołanie wzruszyło i skłoniło Rzymian do litoŝci,  e Trajan w ostatnich latach panowania przeŝladowanie ukrocił.

Dzień w kt rym odwołano dawne rozkazy, uczczono jako ŝwi to, nazwano go imieniem Trajanowem.

Akiba w tym czasie opuŝcił był państwo Rzymskie, gdzie podejrzenia i niech ci ludzi wszelką działalnoŝć tamowały, u ał si  na Wsch d dla zagrzewania serc wsp łbraci rozproszonych. Jakiŝ czas przebył on w Zephyrium w Cylicyi, potem w stolicy Kapadocyi, w Mezopotamii, w Apamea, nad Eufratem, nawet w Ethiopii, gdzie z panuj cym na wczas mi ł stosunki. Wsz dzie starał si  zbadać potrzeby, stan narodu i poło enie wygnańc w. Naostatek gdy si  przeŝladowanie nieco uspokoilo powr cił do kraju, aby korzysta  z pokoju i pracowa  w nim około jego przyszł ci.

Po ŝmierci Trajana nast pca jego Hadryan odwołał srogiego Quietusa i os dził go na ŝmierć, ale zadane przezeń narodowi  ydowskiemu rany nie zawarły si  jeszcze, wspomnienia ich były ŝwie e

i przerażające. — Wiele niewinnych ofiar budziło pragnienie zemsty, mnóstwo ludzi znaczących padło, głowy rodzin, nadzieje przyszłości. Łatwo było w takim stanie ducha Akibie umysły rozgrzać i pobudzić.

Rozbolały naród jeden mąż energiczny poruszyć może, słowo jedno miota tłumami. Mężem który miał nieszczęśliwych Izraelitów obudzić i podnieść ku obronie praw swoich, był Symon Bar Kochba, co oznacza syn Gwiazdy. Nadano mu to imię dla uczczenia go, a później gdy się wybuch nieszczęśliwie zakończył uwiedzione ofiary zmieniły je łatwo na Bar Kosiba... syna fałszu.

Bar Kochba śmiały, przedsiębiorczy, powierzchowności ujnującej, podstawy wzniosłej, miał wszystkie przymioty wodza powstańców.

Hadryan który państwo swe objeżdżając znalazł je całkiem spokojném, miał mieć naówczas rozmowę z jednym z rabbinów, pozwalając na odbudowanie świątyni, której wzniesieniu później przeszkodzono. Właśnie w czasie téj podróży Cezara, Akiba udał się do Bar Kochby a poznawszy bliżej mężstwo jego i energią, zdumiony wielkimi przymioty, nazwał go gwiazdą Jakóba, ogłosił Mesyaszem.

W Talmudzie były przepowiednie że przyjsście zesłańca Bożego mają straszliwe klęski poprzeździć; zastosowano do nich niedawną krwawą przeszłość. Akiba ją wykladał, popierał go, ale wielu znalazł niedowiarków. Oznajmiono ludowi przyjsście Messyasza, tłumy zapaliły się nadzieją blizkiego oswobodzenia, zbiegły się tysiące pod dowództwo Bar Kochby, do nich przyłączyli się poganie z ohdy ucisku rzymskiego.

Przysposabiano oręż potajemnie, zawiązano stosunki z twierdzami, po całym kraju, Bar Kochba miał się za niezwyciężonego, ufając w wojska swoje. Wedle podań nie przyjmowano do nich nikogo, kto wprzód na próbę siły, drzewa z korzeniem nie wyrwał.

Wzdęty pychą wódz powstańców miał rzec: Boże, jeśli mi pomagać nie chcesz, nie posiłkuj przynajmniej nieprzyjaciołom moim, my ich sami zwyciężym.

Ta pycha i zarozumiałość jak zawsze i wszędzie, zwiastowały upadek dumnego.

Na pierwszy odgłos o gotującym się wybuchu pospieszył Rufus, rządca Palestyny, ale w spotkaniu został pobity i to rozniosło pożar szerzej jeszcze, wzmagając siły Izraelitów. W ciągu roku

zdobyli oni pięćdziesiąt twierdz, grodków i dziewięćset osmdziesiąt pięć wsi. Hadryan który z razu mało przywiązywał wagi do tego ruchu, po pobiciu wojsk swych, uczuł niepokój. Żydzi ośmieni odmówili podatków. Główną wagą dla dalszego wojny postępu była twierdza Bitar w Palestynie. Tu stolicę swą założył Bar Kochba, i jak panujący, bił monetę od swego imienia nazwaną. Po dwóch latach walki próżnej i krwi rozlewu Hadryan powołał z Brytanii najdzielniejszego z wodzów swych Severa i posłał go naprzeciw zbuntowanemu. Ale Żydzi tak się byli mocno osadzili w zajętych przez się stanowiskach iż Severus stanowczą bitwę wydać im nie mogąc, szarpał tylko napadami, odejmował żywność, ścisnął, osaczał, szarpał, dopóki Izraelitów w Bitar nie otoczył. Tu zmęczony głodem i brakiem wody Bar Kochba, wystąpił do rozpaczliwej walki, broniąc się zajądło. Gdy iuni się bili, pobożny Eliezer na poście i modlitwie błagał pomocy Bożej, ale oskarżony o zdradę przez zapalczywego wodza zabity został. Ta śmierć niewinnego była jakby przepowiednią upadku. Wkrótce potem Bitar wzięli Rzymianie, a Bar Kochba poległ w boju.

Ofiary tej wojny liczono do pół miliona głów,

poległych od miecza, głodu, na polach bitwy i w rzeziach mściwego nieprzyjaciela. Kosztowało wszakże i Rzymian to zwycięstwo tak wiele, że się niém nie bardzo chlubić mogli. W rocznicę zburzenia świątyni jerozolimskiej, dnia 9. Ab przypadło wzięcie Bitar, dzień to był pamiętny klęskami dla narodu. Ścigano potem pozostałych którzy się kryli po lasach i pieczarach. Zgłodniali karmili się trupami swych braci, a wielu wywabionych zdradziecko ze schronień pozabijano. Innych posprzedawano w niewolę, przepełniono nimi więzienia. Hadryan odnowił edykt Trajana zabraniający obrzędów i zachowywania praw, nauczania pisma i wiary. Rufus powołany po Sewerze do zarządu Palestyny, sroższym się jeszcze okazał dla słabych, bo mu dojmowało upokorzenie dawne. Jerozolimę kazał Cezar osadzić poganami, posągi swe wznieść na górze na której była świątynia, a na gruzach jój nową bóżnicę Jowisza kapitolńskiego. Imię nawet Jeruzalem zmieniono na Aelia Capitolina, od imienia Hadryana Aelius. Do stolicy ich dawniej wzbroniono przystępu Izraelitom. Na bramie wychodzącej ku Betlehem, wystawiono świnia głowę, na urągowisko i ohydę żydom.

Zdaje się że Akiba, który moralny tylko miał



udział w tym ruchu, w pierwszych chwilach po uśmierzeniu powstania, pozostał wolnym. Ale największe prześladowanie żarliwości jego dla wiary złamać nie mogło; na widok towarzyszków swych ścinanych i mordowanych wołał przeczuwając swój koniec:

— Gotujmy się na śmierć! dni wielkiej żałoby przed nami.

Szpiegi Rufusa śledzili kroki Izraelitów, szczególnież zwracając bacność na mężów uczonych i wykładaczy prawa. Akiba nieustraszony wszędzie publicznie nauczał wiary, próżno go ostrzegano.... Schwytany w chwili gdy wykładał księgi święte, zaprowadzony został przed Rufusa; ten osądziwszy go za jednego z głównych ruchu przewodzców, kazał wrzucić do więzienia i wyznaczył na ofiarę.

W ciemnej kaźni, o chlebie i wodzie, osamotniony, nie upadł na duchu Akiba, starając się i tu zachowywać o ile mógł przepisy prawa. Opis tych scen więziennych maluje człowieka surowości i potęgę ducha narodu. Akiba nie mając wody, ostatnie jój krople zlewał na ręce, zamiast się nimi orzeźwić, aby mógł oczyszczony przystąpić do modlitwy. Mnóstwo takich rysów przywodzą podania.



W więzieniu nawiedzał go, badał, uczył się od niego Rufus, jakby mógł srożej jeszcze żydów ciemiężyć. Odpowiedzi Akiby zachowane w podaniach świadczą o spokoju jego ducha i niezachwianej odwadze. Pozostali bracia pozbawieni jego rad, często uciekali się do najprzebieglejszych środków aby do niego dostać się mogli. Zapłacono czterysta Susim jednemu który ofiarował się przedrzeć do więzienia, aby żadaną odpowiedź (gdy uwolniony zostanie) przynieść od Akiby. Inną razą poprzebierani za przekupniów przychodzili wyszukanemi słowy tajemniczemi z nim rozmawiać. Przed zgonem dozwolono, jak się zdaje, widzieć się z nim synowi, gdyż nauki które mu dawał legenda powtarza.

Akiba skazany nietylko na śmierć, ale na srogie męczarnie, miał mieć z głowy zdartą skórę żelaznemi grzebieniami; szarpany okrutnie nie wydał jęku, a gdy wśród mąk nadeszła zwykła godzina modlitwy Szema, wyrzekł ją całą głosem spokojnym. Przeleżał kat nawet sam zapytał go czy miał jakie czary przeciwko boleści.

— Nie mam żadnych czarów, odpowiedział męczony, czuję boleść jak inni ludzie, ale w głębi duszy się cieszę, bom dawno pragnął miłość ku Bogu poświadczyć ofiarą życia mojego. Teraz przyszła

spełnienia jój godzina, dla tego wesół jestem.... To rzekłszy dalej odmawiał modlitwę i przyszedłszy do słów: Bóg jeden i jedyny, ducha wyzionał.

Wierny przyjaciel Akiby Jehoszua z Gerasa, który pożegnał go w więzieniu idącego na śmierć, poszedł smutny do domu. Legenda powiada iż na progu jego ujrzał postać podróżnego siedzącego (proroka Eliasza), który go zapytał:

— Nie żądasz li czego odemnie?

Jehoszua powitawszy go spytał, ktoby był i w jakim celu przybywał....

— Jestem kapłanem, rzekł mu prorok, a przybywam oznajmić ci iż Akiba leży zabity w więzieniu.

Naówczas oba z nieznajomym udali się do więzienia; drzwi jego stały otworem, odźwierny spał, więźniowie byli uśpieni. Przybyli idąc ostrożnie doszli do lochu w którym spoczywały zwłoki, wzięli je na nosze i niepostrzeżeni przez nikogo wynieśli. A gdy wyszli za mury prorok sam zażądał ciało nieść na ramionach.

— Jakże ty kapłanem się mieniąc, możesz zwłoki nieść na barkach? zapytał Jehoszua zdziwiony.

— Bo w takich ludziach jak ten który zmarł,

nie ma nic nieczystego, odpowiedział prorok. Idź za mną i milcz.

Całą noc szli z tym ciężarem, aż przybyli do miejsca zwanego Antefros. Tu droga spuszczała się w dół, na trzynaście stopni, po których zstąpili, potem trzydzieści w górę, i stanęli u wnijscia pieczary.

Otworzyła się jaskinia przed nimi i wszedłszy znaleźli tu łoże, stół, siedzenie, światło przysposobione, położyli więc zwłoki i gdy wracali światła zapłonęły a pieczara się zamknęła za nimi.

Eliasz zniknął wołając: Szczęśliwy, sprawiedliwy dla którego zgotowane jest miejsce poczyste tu na ziemi a nieśmiertelne w niebiesiech (Jalkut).

---

W czasie dosyć długiego opowiadania Jakóba, milczeli wszyscy słuchając; wrażenia były różne, malowały się one na twarzach przytomnych uśmiechami, powagą, wreszcie znudzeniem i niecierpliwością, ale gdy skończył, wszyscy niezmiernie gorąco dziękować czuli się obowiązani.

Powoli zarzuty z różnych stron odzywać się poczęły.

— Wiele w tém poetycznych fantazyi, rzekł Henryk.

— Tak jest, odpowiedział Jakób, ale każdy wiek osadzając drogie kamienie w arce podań, stara się nadać im blask, aby niemi swe bogactwo, dostatek i charakter oznaczył. Legendy tworzą się na obraz i podobieństwo narodu.

— Ja legend nie lubię, ozwał się inny, to są zmyślenia.

— Tak są to zmyślenia, rzekł broniąc się Jakób, ale prawda historyczna nie większej jest wagi

nad prawdę podaniową, która poświadcza ducha. Dzieje opisują fakta, legenda daje ich pojęcie. Nie mniej maluje wiek to co człowiek *mówi*, nad to co *czyni*.

— Jakoś te dzieje dzikich prześladowań dziś wydają się nieprawdopodobne, mówił trzeci.

— Mogą się przecie powtórzyć z największymi szczegółami dziś jeszcze.

— O! dziś!!

— Tak, odparł Jakób — czy na nas czy na innym narodzie; zemsta dzika upojonego zwycięzcy zawsze idzie jednemi drogami. Za Nerona, Domicyana, Trajana, Hadryana... czy za... Niedokończył, uśmiechano się niedowierzająco.

— Ależ przecie w XIX. wieku!!

— W XIX. wieku! wzdychając rzekł Jakób, *utinam sim falsus vates!*

— Ale pan nam, przerwała piękna Muza, winienieś przecie coś weselszego, przystępniejszego dla nas... coś z literatury hebrajskiej.

— Nie trudnoby mi znaleźć, odezwał się Jakób, ciężki tylko wybór z tych opowiadań, legend i niekiedy bardzo dowcipnych talmudycznych przypowieści.

— Posłuchajmy!

Jakób przewrócił kilka kart i począł:

— Rabbi Gamaljel rozmawiał raz z pewnym księżciem pogańskim o stworzeniu niewiasty, które mu opisał tak jak ono stoi w księgach biblijnych.

Wysłuchawszy książe się odezwał:

— Mój kochany, pan Bóg wasz był więc poprostu złodziejem; jakże napadł tego biednego Adama we śnie i wychwycił mu — żebro.

Przytomną rozmowie była młoda córka Gamaljela.

— Pozwól, szepnęła mu do ucha... żebym ja mu odpowiedziała.

Rabbi skinął że się zgadza; a dziewczę poczęło nagle żałośliwie narzekać biegając i zbliżyło się ku księciu.

— Panie! zawołała — proszę was o sprawiedliwość!

— Cóż się to stało? spytał książe.

— A! niegodziwą popełniono u nas kradzież, odpowiedziała dziewczyna — wsunął mi się złodziej do domu i ukradł czaszę srebrną, na miejscu jęj zostawując — złotą.

— A cóż to za uczciwy złodziej! zawołał książe, bodaj się tylko tacy trafiali.

— Otoż takim nasz Bóg jest złodziejem, rzekła

dziewczyna — wiał on Adamowi część ciała jego, ale mu dał w zamian piękną niewiastę.

— Dobrześ rzekła, odpowiedział książę — ale bądź co bądź, mógł to uczynić otwarcie, nie kryjąc się z tem, byłoby to ze wszech miar lepiej.

Po chwili dziewczę się odezwało:

— Książę pozwolisz mi tu przynieść kawałek surowego mięsa?

— Dobrze! rzekł zdziwiony poganin.

Natychmiast podano mięsiwo, dziewczę zabrało się do krajania, siekania i gotowania go w oczach coraz bardziej zdziwionego księcia. A gdy było gotowém, prosiło aby jadł.

— Moja kochana, zawołał książę usuwając potrawę, wiem ja że to się tak zawsze z mięsem robić zwykło, ale gdy na te przygotowania patrzę, już się pożywać odechce.

— Otoż panie, odparła dziewczyna, tak właśnie począł Bóg z Adamem. Nie wiem czyby mu w smak było, gdyby w oczach jego tworzył kobietę. (Talmud — Sanhedrin 39. a.)

Wszyscy się śmiać poczęli, chociaż widocznie dowcip dziewczęcia jakoś niebardzo wytrwornemu towarzystwu naiwnością swą przypadł do smaku.

— Talmud, mówił dalej Jakób, wie nawet dla



czego nie z rąk, nie z nóg, nie z oczów, nie z ust utworzoną była Ewa.

— Daj pokój temu, przerwał Henryk pocichu, słyszę dobijanie się jakieś do drzwi, ktoś się domaga wniknięcia, rzućmy te Talmudy.

— Toż pewnie nie obcy, co to nam szkodzi? spytał Jakób.

— Ale po co ma nas zastać zatopionych w téj żydowszczyźnie!! dodał Henryk.

Jakób smutnie spuścił głowę.

— Zawsze się więc przeszłości naszej wstydzic będziemy? szepnął, czyż jój przez to nie potępiamy.

Domawiał tych wyrazów gdy Kruder blady i widocznie poruszony wpadł do salonu... po twarzy jego poznać można było że się jemu lub komuś blisko go obchodzącemu coś przytrafić musiało... cały był drżący, ale spojrzawszy na kobiece towarzystwo zamilkł.

— A! przepraszam że przerywam! rzekł cicho.

— Co ci jest? co się stało? spytał go Bartold na ucho.

— W téj chwili, rzekł ponuro, głęboko wzruszony Kruder, gdy wy tu spokojnie siedzicie za stołem, na Starem mieście....

— Co? co? zdały się słyszeć przyspieszone ze-  
wsząd głosy.

— Na starém mieście wojsko tłumy zebrane  
morduje! Jakaś niespodziana demonstracya się od-  
bywała... wystąpiło wojsko... Mówią o wielu za-  
bitych i ranionych....

Jakób rzucił książkę.

— Chodźmy! zawołał z zapalem, chodźmy, tam  
gdzie się krew leje, gdzie potrzeba ofiar... tam  
i my być powinniśmy.

Kobiety wielce przerażone ruszyły się z krzy-  
kiem z miejsc, nie wiedząc co począć.

— A! co robić? gdzie się podziać? wołano,  
możnaż będzie powrócić do domu... pokazać się  
w ulicach... wojsko....

Wrzawliwie posypały się pytania, Kruder ochło-  
nawszy począł spokojniej opisywać stan miasta...  
ale głos mu drzał, wyrazy się rwały....

Jakób już chwycił za kapelusz, gdy Bartold  
surowo go powstrzymał.

— Czekaj, rzekł, widoczną jest rzeczą że się  
na coś większego zanosi... są to preludya dopie-  
ro; nie przeczę, iść winniśmy razem, ale nie bez  
rozmysłu i narady. Z mowy Krudera widzę że to  
co dziś zaszło jest rzeczą skończoną, na dalsze

wypadki rozsądnie przygotować się potrzeba...  
Tylko nie bez narady, powtarzam, nie bez jedno-  
ści, porywczo i poosobno... zobaczymy, pomówim...  
Zbierzmy się....

— Gdzie? pytali młodszy.

— Musimy się zebrać u Manna, nie możemy  
nic zrobić bez niego....

— Azatém rano.

— Jutro!!

Kruder padł na krzesło blady z załamanymi  
rękami.

— Azatém... kość rzucona! zawołał.

I głowę spuścił na piersi, ledwie dosłyszonym  
dodając głosem:

— Biedny kraj!!

---

Przypomni sobie łatwo każdy ze świadków tych chwil niezabytych nigdy, że pierwsze owe sceny zaszły na Starém mieście, niespodzianie wcale przy-  
padły dla ogromnej większości mieszkańców Warszawy, w chwili gdy szlachta niemal cała królestwa, powołana na ogólne zgromadzenie Towarzystwa Rolniczego znajdowała się na obradach w stolicy.

Nikt wówczas nie przewidywał mogących nastąpić wypadków, nikt ich nie pożądał, niewidzialna jakaś ręka pędziła ku nim. Najgorętsi nawet czuli ten oddech piekący poza sobą, nie wiedząc z czyich ust wychodził.

Jakób wybiegłszy dnia tego z domu Bartolda, nie mógł się powstrzymać by nie pobiedz na to miejsce, gdzie się odbył pierwszy ten bój cichy, dziwny... przerywany nagle grobowém milczeniem... Po drodze mało kogo spotykał; ludzie niemi snuli się przesuwając do domów wśród mgły wilgotnej

wieczora. Jak wmurowane stały tu i owdzie szeregi wojsk rozłożone po ulicach, posępne, milczące, chmurne. Na twarzy dowódców pływały czarne tumany, coś jakby oznaki walki żołnierskiego obowiązku z sumieniem człowieka.

Około Hotelu Europejskiego spotkał tłum milczący szlachty wychodzącej z pałacu namiestnikowskiego. Tu oblicza były skłopotane, szeptano sobie na ucho nowinę wieczorną. Już mijał ich Jakób, gdy nawprost Hotelu uczuł się pochwyconym za rękę i nierychło wśród mroku nocy rozpoznał zapaloną uczuciem jakimś gwałtowném twarz Gromowa, towarzysza pani Colomi.

Gromow pochwycił go pod ramię i nie mówiąc słowa, prawie siłą, pociągnął za sobą na górę do Hotelu.

Weszli do pokojów które Włoszka zajmowała; znaleźli ją pogrążoną, smutną, zwiniętą w kątku kanapy. Przełęknionemi oczyma zmierzyła Gromowa, który jęj dał tylko znak niecierpliwy zmarszczonemi brwiami aby ich zostawiła samych. Jakób, który parę tylko razy widział Gromowa, za ledwie go dziś poznał.

Na twarz tę zwykle zimną, zastygłą wystąpił wyraz niepohamowanego zniecierpliwienia, niepo-

koju, gniewu nawet. Niepiękna, była w téj chwili majestatyczna siłą i potęgą — brew jowiszowsko była ściągnięta i namarszczona, wargi miał blade i ścięte, oczy płomieniste, ręce drżące.

Obejrzał się gdy Colomi po cichu, bojaźliwie się wysunęła i chwycił za rękę Jakóba.

— Słuchajno Waćpan, rzekł, młody jesteś, nie możesz być obojętnym na to co się tu dzieje, musisz wiedzieć o wszystkiém, do wszystkiego należeć.

— Do czego?

— No, do projektowanej rewolucyi! to widoczna! rzekł trzęsąc się Gromow.

Jakób zmierzył go oczyma.

— Ja o niczem nie wiem, rzekł stanowczo.

— Co ty mnie masz za szpiega i donosiciela, czy co? zawrzał Gromow odtrącając go od siebie.

— Opamiętaj się pan, zawołał Jakób, mówmy chłodno i rozsądnie. Nie zapominaj pan że ja niedawno przybyłem do kraju, że jestem żydem, i że — powiem otwarcie — w duszy jestem przeciwnym wszelkiej rewolucyi.

— Tyś przeciwny rewolucyi! podchwycił wybuchając Gromow.

I stanął milczący zamyślając się.

— Dla czego? spytał po chwili.

— Dla tego że rewolucye do niczego nie prowadzą, rzekł Jakób, bo są straszną chorobą społeczną, konwulsyami... bo opóźniają normalny pochód ludzkości do jej celów, bo z nich korzystają tylko despotyzmy i szarlatany polityczne!!

Gromow patrząc nań, poczynął się uśmiechać.

— Tak, tak, wiem to wszystko, wiem rzekł, ale są chwile i wypadki w których rewolucye stają się koniecznemi, gdy rządy do nich pchają same bezrozumem, uporem, głupotą wstrzymując ludzkość w swym biegu... gdy do ostatecznej rozpaczy kraj cały przywodzą uciskiem.

— Za długoby to trwało, gdybym chciał pana przekonywać, odezwał się Jakób, że na to są inne środki skuteczniejsze od rewolucyi — ale nie czas o tém rozprawiać... Daję panu słowo na to że nie jestem rewolucyonistą, i że do téj roboty się nie zdałem. Ale w dowód mojej ufności powiem panu także, iż gdy kraj, który za moją przybraną ojczyznę uważam, zażąda odemnie ofiary krwi i życia... oddam mu życie i krew... pójdę z drugimi...

Moskał się namyślił długo.

— Jesteś człowiekiem dobrej wiary, to wiem, rzekł, zresztą dość na ciebie spojrzeć, dosyć posłyszeć. Będę więc z tobą otwartym o ile nim być



mogę nie zdradzając cudzych tajemnic. Ja jestem z zasady rewolucjonistą, bo Moskalem jestem, na mojej szyi obróza zostawiła wiekowe rany, na rękach mych są blizny kajdan, nogi się płaczą w niewidzialnych pętach, na umyśle, na sumieniu mém, na ustach wypieczono piętna niewoli. Dla mnie zgiąć samemu, świat wywrócić, wylać strumienie krwi, jest niczém, byle ojczyzna moja wyszła raz z tej hańby poddaństwa moralnego, upodlenia, niewoli; byle krzepka, silna, zdrowa, odmłodziła dźwignęła się z tej kałuży krwi i błota w której ją topią. Ja chcę zbawienia a więcéj jeszcze oczyszczenia Rosyi która w obliczu świata srom mi czyni, ja się do imienia Rosyanina przyznać dziś wstydzę... ja się duszę w tych pętach... Oto mnie masz... takim jestem, nie taję się... w imie zbawienia mojej i waszej ojczyzny, mówię do ciebie.

Pochwycił go za rękę i poprowadził do okna.

— Tak jest, rzekł głosem stłumionym, u nas gwałtownie potrzeba rewolucyi, bo inaczej praw ludzkich nie odzyskamy nigdy... ale musimy ją robić wspólnie. Wy się rwiecie bezrozumni, oszaleni, na oślep, aby nas zgubić i siebie. Potrzeba wstrzymać wybuchy te, uspokoić pozornie, cierpieć, aż wybije godzina której my wam znak da-

my... Naówczas pójdziecie razem z nami, odzyskacie prawa waszój narodowości; na pobojuwisku na którem legnie despotyzm połączą się bratersko dłonie nasze... Na Boga! nie psujcież nam pracy, nie psujcież nam pracy, nie gubcie własnej przyszłości porywami niewczesnemi!!

Pan możesz mieć wpływ, idź, proś, zaklinaj, nawracaj, błagaj... niech się powstrzymają... Rosya na wiek jeszcze zakutą zostanie w kajdany, jeśli wy się teraz porwiecie. Czeka na to rząd, chce tego, pragnie, podbudza, będzie przez szpary patrzył na przygotowania, uda bezsilność aby wam dodać zuchwalstwa... ale miejcież rozum, nie gubcie nas i siebie...

Rząd, jak w 1812, obudzi patryotyzm w tłumach, przywiedzie go do szału, odprowadzi umysły od innych zaprzątnień na was, na Polskę, wypuści na nią zgraję swych brytanów, zaleje was bezduszną biurokracyą chciwą grosza, zniszczy, wyssie, wywiesza, wymorduje, wytępi... Polska ocali Rosyą od rewolucyi a sama zginie...

I pochwycił się za głowę Gromow, a drąc i szarpiąc suknie na sobie, poczał chodzić po pokoju.

— Ależ to szaleństwo! to samobójstwo! porywacie się na kilkadziesiąt milionów dzikiego tłu-

mu, któremu z góry rzuca słowo nienawiści a urośnie w straszliwą walkę międzynarodową. Wszystko się skupi w imię patriotyzmu około tronu, wszystko się zjednoczy przeciwko Polsce, my stracimy głos, przewagę, zwiążecie nam ręce, odbierzecie siłę...

— Wszystko to co mówicie, może być prawdą, odparł Jakób, wy lepiej Rosyą znacie nademnie, jej politykę, środki działania, ale cóż ja na to poradzić mogę? Widzieliście tu kogo z młodzieży?

— Kilku wojskowych, rzekł Gromow, ale to są szaleńcy, mają mnie za agenta rządowego dla tego że im niewczesny ruch odradzam. Szaleńcy! powtórzył, nie pojmują że dla rządu rewolucja wasza jest zbawieniem! dobrodziejstwem, potrzebą, że onby ją sam zrobić gotów gdyby mu tak dobrze ślepotą ich nie posługiwała. Wszystkę swą chorobę wewnętrzną na was zleje Rosya, jeżeli się porwiecie... wy zginiecie a my....

Nie dokończył tak wybuch namiętny głos mu tamował.

— A! rzekł po chwili namysłu patrząc smutnie w górę, są fatalności ciężące na narodach... taka fatalność nad nami.... Trzebaż było ażeby naród którego nam przeszłość i zamięłowanie swobody da-

wało za naturalnego przymierzeńca, stał się mimowolnie wrogiem, tych co swoją i jego niewolę skruszyć chcieli!! Jeżeli rewolucya wybuchnie, sto lat kajdan dla nas... wam... zguba....

Ślepi! dodał, ślepibyście byli gdybyście nie widzieli że ta rewolucya którą manifestacyami, jak dzisiejszą rozpoczynacie, ta rewolucya jest przez rząd wywoływana, że ona go zbawi i ocali....

Gdybyście, nie wiem wiele, rok, dwa, trzy poczekać umieli... szlibyśmy razem do niezawodnego zwycięstwa.... Mielibyśmy czas przysposobić wojsko, zaszcześcić w ludzie inne pojęcia, dokonać emancypacyi którą despotyzm dla siebie rozpoczął, a mybyśmy z niej skorzystali.... Gdy płomień rewolucyi buchnie nad Nową naówczas róbcie ją u siebie, prosimy, ale nie dziś.... Z kim tu gadać? z kim? dodał gorąco.

— Ale ja nie wiem, rzekł Jakób.

— Jakto nie wiecie? to być nie może! zawołał Moskał, wybyście nie wiedzieli!

— Szczerze wam powiadam... nieznana młodzież włada dziś wszystkiém... młodzież więcej mająca zapału niż rachuby....

Gromow ręce załamał.

— Nie, to być nie może, rzekł, w tém jest

ktoś wyżej, co kieruje... czuję coś tajemniczego. Młodzież narzędziem ale któż ją prowadzi? kto rozkazuje?

— O ile wiem, sami oni....

— Ale młodzież, mój panie, do czynu, do boju, nie do rady... płomieniste serca, głowy nie-dojrzałe... Mogliżbyście losy kraju zdać na jej ręce? nie... nie....

Ty się mnie lękasz, ty mówić mi nie chcesz?

— Słuchaj pan, zwolna i spokojnie począł Jakób. Wyznasz że gdybym miał obawę, tak mało was znając, byłaby ona usprawiedliwioną może, ale daję wam słowo uczciwego człowieka że do spisków żadnych nie należę, nie wiem nic nad to jedno, że gdy uczuję obowiązek pojsć z drugimi i dać się zabić -- pójdę i zginę.

Spojrzał nań Gromow zdziwiony.

— Wierzę ci, rzekł, ale jakże nie dzieląc ich przekonań, masz iść z nimi na śmierć? To dla mnie, wyznam ci, heroizm niezrozumiały.

— Nie jest to heroizm żaden, odparł Jakób, my jako żydzi jesteśmy tu w położeniu wyjątkowym, potrzebujemy dowieść poświęceniem się, żeśmy synami téj ziemi, że ją kochamy....

— Ale jej tém nie zbawicie?

— Nie, zginiemy; wszakże ofiary życia są silnym węzłem który spaja... krwią naszą zawrzemy sojusz z krwią Polski....

Gromow słuchał i dumał.

— Wszystko to bardzo piękne, mówił nieco się uspokajając, ale to są poezycy, to ideały, a polityka nie cierpi uczuciowości... Polska powoli heroizmami ginie; więcej rachuby, przebiegłości, chytrości a mogłaby być ocaloną. Dla czego w ciemniżycielach nie chciała zyskać sprzymierzeńców, gdy jęj to było łatwo? dla czego dopuściła Niemców aby oni zajęli jęj stanowisko i królowali Rosyi, dla czego nie starała się wcisnąć wszędzie, objąć nas, cywilizować, uzyskać wpływy? i z sobą liberalne wszczepić nam ideje?

Pełny był dwór, mówił dalej, ale kogoż, podłych pochlebców, dworni, lokajów waszych, a nie było mężów stanu coby się starali wniść wyżej i rękę położyć na sterze. Od stu lat był czas... ale wyście go zmarnowali na zabawki, balowaliście a z balów w trzewikach szliście na rewolucye...

Wasze kobiety od walca... pędziły za mężami w Sybir... krzyczeliście, pisali, wypowiedzieliście wszystkie tajemnice słabości waszój, rząd wiedział czém was brać, w co uderzać; zwierzaliście się mu

nawet pod sekretem kiedy mieliście robić rewolucyą... ażeby nie wziąć go zdradą!! Dawaliście mu dobrodusznie oręż na siebie... to téż ginęliście i zginiecie!! Zasłużyliście na to, dodał gwałtownie.

— Nie, zawołał Jakób — zginie może jedno pokolenie, ale nie Polska i jój idea... Polska się zahartuje waszym uciskiem, nauczy się być wytrwałą i mądrzejszą pod pletnią kozacką, pod szubienicami, na mogiłach... Zteroryzują tchórzów, ale ich dzieci...

Gromow rozśmiał się ironicznie.

— Wiesz co powiedział raz w Kijowie wasz Rzewuski jednemu znajomemu mi generałowi naszemu??

— Nie słyszałem!

— Mam doskonały sposób poznać kiedy Moskal poczciwy a Polak rozumny, zawołał Hrabia. — Jakież? proszę nas nauczyć! spytał generał. — Niezawodny... oto spojrzeć na ręce, jeśli mu włosy na dłoni rosną.

— Tak, rzekł Gromow, wyście nie bardzo rozumni, a my Moskale niezbyt uczciwi, to prawda, ale wina nie nasza, od Iwana Groźnego pod różnemi pozcrami uczono pokolenia całe kłamać, zabijać i kraść *pro publico bono*; trudno się było



oprzeć tak długiej i starannej edukacji. — Wszyscy to wiedzą. — Ale wy!! wy byście już rozumieć powinni, nauczyć go was mogłoby nieszczerście, zawody, męczarnie, upadki... Mimo to (winowat) pozwólcie sobie powiedzieć, żeście — głupi.

Jakób stał ruszając rannionami.

— Ale czegoż chcecie odemnie? spytał zafra-sowany.

— Jakto! wyście mnie jeszcze nie zrozumieli? podchwycił Moskal. — Ależ idźcie, proście, nawracajcie, opamiętywajcie, krzyczcie, niech wasza młodzież nie robi szaleństwa, niech powstrzyma rewolucyą, niech czeka!

— Ja — za mało na to mam siły.

— Przyślijcież mi kogo, z kimbym pomówił.

— Pozwól być szczerym, jakże chcecie aby wam, Moskalowi odradzającemu rewolucyą, uwier-zono?

— To prawda, do stu... ależ ja... ja im dam dowody że wierzyć mi mogą, mam je na piśmie i na ciele mojem. Pokażę plecy całe poszarpane od knuta, pokażę te ręce na których białe blizny w pierścienie wypiętnowały kajdany.

Uderzył się w piersi.

— Nie! nie! nie uwierzą mi! ani tobie! ani

nikomu! Spełni się wola ślepego losu na nieszczęśliwej Rosyi, w chwili gdy już, już miała sięgnąć po ten owoc dla niej zakazany — swobodę. Po-deprą tron ramiona tych, co go wczoraj obalać chcieli... a dwornia głodna krwi ssać będzie dalej biedny lud nasz...

O! szatańskim śmiechem śmiać się będę z téj rewolucyi waszój! z szatańską zjadliwością ja pierwszy mścić się na was będę za utracone nadzieje. Tak! ja nawet gotówbym was ścigać i wieszać, a ze mną wielu moich... bo wy naszą także przyszłość burzycie.

— Jeszcze przecie nie jesteśmy w przededniu rewolucyi, uspokójcie się, odparł Jakób, to garstka młodzieży... szaleje nieco... któż wie? może się sama powstrzyma!

— Nie! odparł Gromow, jeżeli młodzież na czele, ani ona sama, ani jój nikt nie powstrzyma... nie skończy się to na niczém, doprowadzą do ostateczności. Ja tak na to patrzę... młodzież i lud dwie smolne podkładki, ogień być musi, to darmo. Ludu raz rozpędanego nie powstrzymać, młodzieży rozpalonej nie ostudzić... spełni się dramat krwawy, ofiarny! Wiecznie i zawsze ofiary daremne, legniecie stosem trupów, a szajka biuralistów z pió-

rem za uchem, z malczykami i samowarami rozgości się na pobojuwisku.

Widzę, patrzę — dodał — przeczuwam przyszłość waszą... krwawa, straszna!! Przesadzone wsie, wyludnione kraje, krocie ludzi w Sybirze, potwarze na naród miotane, sromotne naigrawania, bezduszną zemstę, ruiny, popioły... Ale dobrze wam tak będzie! zasłużyliście... zgubicie ojczyznę moją!

— Uspokójże się pan — uspokój, przerwał Jakób.

-- Mówisz o uspokojeniu — zawołał Gromow — a mieszkałeś ty w téj piersi? a wiesz ty co to wygnanie? a znasz ty katorgę?... Ja na cały żywot mój skazany jestem; jedno z dwojga, albo na kajdany niewoli, lub na ostateczne spodlenie... lub na to wieczne wygnanie, od którego oczy, serce, dusza odwracają się wciąż ku ojczyźnie i krwią płaczą... Wieszże ty co to ojczyzna na obczyźnie? to matka, to ojciec, to siostry, to bracia, co zapomnieli cię, którym się ciebie wyprzeć kazano, którzy imienia twego wymówić nie mogą, bo imie twe wygnane jest z tobą... to tęsknota za ziemią co cię wypiaستowała, za chmurném niebem, za nędzą swoją... za wszystkiém swoim... to śmierć i konanie powolne... To jeszcze nic gdy się cierpi

samemu, możnaby i nie jęknąć — ale poza sobą czuć miliony spodłone, znikczemniałe, skazane na zgniliznę, na ciemnotę, na wieczną niewolę, całe pokolenia wydziedziczone z darów Bożych... i tę ojczyznę kochaną — u ludów świata, w obliczu historii skazaną na hańbę, na wstyd barbarzyństwa i niewoli... Pomyśl o tém — i bądź potém spokojny!!

• To mówiąc Gromow się rzucił na krzesło.

— Przybyłem tu, rzekł powoli — ważąc głowę moją, jedynie dla tego aby was odwieść od szaleństwa... ale napróżno kołaczę. Jeżeli kraj istotnie w ręku młodzieży, nie ma ratunku... będzie rewolucya...

— Z czemże? spytał Jakób — bez broni? bez pieniędzy? bez wodzów i bez żołnierzy?

— Z kijmi pójdą i z torbami! krzyknął Gromow — rząd dopuści sprowadzenia broni, da wam uzbierać trochę pieniędzy, zamknie oczy, przyczai się — jemu trzeba nietylko żeby była rewolucya, lecz żeby się ona rozogniła, rozniosła, rozżarzyła po kraju... W to mu graj... Potém weźmie was gdy zechce, zgniecie w oczach Europy, a winę złoży na was samych. Jeśli jest najmniejsza chęćka do zrobienia burdy, stanie się... burda będzie z waszej

strony heroiczną, z ich strony przebiegle zimną i okrutną... Ten wypadek usprawiedliwi to co z wami postanowiono zrobić oddawna, a w dodatku ocali carską Rosyą! zgubi ją na długo dla świata, postępu i swobody... da siły despotyzmowi...

Jakób milczał, Moskał się coraz bardziej rozpalał, aż wychodząca pocichuteńku z sąsiedniego pokoju Colomi, zwolna położyła mu rękę na czole.

— Słuchaj Sergiuszu, zawołała, ty się rozchorujesz.

— Nie — ja umrę, odparł Moskał, ja tego nie przeżyję.

I spuścił głowę na piersi, ale wkrótce podniósł ją i pięść do góry.

— A! jeśli w proch pójdą nadzieje nasze, rzekł groźnie — biada wam — biada!!

Jakób spoglądał na zegarek, położenie jego było przykre, sam nie wiedział co począć z sobą, Moskał jakoś to nareszcie dostrzegł i — jakby go kto zimną oblał wodą — pociągnąwszy ręką po twarzy, otrzeźwiał — ostygł. Stał się znów człowiekiem salonu i dobrego towarzystwa, z energumena jakim był przed chwilą.

— Daruj mi pan, rzekł wzdychając, żem pana uczynił świadkiem mojej boleści nieprzyzwoitej...

przepraszam... Ale dziki człowiek siedzi pod tą cywilizowaną skorupą, dziki, bo go uczyniono dzikim, bo jego dzikość pielęgnują... O! biedni my jesteśmy — wierzcie — bardzo biedni. —

Idź pan, mów, staraj się, ruszaj, zabiegaj, a powstrzymaj nieszczęście, jeżeli można — niestety! zdaje się — zapóźno! Zresztą przyślij mi tu kogo, może też kto z nich mnie zrozumie.

Tak się naostatek pożegnali, Jakób wysunął się zadumany, wstrząśnięty, rozmyślając nad tém co słyszał... Gęste patrole snuły się po ulicach, szczęściem niezaczepiony przez nie potrafił się dobić do domu.

Wszedłszy do siebie zastał kartkę z pierwszego piętra od Muzy, która go prosiła i zaklinała aby natychmiast przyszedł do nich, że czekać nań będzie choćby do rana.

Jakób jakkolwiek bardzo zręcznie osaczony przez piękną swą prozelytkę, dotąd umiał się trzymać w pewnej odległości nie dopuszczając do zbyt poufalitych i coś przyrzekających stosunków... Matka i córka napróżno różnego rodzaju ułatwieniami starały się go wciągnąć w niebezpieczną połapkę. Nieraz zostawiano ich sam na sam... Panna była nadzwyczaj łagodną, czułą; Jakób pełen uszano-

wania i w chwilach nawet zapалу dziwnego pomiarkowania pełen.

Były może godziny w których ta postać uroczą, dysząca pozorną jakąś namiętnością, przypominająca bacchantkę, czyniła na nim mimowolne wrażenie — ale panem siebie zostawał zawsze, a miłość ku Tildzie była dlań tarczą broniącą od wszelkiej nawet śmielszej myśli.

Dobrze z północy już kartkę tę oddał mu służący, dodając że nań na dole czekają; Jakób się zawahał, ale domyślając się naturalnie że w tém być musi jakiś interes tych pań nagły, zejść musiał.

Nie jesteśmy w stanie zapewnić czy to spotkanie całe z góry nie było ułożone. W salonie zastał Mużę przebraną w lekkim wieczornym przyodziewku niezmiernie skromnym, z włosami gładko uczesane, z ogromnym włosów warkoczem od niechcenia skręconym, z nieco przypadkiem odsłoniętymi ramiony — trzymała w ręku chusteczkę jakby do projektowanego płaczu przygotowaną.

Ujrzawszy go powstała nagle, żywo i pospiesznie wyszła na przeciw.

— Panie Jakóbie, zawołała chwytając go za rękę — cóż się to dzieje? gdzie pan byłeś? Pan się pewnie mięszasz do tego! — a! zaklinam pana!



jakkolwiek nie mam żadnego prawa, prócz tego jakie mi daje szczerą przyjaźń moja — nie rzucaj się w tę grę niebezpieczną... zaklinam!

Patrzała mu w oczy, Jakób był zupełnie spokojny, cały rachunek chybiony.

— Cała drzę, dodała — drzę myśląc o panu! Ja tak jestem dziecinna! Daruj mi pan, nie tłumacz tego na złe — mam serce siostry dla niego.

I ścisnęła go powtórnie za rękę.

— Stokrotnie pani dziękuję, rzekł Jakob uśmiechając się łagodnie — ale daję pani słowo, że do niczego nie należałem, nie należę.

— Ale gdzież pan dziś byłeś tak długo, tak późno?

— Najosobliwszym trafem wstrzymał mnie jeden znajomy rozmowa.

Muza potrząsała głową.

— O! pan mnie nie oszukasz!

I ujęła go za obie ręce tak że czuł bicie jęj krwi, jęj oddech na swęj twarzy, a oczy czarne zdawały się wpalać w głęź duszy.

— Panie Jakóbie — to się nie godzi! Ja się nie bez przyczyny lękam o pana!

— Powtórnie pani słowo daję, że się nie mięszam do niczego.

— O! nie wierzę!

Podniosła była nieco głos, ale go nagle zniżyła miarkując się.

— Mama dostała migreny, rzekła ciszej, zasnęła biedna... ja czekałam, narażając się na dziwne wyobrażenie jakie pan o mnie powziąć możesz... aby błagać go...

Ale siadajże pan tu, przy mnie, dodała pociągając go za sobą ku kanapie, siadaj pan, mówmy otwarcie i szczerze.

Skłopotany nieco Jakób uczuł się wzruszony tym niepokojem, w którym ani mógł ani chciał się komedyi domysleć; nadto był szlachetnym a za mało zepsutym.

— Wiesz pani, rzekł, że jestem zawsze szczerym, że fałsz za występki uważam uwłaczający godności człowieka.

— A! tak! bądźmy z sobą otwarcie.

— Więc najotwarciiej powiem pani, że nawet był — u Moskała! dodał śmiejąc się Jakób.

Ten uśmiech, chłód i przytomność zupełna Jakóba jakoś się dziwnie Muzie nie podobały, rachowała podobno że go w tym dniu znajdzie rozentuzjasmowanym, że ten zapal wpłynie na ogólne jego usposobienie; omyliła się jak się ludzie zwykle

w swych domysłach mylą... Zrobiło jęj się przykro — źle mówię — rozgniewała się na siebie i na niego... ale im trudniej było Jakóba rozplomienić ku sobie, natchnąć go miłością jakiegokolwiek bądź rodzaju byle gwałtowną, tém cel ten chciwszą była osiągnąć.

— A! to dobrze! to dobrze! odezwała się zmieniając głos i kryjąc uczucia, pan nie wiesz co się działo ze mną! Patrz pan jak jestem zmieniona! Wszak znać po mnie tę przeżytą godzinę niepokoju i śmiertelnej gorączki... o pana! szepnęła ledwie dosłyszonym głosem.

— A! pani, odpowiedział Jakób — czyżem ja na to zasłużył?

— Nie, nie zasłużyłeś pan na to — dodała szybko zawsze zniżonym głosem — pan jesteś dla mnie tak zimny — pan nie widzisz nawet tych uczuć jakie obudzasz...

I jakby mimowolnie za wiele wypowiedziała, zawstydzona, spuściwszy oczy zamilkła.

Jakób był przejęty; mimowolnie żał mu się jęj jakoś zrobiło, schylił się milczący i pocałował ją w rękę, Muza cała zadrżała, wstrząsła się jakby gorącym żelazem dotknięta, pochyliła na kanapę i zakryła oczy. — Podnosząc głowę zmieszany młody

człowiek to postrzegł, pierwszy raz myśli ta, że ona go kochać może, jak piorunem go razila. Uczucie to było dlań wyrzutem, podsycił je swoją nieroztropnością!! winien był zbrodni!! Cała szkarada postępowania lekkomyślnego stanęła mu w oczach, porwał się z miejsca przerażony, wylękł.

To żywe jego pochwycenie się mogło być różnie tłumaczonem. Muza dłużej sceny sedukcyi przeciągnąć już nie chciała... rada była z tego co zaszło, milczenie jego mówiło wiele, wiązało go prawie.

— Idź pan, idź! zawołała żywo, jestem chora, nie wiem co mi jest... głowa mi pęka... sama sobie nie poznaję...

Jakób zawahał się jeszcze, spojrzał na piękną jej twarz zbladłą ze wzruszenia, drżącą jakimś uczuciem namiętném, i powoli — skłoniwszy się z uszanowaniem odszedł. — Ledwie drzwi się za nim zamknęły, pocichu wsunęła się matka.

— A co? spytała.

— A! straszliwie głupi! ruszając ramionami i ziewając odparła Emma... a! jakież głupi!

— Ja się boję czy nie za rozumny! potrząsając głową szepnęła Wtorkowska.

---

Nazajutrz rano zebrało się dość dużo osób, które nie były obowiązane lub nie mogły się znajdować na posiedzeniu towarzystwa, w mieszkaniu Manna. Mann który i tak miał się za wodza i kierownika, zdumniał jeszcze mając przewodniczyć obradom.

— Patrzże, proszę cię, szepnął ojciec Symon do Bartolda, ten biedny Mann wygląda dziś jak pęcherz... uchwaj Boże pęknie!!

— Nie bój się, rozśiniał się drugi, gdyby się to stało nawet, prócz trochy wiatru, nic nam więcej nie grozi.

W istocie gospodarz był przepyszny, patrzył na świat z wyżyn swój dumy, sapał, chwycił się co chwila za próżną głowę.

— Potrzeba się nareszcie nam naradzić, rzekł zagajając wspaniale posiedzenie usiadłszy na szezłażku który zajął cały sam sobą... tak, położenie się komplikuje, trzeba coś postanowić *en vue des événements futurs*. Co czynić mamy? Naród nasz

słynął z jedności, nią się utrzymał, co panowie mówicie?

— Ja, zawołał Symon uśmiechając się, ja mówię i wotuję ażebyś nam naprzód dał cygaro.

— Ale dajże bo pokój swoim żartom, tkając mu co żywiej cygaro żądane, zawołał Mann — to rzecz seryo! Jak myślicie postąpi szlachta?

— Szlachty rzeczą jest nie postępować wcale, szepnął Symon, wiele się sprzeczać, dużo krzyczeć, nie robić nic.

— A! to prawda! rzekł Mann, ale tą razą ich zmuszą.

— Częstkę jakąś może.

— Szlachta, dodam, zawołał Mann, obraziła nas, okazała się nam wrogą.

— Stójcie! szlachta jest szlachtą, począł Symon niepowstrzymany, zabierając głos mimo kwaśnej miny gospodarza, szlachta w nas zawsze widzi swoich arędarzy, to darmo, śmierzdim im jeszcze cebulą. Mimo to nie jest naszą nieprzyjaciółką. Mówmy no o innych elementach, bo dotąd ci panowie ani myślą się rzucać, i nie chcieliby brnąć.

— Jednak widocznie się przysposabia rewolucya — zawołał Mann.

— To być może, odparł Bartold, ale P. Symon ma słuszość, szlachta do niej należeć nie ma ochoty. W grze jest stan średni.

— A my czemże jesteśmy? spytał ktoś.

— Właśnie to że klasa średnia główną tu gra rolę, grozi nam że wciągnięci być możemy.

— Tak, możemy i powinniśmy się dać wciągnąć, przerwał Jakób z kąta. Dobijamy się praw obywatelstwa, to najlepsza sposobność by je pozyskać.

Mann się skrzywił.

— Mówiliśmy o tem nieraz, rzekł, to są teorye, rzecz trzeba rozwinąć praktycznie. Co tu jest interesem naszym?

— Interesem pierwszym, odpowiedział Jakób, w kraju w którym nas jest tylu, być uznanymi, przyjętymi, pobratać się, połączyć, to chwila jedyna.

— Tak, zrobiwszy razem z nimi głupstwo połączymy się doskonale, dodał Symon, nie tak nie łączy jak wspólnie znalazłoby błąk... obie strony potem się wzajem uniewinniają.

— Symonie, dostałeś cygaro, niech ci ono usta zapieczętuje! prosił Mann.



— Ja ci dam drugie byleś milczał, dodał ktoś niecierpliwym z boku.

— Pytanie tedy, jaką my Żydzi rolę odegrać tu mamy?

— Przepraszam, nie ma tu Żydów są Polacy wyznania Mojżeszowego, poprawił inny.

Kilka osób temu wyrażeniu pierwszy raz użytemu żywo przyklasnęło.

— Pozwólcie panowie, dodał Jakób, jeżeli ta definicyja się utrzymuje, ona rozwiąże wszystko.

— Przepraszam, zawołał Mann, bardzo przepraszam, stoi nierozwiązana kwestya, czy pójdziemy ze szlachtą która rewolucyi nie chce, czy z tymi co ją robią i pragną?

— Tu sęk! rzekł Symon, ja wotuję idźmy ze szlachtą, może dorobimy się i my herbów, ja natychmiast sobie tnę pieczętkę trzy cebule na tle złotém, w hełmie wspaniałe liście czosnku.

— A to utrapiony gaduła!! pięścią w stół bijąc przerwał Mann, będziesz ty cicho?

— No! już milczę.

— Rzecz bierzmy seryo, zdaje się że na to zasługuje, przerwał Bartold, Mann dobrze kwestyą postawił.

— Nie, zaprzeczył Jakób, kwestya nie jest dla

nas czy mamy iść ze szlachtą czy tam z kim innym, ale co jest lepsze dla kraju... który przyjmujemy za ojczyznę naszą?

— Wybornie! Ale któż nie widzi, podchwycił Henryk, że rewolucya jest zgubą, że się ona udać nie może, że pomagać jój byłoby to kraj gubić!

Maleńki człowieczek, suchotniczego pozoru wystąpił, obejrzał się, odchrząknął, i pomału cedzić zaczął.

— Byliśmy długo w pogardzie i ponieważ, czas jest przedewszystkiém nie wdając się w żadne rafinowane patryotyzmy, myśleć o sobie. Wiśniak nas nie lubi, to prawda, ale ten jest głupi, my się go nie bojemy; szlachta nas nienawidzi, pomiata, upokarza. Interesem naszym jest ocalić się i bronić.

Jeżeli rewolucya niechybna, szlachta przez sam punkt honoru, choć nie z ochoty do niej pójdzie, rząd który się jój obawia i nie cierpi użyje tego pretekstu aby ją tępić, nękać, wywłaszczyć, wydusić. Zważcie panowie, jeśli my ocalejem, co za perspektywa? W każdym narodzie musi się wyrobić ponad massy jakaś intelligencya i rodzaj arystokracji... my jesteśmy materiałem gotowym... zawładniemy krajem...

— Słyszeliśmy już to, rzecz nie nowa, rzekł Jakób, rachuba nie wiem czy godziwa, ale może być słuszna... do pewnego stopnia. Naprzeciw niéj stawię to tylko, że ocalając życie i majątki... *nous sauverons tout... fors l'honneur*. Sam ten fakt że my jedni zostaniem cali, już nas potępi. Powtóre, część jakaś szlachty zostanie zawsze, potrzebie rząd się znuży i wyczerpie, Rosya ma wewnętrzne kłopoty i choroby... a za lat dziesięć...

— Za lat dziesięć, jeśli my tu nie będziemy panowali, tośmy trzech groszy nie warci!! zawołał ręką machając suchy człowieczek.

Panujemy już przez giełdy i przez wielką część prassy niemieckiej połowie Europy... mamy w rękach kawałek Francyi jeśli nie całą... a tu będzie nasza stolica, Jeruzalem nowe.

— O mój panie! rzekł Jakób, daleko jeszcze do tego... przez egoizm nie zajdziemy do celu... lepiej jest zbratać się z krajem ofiarą szczerą, wyrobić sobie szacunek, dowieść że naród Izraela jest narodem szlachetnym, że uciemiężony nie spodli się nigdy stając przy sile, po stronie ciemiężców. Bądź co bądź, rachuba chytróści nigdy nie sprostą przeciwej rachubie... liczymy na rzeczy święte...

— Co, ty chcesz nas rozumu uczyć? przerwał Symon, żyd był od wieków chytry i musi nim być.

— Nie! nie i nie! zaprzeczał gwałtownie Jakób, niewola go zrobiła chytrym, ucisk go fałszu nauczył; rozbite kajdany, drogi otwarte; możemy pojsć za głosem *prawa*, które było od tylu tysięcy lat naszą własnością, spadkiem duchowym, lub za siłą co burzyła nasze świątynie, co nas znaczyła piętném wyklęcia, co rozlewała krew naszą! Drogą mi wielkość Izraela, dodał z zapalem, ale jój nie gruntuje ani na samym rozumie, ani na podstępie, ani na fałszu, ale na prawie Bożem i sprawiedliwości. Przeciwno głosom narodów, przeciw wołaniu wieków, przeciw potwarzy dowiedzmy żeśmy synami tych co świętymi byli, żeśmy istotnie dziećmi i narodem wybranym. Ja nie chcę dla Izraela wielkości innój, ani panowania innego, tylko pod chorągwią Bożą, a Bóg rozkazuje jedno — prawość!!

Gdy to mówił Jakób oczy jego płonęły, zapal na chwilę ogarnął niemal wszystkich, Symon począł go ścisnąć choć udawał że się śmieje, Mann tylko jeden trochę z zazdrości, trochę na przekorę, począł dziwnie ruszać ramionami.

— Aj! aj! rzekł, co to za śliczne deklamacye

— aj! aj! jakto znać kto niedawno w szkole bywał... aj! aj! ale co z Waćpana za dyplomata!

A dla czego, dodał porywając się z gniewem, my nie mamy dziś z radością patrzeć na pognębianie nieprzyjaciół naszych? czemu nie mają oni paść pod nogi nasze, kiedy Bóg Izraela daje nam zwycięstwo? Staliśmy nieraz u progu tych pałaców na słocie, a psy ich nas szarpały. — Oni tam jutro przyjdą i odepchnie ich odźwierny... a dusza nasza rozraduje się zwycięstwem wielkiem.

— Tak, więc wyrzucamy to poganom co sami naśladować myślimy? zapytał Jakób — a czemu naówczas lepsi od nich będziemy? godziż się nam dla zemsty kłaść bezduszością i dowodzić przez to że nasze prawo ją dopuszcza, lub, co gorzej, nakazuje. My to nie, my jako ludzie osądzeni będziemy — ale z nas świat osądzi naszą wiarę; co złego uczynimy na nią spadnie, na całego Izraela.

Dotąd winy nasze śmiało na ucisk i niewolę składać mogliśmy, one były ich dziełem, ale wyswobodzeni, zrównani w prawach, wolni, jeśli nie przestaniemy być tymi żydami jakimi nas znała Europa... biada nam!! Chcemy się podnieść? nie bogactwem, nie potęgą, nie rozumem nawet — podnieśmy się — cnotą!

— Student!! rzekł Symon pokazując na Jakóba, widoczna rzecz — student!

Niektórzy się uśmiechali, Bartold namarszczył.

— Wszystko to piękne, rzekł, cnota drogą jest każdemu człowiekowi pojedynczemu, w człowieku publicznym, gdy idzie o byt narodu, nie tą się już miarą mierzy.

— Jest to stary i zgubny przesąd, zawołał Jakób, przesąd równający się guślarstwu co kazały trupią pić tłustość aby zostać szczęśliwym, tak samo nakazywali starzy politycy być łajdakiem dla zbawienia narodu. To fałsz, narodu złém ocalić nie można.

— Jesteś ostry, absolutny i niepraktyczny, rzekł Bartold, ale ci to darowane, bo życia i świata nie znasz. . . .

— Po nad życiem i światem czuję Boga, rzekł Jakób, i prawo jego, a prawo nie cierpi wyjątków.

„Wybierzesz życie, mówi Mojżesz, ażebyś żył; będziesz miłował Jehowę Boga Twego, *Prawo*, bo On jest życiem Twojem i długością dni Twoich.“

— Kochanie moje, szepnął Symon, jak raz pójdziemy do Mojżesza na konsylium, będzie téj narady na trzy dni, a ja mam — spojrzął na zegarek — giełdę. . . .

— Nie przeczę, przerwał Mann dumnie spoglądając na Jakóba, że pan Jakób mówi pięknie i szlachetnie, ale to są ogólniki, prawo zachowawcze wyżej nad wszystko stoi. Znacie to pytanie talmu du o naczynku wody? my Polaków nie ocalimy dzieląc się z nimi tą wodą, a podzieliwszy się nią zginiemy z nimi. Czy im co z tego przyjdzie że zginiemy razem?

Wszyscy milczeli, Jakób miał odwagę stanąć jeszcze w obronie swych przekonań.

— Starajmy się czynić wedle sumienia co można, rzekł, równie dla zachowania ich jak siebie, to obowiązek. Nie uchylajmy się od ofiar gdy konieczność ofiary przyjdzie, a w dniach boleści podzielmy się ich goryczą.

— Nadto Waćpan pieprz lubisz, rzekł Symon, będziesz go w życiu miał do syta, ręczę ci.

— Ale tu giełdy godzina, a myśmy nic nie uradzili, poczęli się odzywać drudzy.

— Prawdę rzekłszy, dodał Bartold, ja nie wiem co na dzisiejszych danych uradzić i postanowićby można? Z wypadków jakie są i o tém co być może niepodobna wyrokować; rzeczy są jeszcze wielce niejasne, należy czekać, w ostatku godzę się z Jakóbem iść drogą prostą, tylko nie w przepaść.



Mówią Polacy o cyganie że się dał dla kompanii obwiesić, tak daleko, sądzę, my nawet dla największej przyjaźni nie zajdziemy i zająć nie jesteśmy obowiązani. Nie sprzeciwiam się ofercie szlachetnej, ale piszę się przeciwko ofiarom bezużytecznym.

— I ja z wami, dorzucił Jakób, pozostaje tylko dowieść, czy są ofiary bezużyteczne, czy to co się ma prawo zwać ofiarą może kiedy spełznąć daremnie? Ofiara ma w sobie moc i siłę, które rodzą zawsze owoce... prędzej czy później.

— Wpadasz w mistycyzm, szepnął Symon, tą drogą dojedziemy do kabały... a ja się na nią nie rozumiem. Zdaje mi się że rozprawy skończone, bo rezultat zwykły... zero... otrzymaliśmy.

— Za pozwoleniem, przerwał Mann, nic nie wiemy, hę? powiedzieliście, otoż tu sęk, w tém wina. Jak to, żebyśmy my nie wiedzieli co się dzieje? do czego idzie?... Najpierwsza rzecz, potrzeba tam wpuścić kogoś, rozumiecie, coby rzeczy zbadał i objaśnił. Tak każe rozum i prosta ostrożność... idź ty Jakóbie!

— O! przepraszam, zawołał Jakób, w żadne spiski się nie wdam, szpiegiem, nawet dla swoich nie będę.

Mann ręką machnął.

— No, to się znajdą inni. Co to za szpiegostwo? aj! aj! Jaki delikatny! Ja tych komedyi nie lubię.

Splunął gniewny.

— Ja się też boję, dodał Symon, mam to nawet z tradycyi żydowskich że szpiegów wieszają, a to rodzaj śmierci i niewygodny i nieprzyzwoity... nogi na powietrzu....

Mann machnął ręką komenderująco.

— Już ja to biorę na siebie, będziemy wiedzieli, a jeśli co ważnego zaszło, dla narady zawsze dom mój ofiaruję.

— Słowo jeszcze...

— Ani słowa! ani słowa! Giełda! godzina giełdowa!

— Tak, tak! godzina giełdy! giełda! powtórzyło kilka głosów i kilka rąk sięgnęło po zegarki... Giełda! wszyscy się zatem ruszyli co prędzej, prędzej daleko niż na uroczystość do świątyni, bo targ jest największą uroczystością i dla chrześcian i dla synów Izraela.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



Biblioteka Raczyńskich

**JK 595**



JK0595